

L. Sprague De Camp

Szalony Demon

Przełożył Stefan Kasicki

The Fallible Fiend

En - 1973

Pl - 1996

*Isaacowi Asimowowi,  
który choć zaczął później ode mnie,  
tym niemniej napisał więcej książek.  
Ego te olim assequar!*

## I - Doktor Maldivius

Pierwszego dnia miesiąca Kruka, w piątym roku panowania króla Tonia z Xylaru (według kalendarza novariańskiego) dowiedziałem się, że zostałem powołany do odbycia rocznej służby na Pierwszym Planie, jak chętnie nazywają go jego mieszkańcy. Nasz plan jest określany przez nich jako dwunasty, gdy my uważamy, że to nasz plan jest pierwszy, a ich dwunasty. Jednak ze względu na fakt, że niniejsza historia jest opisem mej służby na planie, którego częścią jest Novaria, zastosuję się do ich terminologii.

Natychmiast udałem się na dwór burmistrza Ning. Znaliśmy się, zanim jeszcze został wybrany na to stanowisko. To znaczy jako demonięta ganialiśmy wspólnie za dmuchawcami na bagnach Kshaku, miałem więc nadzieję, że uda mi się uzyskać zwolnienie ze względu na starą przyjaźń.

Gdy stanąłem przed burmistrzem, powiedziałem:

- Mój drogi, kochany Hworze, cieszę się, że cię znowu widzę! Jak ci leci? Mam nadzieję, że wszystko w porządku?

- Zdimie, synu Akhy - odezwał się do mnie surowo Hwor - powinieneś już wiedzieć, jak należy się zwracać do demona, który piastuje stanowisko burmistrza. Dbajmy o dobre maniery.

- Eee, oczywiście... - zająknąłem się. - Proszę o wybaczenie, panie burmistrzu. Mam nadzieję, że mogę jednak prosić o odroczenie powołania.

- Na jakiej podstawie? - zapytał burmistrz swym najbardziej przykrym, oficjalnym tonem.

- Primo, na tej podstawie, że moja małżonka Yeth, córka Ptyga, właśnie złożyła jaja i potrzebuje mnie w domu, bym jej pomógł zajmować się nimi. Secundo, mając filozoficzne i logistyczne wykształcenie nie nadaję się do swego rodzaju bezplanowego, pełnego przygód życia, które, jak mi opowiadano, oczekuje nas na Pierwszym Planie. Tertio, filozof Khrum, którego jestem terminatorem, udał się na dwa tygodnie na ryby, zawierzywszy mej pieczy swój majątek, korespondencję i uczniów. I quarto, nasza rapusta już niemal dojrzała i będę musiał ją zebrać.

- Prośbę odrzucam. Primo, wyślę pomocnika szeryfa, by pomógł twej małżonce opiekować się jajami i zebrać plony. Secundo, niezależnie od wykształcenia filozoficznego, znasz dobrze historię i biografię Pierwszego Planu, więc jesteś lepiej przygotowany do tego by sobie poradzić z wymogami tamtego świata, niż większość wysyłanych do niego demonów. Tertio, kilka wolnych dni nie zaszkodzi uczniom i korespondentom czcigodnego Khruma. I quarto, potrzebujemy kogokolwiek, a właśnie twoje imię zostało wylosowane. Nasze powiększające się społeczeństwo i

wzrastający standard życia wymagają coraz więcej żelaza, więc względy osobiste muszą ustąpić przed dobrem ogółu. Zgłoś się za trzy dni na seans wywoływania duchów.

Trzy dni później ukąsiłem na pożegnanie Yeth i wróciłem na dwór burmistrza. Hwor udzielił mi na pożegnanie rady:

- Przeciętny mieszkaniec Pierwszego Planu jest delikatną, słabą istotą. Nie uzbrojony nie stanowi żadnego zagrożenia. Jednak ludy tego planu wymyśliły całą gamę śmiertelnych broni, za pomocą których uprawiają barbarzyńską sztukę wojny. Nie wystawiaj się więc niepotrzebnie na ryzyko i nie stań się celem dla takiej broni. Choć my, demony, żyjemy dłużej niż ludzie z Pierwszego Planu i jesteśmy od nich mocniejsi i bardziej odporni, to jednak nie ma pewności, czy mamy duszę, która po śmierci przenosi się do innego wymiaru, tak jak dusze mieszkańców Pierwszego Planu.

- Będę ostrożny - odparłem. - Khrum opowiadał mi, że zaświaty Pierwszego Planu są wyjątkowym miejscem, gdzie bogowie są słabymi duchami, magia jest praktycznie bezsilna, a większość prac wykonują maszyny. Zapewniał też, że dla zachowania prawa symetrii w kosmosie powinny, zgodnie z logiką, istnieć również zaświaty związane w taki sam sposób z naszym planem.

- Powiedzmy - przerwał mi Hwor. - Wybacz, ale mam bardzo napięty rozkład dnia. Uważaj na siebie, bądź wiernym sługą i przestrzegaj praw Pierwszego Planu.

- A jak mam postąpić, gdy prawa te będą sprzeczne? Lub gdy mój pan rozkaże mi popełnić czyn nielegalny?

- Będziesz musiał sam sobie radzić, najlepiej jak potrafisz. - Wskazał palcem. - Bądź uprzejmy stanąć na pentagramie.

Wstąpiłem na środek rysunku, a technik zamknął krąg kawałkiem węgla drzewnego. Czekałem tam przez następne pół godziny, zgodnie z tym co pokazała odmierzająca czas świeca.

Wreszcie linie pentagramu rozjarzyły się czerwienią. Zrozumiałem, że ten, który mnie zakontraktował, wymruczał wreszcie zaklęcie. W tym też momencie - siup! - dwór burmistrza zniknął, a ja znalazłem się w podziemnej, grubo ciosanej komorze, na takim samym pentagramie, jak w moim własnym świecie. Wiedziałem, że stukilogramowa sztaba żelaza, która spoczywała przed chwilą na pentagramie zajmowanym teraz przeze mnie, znalazła się na pentagramie na Dwunastym Planie. Przeklęty brak żelaza zmusza nas do oddawania naszych obywateli na służbę mieszkańcom Pierwszego Planu.

Pomieszczenie było okrągłe, miało około sześciu metrów średnicy i trzy metry wysokości. W jego ścianie znajdowało się wejście do ciemnego tunelu. Powietrze było stęchłe i wilgotne.

Komorę oświetlała para ozdobnych lamp mosiężnych. Półki wokół ścian były zavalone książkami. Umeblowanie stanowiły krzesła, stoły i otomanka, wszystko zużyte i sponiewierane.

Stoły były zarzucone miskami, kociołkami do palenia ognia, wagami, moździerzami i innymi instrumentami używanymi przez czarownika. Na małym stoliku leżała podstawka, na której spoczywała błękitna kula wielkości ludzkiej pięści. Bez wątpienia był to magiczny kamień, gdyż jarzył się migotliwym światłem.

W pomieszczeniu znajdowało się dwóch ludzi. Starszy był chudym, przygarbionym mężczyzną, niemal tak wysokim jak ja, co na mieszkańca Pierwszego Planu jest słusznym wzrostem. Miał krzaczaste wąsy, siwe włosy i brwi, ubrany był w połataną czarną szatę.

Drugi człowiek był niskim, silnym, śniadym i czarnowłosym chłopakiem w wieku około piętnastu lat, noszącym kamizelkę i pończochy, trzymającym jakieś przybory czarownika. Nozdrzami wyczułem wrogą sobie wibrację ze strony chłopca, choć w owym czasie nie znałem jeszcze mieszkańców Pierwszego Planu dostatecznie dobrze, by umieć interpretować ich emocje. Jednak ze sposobu, w jaki młodzik wzdragał się na mój widok, wywnioskowałem, że strach miał w nich znaczny udział.

- Kim jesteś? - zapytał starszy po novariańsku.

- Ja... Zdim, syn Akhy - odpowiedziałem powoli. Choć uczyłem się tego języka w szkole, nigdy jeszcze nie rozmawiałem z rodowitym Novariańczykiem. Biegłość uzyskiwałem więc powoli. - Wy... kto?

- Zwą mnie doktorem Maldiviusem, jestem zaś wróżbitą - przedstawił się mężczyzna. - A to jest Grax z Chemnis, mój uczeń. - Wskazał na chłopca.

- Zębacz! - powiedział Grax.

- Bacz na swe maniery! - upomniał go surowo Maldivius. - To, że Zdim został oddany do terminu, nie daje ci żadnego prawa, by się nad nim znęcać.

- Co... to... zębacz? - zapytałem.

- Ryba, która żyje w... eee... rzekach i jeziorach na tym planie - wyjaśnił Maldivius. - Para wici na twojej górnej wardze przypomina mu wąsy tej ryby. No cóż, zobowiązałeś się służyć mi przez rok. Czy to jest jasne?

- Tak jest.

- Tak jest, panie!

Z irytacji moje wici aż się skręcały, lecz cóż, ten człowiek miał mnie w ręku. Choć mógłbym go rozerwać na pół, nieodpowiednie zachowanie sprawiłoby mi kłopoty po powrocie do mego własnego planu. A poza tym, zanim zostaniemy poddani procedurze przesyłania, jesteśmy uczeni, że nie należy się dziwić niczemu, co robią mieszkańcy Pierwszego Planu. Odpowiedziałem więc:

- Tak jest, panie.

Dla kogoś, kto nigdy nie widział Pierwszoplanowca, są oni odpychający. Zamiast okrycia z pięknych, szarobłękitnych łusek, połyskujących metalicznym blaskiem, mają miękką, niemal nagą skórę w różnych odcieniach różu, żółci lub brązu. Niedysiejsi mieszkańcy tropików do chłodniejszego klimatu zaadaptowali się przykrywając ciało tkaniną. Ich wewnętrzne ciepło w połączeniu z izolacją osiągniętą dzięki przedmiotom zwanym “odzieżą” pozwala im wytrzymać temperaturę, w której demon zamarzlby na sople lodu.

Ich oczy mają okrągłe źrenice o bardzo małej zdolności akomodacji do światła; dlatego też w nocy są niemal ślepi. Mają śmieszne małe, krągłe uszy. Ich twarze są zapadnięte, pysk i kły niemal zanikły. Nie mają ogonów, a palce rąk i nóg są zakończone płaskimi, szczałkowymi pazurami, które zwą “paznokciami”.

Z drugiej strony, choć ich wygląd i zachowanie często wydają się dziwaczne, to jednak cechuje ich wyjątkowy spryt i pomysłowość. Są też nieskończenie płodni w wymyślaniu wiarygodnych powodów, by czynić to, na co mają ochotę. Zdumiało mnie, gdy się dowiedziałem, że używają takich wyrażen, jak “szatańsko mądry” i “diabelsko sprytny”. “Szatański” i “diabelski” są obelżywymi terminami, których używają w stosunku do nas, demonów, tak jakbyśmy mieli więcej niż oni tej perwersyjnej pomysłowości!

- Gdzie... jestem? - zapytałem Maldiviusa.

- W podziemnym labiryncie pod ruinami świątyni Psaan, niedaleko miasta, które nazywa się Chemnis.

- Gdzie to jest?

- Chemnis znajduje się w Republice Ir, która jest jednym z Dwunastu Narodów Novarii, a leży u ujścia naszej głównej rzeki, Kyamos. Miasto Ir jest odległe o około czterdzieści kilometrów od Kyamos. Odbudowałem ten labirynt, a główną komorę zamieniłem na pracownię.

- Czego chcesz ode mnie?

- Twoim głównym obowiązkiem będzie pilnowanie tej izby w czasie mej nieobecności. Moje księgi i przybory magiczne, a szczególnie ten przedmiot, są bardzo cenne.

- Co to takiego, panie?

- Hm. To Szafir Sybilliński, najwyższej jakości kryształ do wróżenia. Masz go bacznie pilnować i biada ci, jeśli przez nieuwagę strącisz go z podstawki i rozbijesz!

- Czy nie powinienem więc odsunąć go na bok, gdzie nie będzie zawadzał? - zapytałem.

Chłopak zmarszczył twarz, w jego oczach błysnęła wrogość; ludzkie istoty mają bardzo ruchliwe, ekspresyjne twarze, jeśli tylko umie się z nich czytać.

- Chwileczkę - powiedział. - Nie ufam temu kochanemu Zębaczowi. - Przesunął stolik i obrócił się do mnie. - A teraz, panie Zębacz, następna sprawa. Będziesz nam gotował i sprzątał, ha, ha!

- Ja mam gotować i sprzątać? - zdziwiłem się. - To praca dla kobiety! Należało wywołać demonicę!

- Cha! Cha! - Młodziak zaśmiał się szyderczo. - Gotowałem i sprzątałem przez trzy lata, ręczę więc, że ta zmiana nie przyniesie ci żadnej ujmy.

Odwróciłem się do Maldiviusa; to on był przecież moim panem. Ale czarownik powiedział jedynie:

- Grax ma rację. W miarę opanowywania przez niego arkanów magii chcę, by poświęcał coraz więcej czasu na asystowanie mi. Dlatego nie może się zajmować obowiązkami domowymi.

- Dobrze - odrzekłem. - Będę się starał pana zadowolić. Powiedział pan jednak, że to miejsce leży blisko miasta. Dlaczego nie wynająć do tych celów jakiejś kobiety stamtąd? Jeśli jest ono podobne do miast z mego planu, powinny w nim być kobiety bez pracy...

- Nie kłóć się, demonie! Masz wykonywać moje rozkazy dosłownie i dokładnie, bez dyskusji. Odpowiem ci jednak na pytanie. Po pierwsze, wiadomość o tobie przeraziłaby mieszczan.

- O mnie? Ależ panie, u siebie w domu jestem uważany za najłagodniejszego i najbardziej potulnego z demonów, spokojnego studenta filozofii...

- A po drugie, musiałbym powiedzieć tej kobiecie, jak wchodzić i wychodzić z labiryntu. Z oczywistych powodów nie życzę sobie, by informacje te były znane całemu światu. Hm... Pora, byś zaczął wypełniać swe obowiązki. Twoim pierwszym zadaniem będzie przygotowanie dzisiejszej kolacji.

- Na bogów Ning! Jak mam to zrobić, panie? Czy powinienem udać się na zewnątrz, by upolować jakiegoś dzikiego zwierza?

- Nie, w żadnym wypadku, mój dobry Zdimie. Grax pokaże ci kuchnię i udzieli wskazówek. Jeśli zaraz zaczniesz, to jeszcze przed zachodem słońca powinieneś zdążyć przygotować smacznego posiłek.

- Ależ, panie! W czasie wyprawy myśliwskiej potrafię upiec na obozowym ognisku dzikiego węża, lecz nigdy w życiu nie gotowałem prawdziwego obiadu.

- Więc naucz się, sługo - powiedział Maldivius.

- Ej, ty, idziemy! - zwrócił się do mnie Grax, zapalając małą lampkę od jednej z mosiężnych lamp.

Wprowadził mnie do tunelu. Droga wiła się i skręcała to w jedną, to w drugą stronę, mijaliśmy szereg skrzyżowań i rozwidleń.

- Jak, na bogów, znajdujesz właściwą drogę? - zapytałem.

- Jach, na bochów, snajtujesz właściwom droche? - powtórzył, przedrzeźniając mą wymowę. - Zapamiętaj formułę. Gdy wychodzisz, to: prawo-lewo-prawo-lewo-lewo-prawo-prawo. Wchodząc do labiryntu robisz wszystko na odwrót: lewo-lewo-prawo-prawo-lewo-prawo-lewo. Poradzisz sobie?

Wymruczałem formułę. Następnie zapytałem:

- Dlaczego doktor Maldivius umieścił kuchnię tak daleko od pracowni? Potrawy będą zimne, zanim kucharz postawi je na stole.

- Głupek! Gdybyśmy gotowali wewnątrz labiryntu, byłby wypełniony dymem i wyziewami. Będziesz po prostu musiał biec z tacą. Jesteśmy na miejscu.

Stanęliśmy przed wejściem do labiryntu, gdzie kręty korytarz się prostował. Po obu stronach znajdowały się drzwi prowadzące do jakichś pomieszczeń, a z odległego końca dochodziło światło dzienne.

Były tam cztery pomieszczenia. Dwa zostały przeznaczone na sypialnie, trzeciego używano do przechowywania rzeczy mieszkańców. W czwartym, obok wyjścia, urządzono kuchnię. W jednej ze ścian wybito okno.

W oknie znajdowała się żelazna rama z kasetonami, w których osadzono wiele małych płytek ze szkła ołowiowego. Była teraz otwarta, co pozwalało wyjrzeć na zewnątrz. Pomieszczenie znajdowało się w skalnej ścianie, a fale Oceanu Zachodniego uderzały w głązy u podnóża urwiska jakieś trzydzieści pięć metrów poniżej. Biegąca łukiem ściana urwiska zapewniała dobry widok z okna na stromy stok. Na zewnątrz padało.

Podziemna rura kierowała do kuchni strumień wody, która ściekała z góry do jednego z dwóch drewnianych zbiorników. Grax rozpałił ogień w palenisku i powyciągał jakieś szpikulce do rożna, kotły, patelnie, widelce i inne przybory kuchenne. Następnie otworzył skrzynie zawierające różne surowce i objaśnił naturę każdego z nich, wymyślając mi awansem za niezdarność i głupotę.

Nauczyłem się interpretować jego wibracje jako przejaw nienawiści. Nie mogłem jej zrozumieć, gdyż nie uczyniłem niczego, czym mógłbym zasłużyć na wrogość Graxa. Przypuszczam, że był zazdrosny o każdego, kto naruszał jego monopol na czas i uwagę Maldiviusa, pomimo że byłem tu wbrew mej woli, by spłacić stukilowy blok żelaza, który otrzymało moje plemię. Zazdrościłem tym, których było stać na żelazo do zrobienia zwykłej kraty w oknie.

Przeszedłem przez wiele ciężkich prób w czasie służby na Pierwszym Planie, lecz nigdy nie byłem bardziej rozdrażniony niż wtedy, przy szykowaniu kolacji. Grax odklepał instrukcje, nastawił klepsydrę, by zmierzyć jak długo zajmie mi gotowanie, i zostawił mnie samego.



Próbowałem postępować zgodnie z jego wskazówkami, lecz ciągle myliłem dane dotyczące czasu, odległości od ognia i tak dalej.

Gdy wreszcie uznałem, że zapanowałem nad wszystkim, udałem się z powrotem do pracowni, by spytać o dalsze instrukcje. Z miejsca jednak skręciłem w złą stronę i zgubiłem się w labiryncie. Wreszcie udało mi się wrócić do wejścia. Z wysiłkiem odtworzyłem formułę wchodzenia do labiryntu i tym razem dotarłem do pracowni bez pomyłek.

- Gdzie jest nasza kolacja? - zapytał Maldivius.

Obaj siedzieli na tych zdezelowanych krzesłach i popijali z glinianych kubków napój zwany olikau, który importowano z Paaluy przez Ocean Zachodni.

- Mam kilka pytań, panie... - I poprosiłem o więcej wyjaśnień. Gdy mag udzielił mi ich, z powrotem odnalazłem drogę do wejścia.

Kuchnia była wypełniona dymem i śwędem, gdyż podczas mej nieobecności główne danie, szynka w plastrach, spaliło się na czarny węgiel.

Podążyłem jeszcze raz do pracowni.

- No? - warknął Maldivius. - Gdzie nasza kolacja?

Opowiedziałem, co się przydarzyło.

- Ty idioto! - wrzasnął czarownik. - Na brodę Zevatasa, ze wszystkich głupich, nieudolnych, niekompetentnych i niedołącznych diabłów, jakie kiedykolwiek widziałem, ty jesteś najgorszy!

Porwał różdżkę i pogonił za mną wokół pomieszczenia, wałąc mnie po głowie i plecach. Zwykłego patyka nawet bym nie poczuł, lecz uderzenie różdżką wywołuje okropnie piekący, palący ból. Przy trzecim okrążeniu zacząłem odczuwać złość. Mógłbym z łatwością rozszarpać doktora Maldiviusa, kawałek po kawałku, lecz powstrzymały mnie od tego warunki umowy i strach przed własnym rządem.

- A może byśmy odsprzedali kochanego Zębacza, co, mistrzu? - zaproponował pan Grax. - Odeślijmy go z powrotem na Dwunasty Plan i zażądajmy innego demona, który by miał rozumu przynajmniej tyle co ropucha.

Doktor Maldivius stał dysząc, oparty o różdżkę.

- Zabierz tę żalostną imitację demona do kuchni i zacznij od początku.

Grax poprowadził mnie raz jeszcze przez labirynt, szczerząc zęby i żartując sobie z niedostatków mego intelektu. (Wśród ludzi powszechną praktyką jest czynienie mnóstwa uwag bez najmniejszego sensu. Nazywają je "żartami", a po nich odsłaniają zęby i wydają dźwięki: "Cha! Cha! Cha! Cha!" Myślę, że sprawia im to przyjemność.) Gdy wreszcie dotarliśmy na miejsce,

stwierdziłem, że cała woda z garnka z rzepą wygotowała się, a rzepa przywarła do dna, na wpół spalona.

Upłynęły pełne trzy godziny, od chwili gdy po raz pierwszy pojawiłem się w kuchni, zanim udało mi się przyrządzić znośną kolację dla pary swarliwych czarodziejów. I znowu zgubiłem się w labiryncie, wędrując do pracowni. Zanim znalazłem swych konsumentów, posiłek był zimny. Na szczęście dla mnie obaj w tym czasie wypili tyle olikau, że niczego nie zauważyli. Grax dostał napadu chichotu. Gdy zapytałem Maldiviusa, kiedy i co mogę zjeść, jedynie wytrzeszczył na mnie oczy i wybełkotał:

- Co? He? Kto?

Wróciłem więc do kuchni i przygotowałem kolację dla siebie. Nie była wyjątkowo smakowita, lecz głód tak mi doskwierał, że uznałem, iż ten posiłek jest lepszy od wszystkiego, co jadłem do tej pory, a może i od tego, co będę miał sposobność zjeść w przyszłości.

\*\*\*

W ciągu kolejnych dni moje umiejętności kucharskie poprawiły się, choć nie sądzę, bym miał się kiedykolwiek ubiegać o stanowisko szefa kuchni w pałacu wielkiego lorda Pierwszego Planu. Pewnego dnia, gdy Grax biegał załatwiając jakieś sprawy, Maldivius wezwał mnie do pracowni.

- Nazajutrz wybieram się na mule do Ir - powiedział. - Spodziewam się wrócić za dwa lub trzy dni. Większość tego czasu będziesz sam. Chcę, byś cały czas pozostawał w pracowni na straży, wyposażony w najbardziej niezbędne rzeczy. Przynoś tutaj swoje posiłki. Spać możesz na otomance.

- Panie, czy pan Grax nie będzie mi dotrzymywał towarzystwa?

- Nie wiem, co rozumiesz przez "dotrzymywanie towarzystwa", gdyż nie umknęło mej uwadze, że tego, co czujecie do siebie, w żaden sposób nie można nazwać miłością. A poza tym wiem z doświadczenia, że gdybym nawet rozkazał Graxowi zostać, to wyślizgnie się do Chemnis, jak tylko straci mnie z oczu. Z tego właśnie powodu zawarłem umowę na twoje usługi.

- Panie, dlaczego on tak postępuje?

- Ma dziewczynę w mieście, którą odwiedza w celach... eee... cudzołożenia. Powtarzałem mu wiele razy, że jeśli chce się osiągnąć wyższe stopnie wtajemniczenia w naszej profesji, trzeba zrezygnować z cielesnych uciech. Lecz on nie zwraca na nic uwagi. Jak większość młodzików sądzi, że każdy, kto go przewyższa wiekiem, z pewnością cierpi na uwiad starczy.

- A czy ty, panie, zachowywałeś w jego wieku wstrzemięźliwość, której wymagasz od niego?

- Zamilknij i nie mieszaj się w nie swoje sprawy, bezczelny łajdaku. No cóż... Zbliź się. Zostaniesz na straży i będziesz pilnował mego majątku, a zwłaszcza Szafiru Sybillińskiego. Jeśli zaś ktokolwiek wejdzie do pracowni przed moim powrotem, masz go natychmiast pożyć.

- Czy jesteś pewien, panie? Myślałem...

- Nie wziąłem cię po to, byś myślał, lecz po to, byś wykonywał rozkazy! Słuchaj ich, staraj się je zrozumieć i bądź mi posłuszny! Pierwsza osoba, która wejdzie do pracowni przed moim powrotem, ma być żywcem zjedzona! Żadnych wyjątków! Nikt nie będzie mógł twierdzić, że nie został ostrzeżony. Grax zrobił przecież napis "UWAGA, DEMON" i wywiesił go nad wejściem. Zrozumiałeś?

Westchnąłem.

- Tak jest, panie. Czy wolno mi zapytać, co jest powodem wyjazdu?

Maldivius zachichotał.

- Mam szansę "obłowić" się, jak mawiają ludzie z gminu. W moim szafirze dostrzegłem, że do Ir zbliża się zagłada. Jedyne ja wiem o tym, więc w zamian za informację powinno mi się udać wycisnąć ze skąpych syndyków odpowiednią zapłatę.

- Panie, wydaje mi się, że jako obywatel Ir ostrzeżenie własnego państwa powinienes uważać za swój obywatelski obowiązek bez względu na nagrodę...

- I ty śmiesz mi mówić o moich obowiązkach? - Maldivius porwał różdżkę, jakby chciał mnie uderzyć, lecz opanował się. - Któregoś dnia wyjaśnię ci to. Teraz niech ci wystarczy, że powiem, iż nie czuję szczególnej lojalności do miasta, którego sędziowie złupili mnie, którego bogacze mną gardzą, gdzie moi koledzy spiskują przeciwko mnie, a mali chłopcy biegają za mną, naśmiewając się i rzucając kamieniami. Gdybym postąpił zgodnie ze swymi pragnieniami, po prostu pozwoliłbym, by ten kataklizm ich pochłonał. Lecz zaprzepaścić sposobność zdobycia zysku na rzecz pustej satysfakcji z rewanżu? Nie, to by było przejawem młodzieńczej głupoty. Ale dosyć gadania, nie zapomnij rozkazów!

## II - Syndyk Jimmon

Wyszedłem za czarownikiem na górę, schodami przy ścianie urwiska. Wokół nas leżały ruiny świątyni Psaana, novaryjskiego boga mórz. Kikuty marmurowych kolumn stały w szeregach, jak oddział żołnierzy zamienionych w kamień przez czarownika, a ich samotne głowice i odłamki spoczywały na popękanej i pofałdowanej nawierzchni marmurowego dziedzińca. W szczelinach rosła trawa, krzaki, a nawet kilka drzew, które pochylały się nad płytami chodnika. Niegdyś, jak mi powiedział Maldivius, ruin było znacznie więcej, lecz już od stuleci miejsce to służyło Chemnitom za kamieniołomy.

Gdy siodłałem muła i przywiązywałem worek podróży doktora do tylnego łęku siodła, Maldivius powtórzył instrukcje, po czym się oddalił.

Doktor Maldivius dobrze znał swego ucznia. Gdy wróżbita zniknął mi z oczu, zacząłem schodzić po schodach. Musiałem się jednak zatrzymać, by dać przejście panu Graxowi, ubranemu w wyjściowy kubrak i buty. Młodzik wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Dobra, Zębaczysko - odezwał się do mnie. - Wybieram się do miasta. Myślę, że chętnie byś się zabawił, tak jak ja mam zamiar! - Tu zrobił charakterystyczny ruch biodrami, by pokazać, o co mu chodzi.

- Przyznaję, że brak mi żony - odpowiedziałem - lecz...

- Czy to ma znaczyć, że demony mają żony, tak jak ludzie?

- Oczywiście. A co ty myślałeś?

- Sądziłem, że gdy chcecie mieć potomstwo, to dzielicie się na pół, a każda połówka staje się nowym demonem. Maldivius opowiadał mi, że tak robią jakieś wodne żyjątka. I spółkujecie z żonami, tak jak my?

- Tak jest, choć nie przez cały rok, jak, mam wrażenie, robią mieszkańcy Pierwszego Planu.

- To co, może byś poszedł ze mną do Chemnis? Znam pewną kobitkę...

- Rozkazy mi nie pozwalają. Poza tym wątpię, by cielesne połączenie ze mną sprawiło przyjemność ludzkiej kobiecie.

- Dlaczego? Nieodpowiednie rozmiary?

- Nie, kłujące wąsy na moim członku.

- Ty masz go rzeczywiście?

- Oczywiście, wewnątrz.

- A co sądzą o tych wąsach wasze kobiety? Myślę, że powinienem nazywać je demonicami.

- Uważają, że są bardzo pobudzające. Lecz teraz muszę zająć swój posterunek w głównej komorze.

- Cóż, głupku, nie zaśnij i nie pozwól, by ją jakiś złodziej opróżnił! Jestem pewny, że paru chłopaków z Chemnis nie miałoby nic przeciwko temu, by sobie dorobić jakimś włamaniem. Wrócę jutro.

Poszedł długimi krokami po zakurzonej drodze, którym wyprawił się Maldivius. Wróciłem do pracowni. Przez kilka ostatnich dni byłem zbyt zajęty, by spokojnie strawić posiłki i czułem się trochę wzdęty. Z radością więc skorzystałem z szansy, by zapaść w niezbędną mi, a spóźnioną poobiednią drzemkę. Trwała ona do następnego dnia, jak oceniłem na podstawie wskazań małego zegara wodnego stojącego na jednym ze stołów Maldiviusa.

Podniosłem się i właśnie napełniałem wodą zbiornik zegara, gdy usłyszałem stuk obcasów w labiryncie. Pomyślałem, że może to być Grax, jednak równie dobrze mógł wchodzić w grę jakiś nieproszony gość.

Wtedy przypomniało mi się, jak bardzo doktor Maldivius nalegał, bym pozarł pierwszego człowieka, który wejdzie do pracowni przed jego powrotem. Powiedział, że nie wolno mi robić żadnych wyjątków, a przecież musiałem wykonywać jego rozkazy dosłownie i bez ociągania. Gdy próbowałem zaś ustalić, czy nie chce zrobić wyjątku dla pana Graxa, kazał mi się zamknąć. Uznałem, że dla jakichś tajemniczych powodów życzył sobie, bym potraktował Graxa jak każdego innego intruza.

W tej chwili właśnie Grax stanął w wejściu, trzymając na ramieniu worek kupionych we wsi wiktuałów.

- Cześć, głupku! - krzyknął. - Biedne Zębaczysko, nie masz nic lepszego do roboty, jak siedzieć w pracowni i udawać posąg jakiegoś pogańskiego bożka? Hej, co ty robisz?

Grax, mówiąc, wchodził w głąb pracowni. Zdążył wydać zaledwie jeden krótki okrzyk, gdy skoczyłem na młodzika, rozdarłem go na strzępy i zjadłem. Muszę przyznać, że był znacznie bardziej strawny jako posiłek niż jako żywy współtowarzysz.

Zaniepokoiło mnie jednak parę spraw. Po pierwsze, krótka utarczka spowodowała nieład w pokoju. Stół został wywrócony, a wszystko wokół było zbryzgane posoką. Obawiając się, że Maldivius wychłoscze mnie za niestaranne doglądanie domu, rzuciłem się do sprzątanego z wiadrem, ścierką, i miotłą. W ciągu godziny usunąłem niemal wszystkie ślady całej awantury. Większe kości po świętej pamięci Graxie poutykałem estetycznie na pustej półce. Kropla krwi upadła na spoczywający na półce tom Materialnej i duchowej doskonałości w dziesięciu łatwych lekcjach, napisany przez Voltipera z Kortoli, i spłynęła między kartki, znacząc kilka z nich wielkim, czerwonym kleksem.

Gdy tak pracowałem, napadła mnie inna myśl. Na Planie Dwunastym od czasów Wonka Reformatora pożeranie żywcem współtowarzyszy było surowo zabronione. Uważałem, że Plan Pierwszy powinien mieć podobne prawa, chociaż nie miałem sposobności, by zapoznać się z różlicznymi systemami prawnymi tego świata. Nastrój poprawiła mi jednak myśl, że działałem na wyraźny rozkaz Maldiviusa, on więc ponosił za wszystko odpowiedzialność.

\*\*\*

Doktor Maldivius wrócił wieczorem następnego dnia. Od razu zapytał:

- Gdzie jest Grax?

- Wykonując twe rozkazy, panie, byłem zmuszony pożreć go.

- Co?

- Tak jest, panie. - I wyjaśniłem okoliczności.

- Imbecyl! - wykrzyknął czarownik, zmierzając w mój kierunku ze swą różdżką. - Dupek! Głupiec! Osioł! Tepak! Dureń! Oferma! Cóż uczyniłem bogom, że zesłali mi takiego matoła jak ty?

Klnąc, chłostał mnie i walił przez cały czas. Wreszcie udało mi się wyrwać z pracowni, lecz szybko zabłądziłem w labiryncie. Dzięki temu Maldivius osaczył mnie w końcu ślepego korytarza i wymierzał karę do chwili, aż się zmęczył.

- Czy chodzi ci o to, panie - w końcu mogłem się odezwać - że nie chciałeś, bym pożarł tego młodziana?

- Oczywiście, że tak! Każdy idiota by zrozumiał! - Znowu mnie uderzył.

- Ale, panie, zleciłeś mi wyraźnie... - Spokojnie wyjaśniłem mu logikę całej sytuacji.

Maldivius odgarnął swe włosy z twarzy i przejechał rękawem po czole.

- A niech cię, chyba powinienem był to przewidzieć. Wracajmy do pracowni.

Tam polecił mi:

- Pozbieraj te kości, zwiąż i wrzuć do morza.

- Wybacz mi, panie. Próbowałem zrobić wszystko, by cię zadowolić. Ale, jak mówimy w Ning, nikt nie jest doskonały. Czy z powodu zniknięcia Graxa możesz popaść w jakieś prawne tarapaty?

- Mało prawdopodobne. Był sierotą bez żadnych krewnych, dlatego chciał zostać moim uczniem. Jeśli jednak ktoś by cię zapytał, odpowiedz, że spadł z urwiska i został porwany przez mieszkańców wodnych głębin. A teraz pomyślmy o porządnej kolacji, gdyż oczekuję jutro znakomitego gościa.

- Kogo, panie?

- Jego Ekszelencji Jimmona, naczelnego syndyka miasta Ir. Złożyłem syndykom pewną ofertę, lecz oni ją wyśmiali i uważają, że jedna dziesiąta podanej przeze mnie ceny będzie właściwą zapłatą. Jimmon zaproponował jednak, że wpadnie do mnie, by raz jeszcze przedyskutować całą sprawę. Zapowiada się długi targ.

- Czy jesteś pewny, panie, że przewidywane przez ciebie nieszczęście nie spadnie na kraj w czasie, gdy ty będziesz się targował z syndykami? Jak mówimy na moim planie, więcej warta ryba na patyku niż dwie w strumyku.

- Nie, nie. Cały czas obserwuję zbliżające się niebezpieczeństwo za pomocą szafiru. Mamy mnóstwo czasu.

- A czy mogę zapytać, co to za niebezpieczeństwo?

- Oczywiście, że możesz, cha, cha, lecz nic ci nie powiem. Wiem bardzo dobrze, że lepiej nie wypuszczać ptaszka z klatki, rozpowiadając o tym, co tylko ja wiem. A teraz bierz się do pracy.

Jego Ekszelencja Syndyk Jimmon był tłustym, łysym mężczyzną. Przyniesiono go w lektyce, która została u nas na noc, natomiast jego służący poszli nocować do Chemnis. Robiłem wszystko co w mej mocy, by wypaść jak najlepiej, w roli doskonałego służącego. Zgodnie z poleceniem, w czasie kolacji stałem za krzesłem gościa, gotów uprzedzać każde jego życzenie.

Podczas jedzenia Jimmon i Maldivius targowali się co do ceny za ujawnienie klęski grożącej Ir, w przerwach plotkując o różnych wydarzeniach. W którymś momencie Jimmon zauważył:

- Jeśli ktoś nie powstrzyma tej bezczelnej kobiety, na róg Thio, ona w końcu znajdzie się w Radzie Syndyków.

- I co z tego? - zapytał Maldivius. - Wasz rząd jest oparty na bogactwie, a madame Roska jest bogata. Dlaczego więc przeszkadza panu, że może ona zająć miejsce wśród was?

- Nigdy jeszcze kobieta nie była syndykiem. To byłby precedens. Co więcej, wszyscy wiedzą, jaka z niej głupia kobieta.

- Hm. Wydaje mi się, że jednak nie tak bardzo, jeśli umiała pomnożyć swój majątek.

- To, być może, dzięki czarom. Mówi się o niej, że para się magią. Hm... Świat musi stać na głowie, jeśli lekkomyślny ptasi mózdzek może zgromadzić taki majątek. Lecz pomówmy o bardziej przyjemnych sprawach. Czy widział pan już wędrowny cyrk Bagarda? Przebywał w Ir przez dwa tygodnie. Wydaje mi się, że Bagardo Wielki jeździ teraz ze swym przedstawieniem po miasteczkach i wioskach. Rozrywka, jaką zapewnia, nie jest zła. Lecz jeśli zawita do Chemnis, proszę uważać, by was nie oskubał. Jak wszyscy tego typu sztukmistrze, ma na podorędziu mnóstwo różnego rodzaju forteli i chwytów. - Maldivius odchrząknął: - Musiałby się znacznie wcześniej urodzić, by mnie oskubać, żadnej innej szansy nie ma. I niech Wasza Ekszelencja

przestanie się tak wiercić, mój służący nie zrobi panu żadnej krzywdy. To prawdziwy wzór absolutnego posłuszeństwa.

- Czy nie miałby pan w takim razie nic przeciwko temu, by stanął za pańskim krzesłem, zamiast za moim? Ma niepokojący wygląd, a od ciągłego kręcenia głową moja nieszczęsna szyja zaczyna mi drętwieć, gdy śledzę jego ruchy.

Maldivius polecił mi zmienić miejsce. Zrobiłem, co kazał, choć nie mogłem zrozumieć obaw Jimmona. W domu uważa się mnie za demona idealnie przeciętnego, którego w żaden sposób nie można uznać za kogoś wyjątkowego czy strasznego.

Następnego dnia syndyk Jimmon oddalił się w lektyce, którą niosło ośmiu rosnących tragarzy. Maldivius zaś odezwał się do mnie:

- A teraz, Zdimie, zapamiętaj sobie raz i na zawsze, że pilnujesz pracowni nie po to, by zabijać każdego, komu zdarzy się tam wejść, lecz by zapobiec kradzieży. Masz więc pożerać złodziei, nikogo więcej.

- Lecz, panie, jak mam rozpoznać złodzieja?

- Po jego zachowaniu, durniu! Jeśli będzie widać, że rozgląda się za czymś, co należy do mnie, by z tym uciec, zabij go. Lecz jeśli będzie zwykłym klientem, który chce uzyskać horoskop, domokrażcą handlującym jakimiś drobiazgami czy wieśniakiem z Chemnis oferującym worek swych produktów za pomoc w odnalezieniu zgubionej przez żonę bransolety, to posadź go uprzejmie i uważnie pilnuj do mego powrotu. Jednak dopóki nie będzie próbował w oczywisty sposób czegoś zwędzić, nie rób mu krzywdy! Czy zrozumiałeś mnie dobrze, ty zakuty łbie?

- Tak jest, panie.

Przez następne dwa tygodnie niewiele się przydarzyło. W dalszym ciągu gotowałem i sprzątałem. Maldivius udał się raz do Chemnis, a raz do Ir; Jimmon złożył nam jeszcze jedną wizytę. Obaj kontynuowali targi, dogadując się i ustępując w swoich żądaniach w żółtym tempie. Uważałem, że przy tej szybkości prowadzenia pertraktacji zapowiadana zagłada mogłaby nastąpić ze trzy razy, nim oni doszliby wreszcie do porozumienia.

Jeśli Maldivius nie był zajęty czymś innym, to wpatrywał się w Szafir Sybilliński. Żądał, bym stał za nim na straży, gdy był w proroczym transie, więc szybko poznałem procedurę. Modlił się, w małym kociołku palił jakąś mieszaninę wonnych ziół i wdychał ich dym, jak również odśpiewywał zaklęcie w języku mulwańskim, zaczynające się od słów:

*Jyu zorme barh tigai tyuvu;*

*Jyu zorme barh tigai tyuvu;*



Swoimi witkami byłem w stanie wyczuć, kiedy zaklęcie zaczynało działać.

Gdy opanowałem już domowe zadania, stwierdziłem, że czas bardzo mi się dłuży. My, demony, jesteśmy znacznie bardziej cierpliwi niż nerwowi Pierwszoplanowcy; niemniej jednak stwierdziłem, że siedzenie godzinami w pracowni bez żadnego zajęcia to coś więcej niż zwykła nuda. Wreszcie zapytałem:

- Panie, czy wolno mi wziąć do czytania którąś z twych ksiąg, gdy nie mam żadnego zajęcia?

- Co? - zdziwił się Maldivius. - Ty umiesz czytać w języku novariańskim?

- Uczyłem się go w szkole i...

- Czy chcesz powiedzieć, że na tym waszym Dwunastym Planie macie również szkoły?

- Oczywiście, panie. W jakież inny sposób moglibyśmy wychować swe młode?

Maldivius trwał w zdumieniu.

- Macie również młodzież? Nigdy nie słyszałem o młodych demonach.

- Jest to zrozumiałe, gdyż nie pozwalamy, by niedojrzałe osobniki z naszego rodzaju służyły na Pierwszym Planie. Byłoby to dla nich zbyt ryzykowne. Zapewniam cię, panie, że wylęgamy się, dorastamy i umieramy jak wszystkie inne istoty obdarzone czuciem. A wracając do twoich ksiąg, panie, zauważyłem, że masz leksykon, z którego mógłbym korzystać, gdy napotkam nie znane mi słowo. Dlatego usilnie proszę o pozwolenie na korzystanie z niego.

- Hm, hm... Nie jest to zły pomysł. Jeśli staniesz się dostatecznie wykształcony, będziesz mógł mi czytać, jak zwykł czynić nieszczęsny Grax. W moim wieku muszę korzystać z pomocy szkła powiększającego, co sprawia, że czytanie jest męczącym zajęciem. O jakiej książce myślałeś?

- Chciałbym zacząć od tej, panie - powiedziałem, wyciągając tom Materialna i duchowa doskonałość w dziesięciu łatwych lekcjach pióra Voltipera. - Sądzę, że powinienem dojść do najwyższej perfekcji, jaką mogę osiągnąć, by uzyskać satysfakcję na tym nie znanym mi planie.

- Pozwól mi rzucić okiem! - powiedział Maldivius, wrywając książkę z mych pazurów. Jego starcze oczy, wbrew temu co mówił wcale nie tak słabe, zauważyły plamy krwi na kilku stronach. - Pamiątka po biednym Graxie, co? Masz szczęście, szatański Zdimie, że księga nie ma żadnego znaczenia dla magii. Dobrze, weź ją, może zawarte w niej rady dadzą ci jakąś korzyść.

Tak więc, z pomocą leksykonu Maldiviusa, zacząłem się przekopywać przez Voltipera z Kortoli. Rozdział drugi był poświęcony teorii odżywiania, którą stworzył Voltiper. Był on, jak się okazało, wegetarianinem. Twierdził, że tylko unikając zwierzęcego mięsa czytelnik może osiągnąć stan upragnionego, idealnego zdrowia i duchowego zestrojenia z kosmosem. Voltiper miał również obiekcje moralne co do zarzynania na pożywienie istot mających czucie. Utrzymywał, że mają

dusze, nawet jeśli tylko w stanie szczątkowym, i że są spokrewnione z istotami ludzkimi, pochodząc w swym ewolucyjnym rozwoju od wspólnych przodków.

Argumenty moralne nie bardzo mnie obchodziły, gdyż byłem jedynie tymczasowym mieszkańcem tego planu. Chciałem jednak jak najlepiej zaadaptować się do warunków Pierwszego Planu, by mój pobyt na nim był jak najmniej bolesny. Przeszedłem więc z Maldiviusem na dietę wegetariańską.

- Wspaniała idea, Zdimie - orzekł. - Kiedyś sam również praktykowałem taką dietę, lecz Grax tak się upierał przy mięsie, że mu ustąpiłem. Skorzystajmy z przepisów Voltipera. Zmniejszy to również nasze wydatki.

Tak więc przestaliśmy z Maldiviusem kupować mięso w Chemnis, a kontentowaliśmy się chlebem i zieleniną. Któregoś dnia Maldivius rzekł:

- Zdimie, Szafir Sybilliński mówi mi, że cyrk Bagarda pojawi się w Chemnis. Pojadę tam, by obejrzyć przedstawienie, a przy sposobności rozejrzę się dyskretnie, czy nie znalazłby się jakiś następca mego ostatniego ucznia. Ty zostaniesz tutaj.

- Bardzo chciałbym obejrzyć takie przedstawienie, panie. Przesiedziałem w tych ruinach, nie wychylając nosa, już miesiąc.

- Co? Ty miałbyś pójść do Chemnis? Niech mnie bogowie mają w opiece! Miałem już dostatecznie dużo problemów z utrzymaniem właściwych stosunków z ludźmi z miasta, by teraz straszyc ich twoim widokiem.

Nie mogłem nic na to poradzić, więc osiodłałem muła, popatrzyłem za moim panem, aż zginął mi z oczu, i wróciłem do pracowni.

\*\*\*

Po paru godzinach jakiś dźwięk oderwał mnie od czytania. Wydawało mi się, że dochodzi z góry. Chociaż mosiężne lampy nie oświetlały zbyt mocno sklepienia, to jednak z łatwością dostrzegłem, że w tynku pojawiła się wielka, prostokątna dziura. Nie mam pojęcia, jak nieproszony gość zdołał unieść taki kawał tynku, nie łamiąc go ani nie niepokojąc mnie wcześniej. Sztuczki włamywaczy z Pierwszego Planu są nazbyt wymyślne dla szczerego, prostolinijnego umysłu uczciwego demona.

Zamarłem na krześle, bacznie obserwując sytuację. Demony mają tę przewagę nad istotami ludzkimi, że są zdolne do pozostawiania w prawdziwym bezruchu. Pierwszoplanowiec, nawet jeśli usiłuje być nieruchomy, zawsze się trochę wierci i niepokoi. Jeśli nawet nic więcej go nie zdradza, to wystarczy sam fakt, że kilka razy na minutę musi zaczerpnąć powietrza. Również to, że możemy

według swej woli zmieniać kolor ciała, powoduje, iż Pierwszoplanowcy przeceniają naszą moc - wierzą na przykład, że potrafimy na życzenie zniknąć.

W otworze pojawiła się lina. Niski mężczyzna w czarnym, ciasno dopasowanym stroju spuścił się po niej do środka. Przez szczęśliwy przypadek był zwrócony do mnie tyłem, gdy znalazł się na ziemi. Rozejrzał się szybko wokół, lecz nie zauważył mnie, siedzącego spokojnie na krześle, wtopionego w otoczenie i nawet nie oddychającego. Jak przerażona mysz, bezdźwięcznie stąpając w swych miękkich butach przemknął do stolika, na którym spoczywał Szafir Sybilliński.

W tej samej chwili zerwałem się z krzesła i znalazłem za plecami włamywacza. Ów zaś porwał kamień i zawrócił na pięcie. Przez sekundę czy dwie staliśmy twarzą w twarz, on ze szlachetnym kamieniem w dłoni, ja z obnażonymi kłami, gotów rozszarpać go na strzępy i pożreć.

Lecz wtedy przypomniałem sobie, jak usilnie Voltiper zalecał przestrzeganie wegetarianizmu, a także rozkaz Maldiviusa, by dietę kształtować zgodnie z radami Voltipera. W tym stanie rzeczy było oczywiste, że nie mogę pożreć złodzieja. Z drugiej strony, mój pan rozkazał mi całkiem wyraźnie, że mam zjeść każdego, kogo uznam za bandytę.

Usiłując wykonywać owe wykluczające się wzajemnie rozkazy poczułem, że jestem absolutnie sparaliżowany, zupełnie jakby mnie wsadzono do lodu i głęboko zamrożono. Choć byłem pełen najlepszych intencji, to jednak mogłem jedynie stać jak wypchana bestia w muzeum. Złodziej natomiast przemknął obok mnie i wypadł z pomieszczenia, wyciągając z torby pełną świetlików rurkę, by oświetlić sobie drogę.

Po kilku minutach rozpatrywania całej tej sprawy z najwyższą powagą rozwiązałem problem, jakie byłoby życzenie Maldiviusa, gdyby wiedział o wszystkich okolicznościach. Oczywiście, powinienem schwytać złodzieja, odebrać mu szafir i przytrzymać do powrotu czarownika. Myślę, że było to bardzo mądre rozwiązanie. Oczywiście, Pierwszoplanowcy są znacznie bystrzejsi od nas, demonów, więc oczekiwanie, że będziemy równie pomysłowi jak oni, byłoby nieuczciwe...

Niestety, właściwe rozwiązanie znalazłem za późno. Wybiegłem z labiryntu i pogałem schodami w górę urwiska. Do tego czasu jednak wszelki ślad po panu Złodzieju zginął. Nie byłem w stanie usłyszeć nawet odgłosu jego kroków. Pokręciłem się trochę, próbując schwytać ślad zapachu po nim, lecz bez skutku. Kamień przepadł na dobre.

\*\*\*

Gdy doktor Maldivius wrócił i usłyszał nowinę, nawet mnie nie uderzył. Usiadł, zakrył twarz rękoma i zapłakał. Wreszcie przetarł oczy i spojrzał do góry mówiąc:

- Zdimie, widzę, że żądanie od ciebie, byś radził sobie w nieprzewidzianych sytuacjach, jest jak... eee... jak zachęcanie konia do grania na skrzypcach. Cóż, nawet jeśli miałbym się zrujnować, nie mogę trwać w głupocie, korzystając z twych partackich usług.

- Czy mam rozumieć, panie, że zostanę odesłany z powrotem na mój plan? - zapytałem skwapliwie.

- Na pewno nie! Jedyne, co mogę zrobić, by powetować sobie stratę, to odsprzedać kontrakt. I mam już kupca.

- Co pan rozumie przez odsprzedaż kontraktu?

- Jeśli przeczytałbyś umowę między rządem Ning a Siłami Postępu, bo tak my, novariańscy czarownicy, nazywamy towarzystwo, w którym jesteśmy zrzeszeni, to wiedziałbyś, że umowa między uczniem i mistrzem może zostać przeniesiona na kogoś innego. Gdzieś tu mam jej egzemplarz. - Zaczął szperać w kufierku.

- Panie, ja się nie zgadzam! - wykrzyknąłem. - Przecież to jest niewolnictwo!

Maldivius wyprostował się, trzymając w ręku jakiś zwój, który rozwinął i ustawił tak, by padało na niego światło lampy.

- Widzisz, co tu napisano? I tutaj? Jeśli nie odpowiadają ci warunki, zgłoś to swemu burmistrzowi pod koniec terminowania. Jak ten złodziej wyglądał?

Opisałem człowieka, wspominając o takich szczegółach jak mała blizna na prawym policzku. Żaden Pierwszoplanowiec nie dostrzegłby jej przy tak marnym oświetleniu, jakie dawała wtedy lampa.

- To mógł być Farimes z Hendau - stwierdził Maldivius. - Słyszałem o nim już dawno, gdy mieszkałem w Ir. Dobrze, osiodłaj Pączek Róży. Pojadę do Chemnis jeszcze w nocy.

Czarownik zostawił mnie w niezbyt przyjemnym nastroju. Jestem cierpliwym demonem, zdecydowanie bardziej niż te porywcze, twarogłowe istoty ludzkie, lecz nie mogłem się pozbyć wrażenia, że doktor Maldivius jest wobec mnie niesprawiedliwy. Dwa razy z rzędu całą winę za nasze kłopoty zwałił na mnie, a przecież to on popełnił błąd, wydając mi niejednoznaczne i wzajemnie wykluczające się rozkazy.

Kusiło mnie, by skorzystać z zaklęcia pozwalającego zamknąć moje sprawy tutaj i polecieć z powrotem na Plan Dwunasty, gdzie mógłbym przedłożyć swoje żale burmistrzowi. Uczymy się go, zanim opuścimy nasz plan, byśmy mogli powrócić do domu w razie zagrażającego nam śmiertelnego niebezpieczeństwa. Fakt, że demon może zniknąć w momencie, gdy istoty ludzkie chcą go zabić, sprawia, iż Pierwszoplanowcy przeceniają naszą moc.

Zaklęcie jest jednak długie i skomplikowane. Próbując odtworzyć je w myśli stwierdziłem, że nie pamiętam kilku linijek. Zostałem więc uwięziony na Pierwszym Planie. Być może nie było

to takie złe, gdyż mógłbym zostać skazany za bezzasadne użycie zaklęcia i odesłany z powrotem na Plan Pierwszy, by odsłużyć tam wyrok paru lat. A taki los byłby naprawdę straszny.

\*\*\*

Następnego ranka Maldivius wrócił w towarzystwie jakiegoś człowieka. Siedzący na ładnym srokaczu mężczyzna był ubrany w barwnym, zbyt koczowniczym stylu, podczas gdy mój mistrz nosił ponure, połatanne i zaniedbane szaty. Był mężczyzną w średnim wieku, miał szczupłe nogi, natomiast szerokie ramiona. Golił się, lecz wyglądało na to, że walka z bujnym, gęstym i aż wpadającym w fiolet czarnym zarostem jest bez cienia szansy. U jego uszu bujały się złote kolczyki.

- To - powiedział Maldivius - jest twój nowy pan, Bagardo Wielki. Panie Bagardo, proszę poznać demona Zdimę.

Bagardo obejrzał mnie od stóp do głowy.

- Wydaje się, że niczego mi nie brak, choć trudno ocenić nieznaną mi osobę. Dobrze, doktorze, jeśli da mi pan umowę, podpiszę ją.

I w ten sposób stałem się sługą przypisanym Bagardowi Wielkiemu, właścicielowi wędrownego trupa.

### III - Bagardo Wielki

Chodź ze mną - powiedział Bagardo. Gdy podążyłem jego śladem, ciągnął: - Jak należy poprawnie wymawiać twoje imię? - Zadim, czy tak?

- Nie. Zdim - odparłem. - Jedna sylaba. Zdim, syn Akha, jeśli chce pan być bardzo oficjalny.

Bagardo dla wprawy powtórzył moje imię kilka razy. Zapytałem:

- Jakie będę miał obowiązki?

- Przede wszystkim straszyć gawiedź.

- Nie rozumiem, panie.

- Gawiedź, prostaczkowie, publiczka. Tak my, ludzie cyrku, nazywamy widzów, którzy przychodzą się gapić.

(Bagardo zawsze swoją firmę nazywał "cyrkiem", chociaż inni mówili o niej "trupa". Jak zrozumiałem, różnica polega na tym, że cyrk musi mieć co najmniej jednego słonia, gdy tymczasem Bagardo nie miał żadnego.)

- Zostaniesz umieszczony w ruchomej klatce i będzie się ciebie przedstawiało jako straszego demona z Dwunastego Planu - ludożercę. Nie będzie to wcale kłamstwem, jak mi powiedział Maldivius.

- Panie, to prawda, lecz wypełniałem jedynie rozkaz...

- Nieważne. Postaram się być bardziej precyzyjny, wydając ci rozkazy.

Doszliśmy do miejsca, gdzie ścieżka ze świątyni łączyła się z drogą między Chemnis i Ir. Stała tu podobna do wozu wielka, zbudowana z żelaznych prętów klatka na kołach. Do wozu zaprzęgnięta była para pasących się zwierząt podobnych do muła Maldiviusa, jeśli nie liczyć pokrywających je wyraźnych, czarno-białych pasów. Na miejscu woźnicy rozsiadła się przykucnięta, o niskim czole i z cofniętą brodą istota, której nie okrywało nic poza gęstym futrem. Wyglądała jak człowiek, a jednocześnie zupełnie nieludzko.

- Wszystko w porządku? - zapytał Bagardo.

- Wszystko gra, szefie - odpowiedziało stworzenie głębokim, chrapliwym głosem. - Kto to?

- Nowy członek naszej trupy, zwany Zdimem Demonem - przedstawił mnie Bagardo. - Zdimie, poznaj Ungaha z Komilakhu. Jest istotą, którą my nazywamy człowiekiem-małpą.

- Grabula, kolego niewolnik - powiedział Ungah, wyciągając przed siebie owłosioną łapę.

- Grabula? - powtórzyłem, spoglądając pytająco na Bagardo. - O co mu chodzi?

Bagardo wyjaśnił:

- Ujmij jego prawą dłoń w swoją i delikatnie uściśnij, jednocześnie poruszając nią w górę i dół. Nie podrap go tylko.

Zrobiłem, jak powiedział, mówiąc:

- Bardzo mi miło, panie Ungah, poznać pana. Nie jestem jednak niewolnikiem, lecz wynajętym służącym.

- Sześćciarsz! Ja muszę służyć panu Bagardo aż do śmierci.

- Sam wiesz, że jesz lepiej, niż mógłbyś sobie zamarzyć w dżungli Komilakhu. - Wtrącił się Bagardo.

- Tak jest, panie, ale pokarm to nie wszystko.

- Czego jeszcze ci potrzeba? Nie będziemy się tu jednak spierać cały dzień!

Bagardo otworzył drzwi do klatki.

- Wchodź do środka - polecił mi.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem. Usiadłem na dużej drewnianej skrzyni w końcu klatki. Bagardo zajął miejsce na siedzeniu woźnicy obok Ungaha, który cmoknął i strzelił lejcami. Wóz potoczył się na zachód.

Droga wiła się zygzakami po długim stoku w dół, do doliny rzeki Kyamos, która płynie od Metouro przez Ir do morza. Po godzinie podróży w zasięgu naszego wzroku znalazło się Chemnis, rozłożone nad ujściem rzeki. Według standardów Pierwszego Planu Chemnis to miasto niewielkie, lecz bardzo ożywione, gdyż jest głównym portem republiki Ir. Ponad dachami widziałem maszty i reje statków.

Rozłożone pod miastem skupisko namiotów z barwnymi proporcami stanowiło trupe Bagardo. Gdy podjechalśmy bliżej, dostrzegłem kilkunastu mężczyzn zajętych zwijaniem namiotów i ładowaniem ich na wozy, do których inni zaprzęgali konie. Gwar i krzyki można było słyszeć już z daleka.

Gdy mój klatkowóz dotarł do miejsca postoju, Bagardo zeskoczył z ławki.

- Idioci! Nieroby! Wredne, leniwe półgłówki! - wykrzykiwał. - Już dawno powinniście być gotowi do wyjazdu! Czy nie umiecie zrobić niczego, jeśli nie stoję j nad wami? Ungah, ty gołodupa małpo, przestań się bezczelnie uśmiechać! Złaź i bierz się do roboty! Wypuść Zdima, potrzebna każda para rąk.

Człowiek-małpa posłusznie zszedł z kozła i otworzył drzwiczki. Gdy wydostałem się z klatki, niektórzy z ludzi patrzyli na mnie krzywo. Byli już jednak przyzwyczajeni do różnych egzotycznych stworzeń i szybko wrócili do pracy.

Ungah zajął się umocowywaniem płachty brezentu wokół pęku palików. Wręczył mi jeden koniec liny i polecił:

- Trzymaj. Powiem ciągnij, to ciągnij.

Na sygnał pociągnąłem. Lina pękła, tak że upadłem na grzbiet i ubłociłem sobie ogon. Ungah spojrział na zerwane końce liny pełnym zaskoczenia wzrokiem.

- Ta lina jest dobra - stwierdził. - Wygląda na to, że jesteś silniejszy, niż myślałem.

Związał rozerwane końce i ponownie zlecił mi to samo zadanie, tym razem jednak ostrzegając, bym nie wykorzystywał całej siły. Zanim paliki zostały przez nas powiązane i wsadzone na wóz, główny namiot został opuszczony, a robotnicy zajęli się uprzążaniem ostatnich elementów wyposażenia. Nie mogłem zrozumieć, jak mimo straszego zamieszania, które jeszcze przed chwilą panowało, w końcu wszystko zostało spakowane. Bagardo, teraz dosiadający konia, z przewieszoną przez szyję trąbką na sznurku, wymachiwał kapeluszem z wielkim rondem, by przydać większego znaczenia rozkazom:

- Szybciej zaprzęgać! Siglar, dawaj do bramy swój koci wóz, będziesz prowadzić kolumnę. Ungah, zamknij Zdima w wozie i dołącz do kolumny...

- Właż - polecił mi Ungah.

Gdy znalazłem się w klatce, odwiązał sznurowanie brezentowych zasłon po obu stronach dachu, tak że opadły i zakryły boki wozu. W ścianach tworzących oba końce klatki nie było żadnych okien, więc zostałem odizolowany od otoczenia.

- No nie! - krzyknąłem. - Dlaczego mnie zasłaniasz?

- Rozkaz - powiedział Ungah, mocując dolne krawędzie zasłon. - Szef nie daje Chemnitom widowiska za darmo.

- Ale ja chcę obejrzeć okolicę.

- Spokojnie, panie Zdim. Gdy wydostaniemy się na otwartą przestrzeń, uchylę róg zasłony.

Bagardo odtrąbił przeraźliwą fanfarę. Z olbrzymim hałasem trzaskania z batów, rżących koni, stukających podków, dzwoniącej uprzęży, skrzypiących osi, krzyków, przekleństw, ostrzeżeń, kpin i przyśpiewek wozy ruszyły w drogę. Nie mogłem niczego zobaczyć, więc przez pierwszą godzinę siedziałem na pół drzemiąc i kiwając się bezwładnie na drewnianej skrzyni.

W końcu zawołałem, by przypomnieć Ungahowi o jego obietnicy. Podczas krótkiego postoju dla koni odwiązał dolny róg zasłony z przodu wozu i przymocował go wyżej, robiąc coś w rodzaju trójkątnego okna. Widziałem niewiele więcej niż pola, od czasu do czasu dostrzegałem jakiś skrawek lasu bądź mignęła mi rzeka Kyamos. Drogę wytyczał gęsty pas dzikich wiosennych kwiatów, w purpurowych, błękitnych, fioletowych, białych i złotych kępach.

Kiedy, dzięki meandrom drogi, mogłem dojrzeć oba końce kolumny, policzyłem wozy. Łącznie z moim było ich siedemnaście. Bagardo cwałował między czołem a ogonem kolumny, pilnując, by nic się nie przydarzyło.



Podążaliśmy tą samą drogą, którą dotarłem do Chemnis. Wspinaliśmy się na płaskowyż, na którym stoi świątynia, gdyż dolina rzeki Kyamos zwęża się tutaj tworząc przełom. Konie z wysiłkiem pokonywały wzniesienie, robotnicy zeszli z wozów, by je pchać.

Gdy wreszcie osiągnęliśmy płaskowyż i minęliśmy skrzyżowanie ze ścieżką do świątyni Psaana, teren stał się płaski i zaczęliśmy się poruszać szybciej. Nie pojechaliśmy jednak drogą do miasta Ir, lecz skręciliśmy w inną, która omijała stolicę od południa. Ungah wyjaśnił mi, że Ir wydoiliśmy ostatnio, nie miał więc czasu odnowić swych zapasów.

Pokonaliśmy mniej niż połowę odległości do Evrodium, gdy zapadła noc. Kolumna wozów zjechała z drogi na nie zaorany kawałek gruntu i siedemnaście wozów utworzyło coś na kształt kręgu. Ungah wytłumaczył mi, że takie ustawienie miało zapewnić łatwiejszą obronę w razie ataku jakichś włóczęgów. Wewnątrz kręgu rozstawiono namiot kucharza i stołówkowy, inne namioty pozostały jednak na wozach.

Jedliśmy w żółtym świetle lampy przy jednym ze stołów umieszczonych w długim namiocie stołówki, wraz z pięćdziesięcioma kilkoma członkami naszej trupy. Ungah opowiedział mi trochę o nich. Połowę stanowili robotnicy, którzy stawiali i składali namioty, zaprzęgali, powozili i oporzadzali konie, dawali żywność i wodę zwierzętom oraz sprząтали ich odchody.

Połowa pozostałych (czyli jedna czwarta całości) to byli ludzie prowadzący różne gry, którzy za pewną opłatą towarzyszyli trupie i zachęcali publiczność do hazardu. Gra polegała na robieniu zakładów, w których można było obstawić wynik rzutu kośćmi, wskazanie puszczonego w ruch koła fortuny czy miejsce ukrycia ziarnka grochu pod którąś z trzech skorup orzecha, tak spreparowanych, że nie różniły się między sobą.

Resztę stanowiło około szesnastu ludzi, którzy występowali przed publicznością. Wśród nich był sam Bagardo jako mistrz areny; dalej zaklinaczka węży, poskramiacz lwów, woltyżerka, treser psów, żongler, dwóch kłownów, trzech akrobatów, czterech muzykantów (perkusista, trębacz, skrzypek i gracz na kobzie) oraz jeździec, który ubrany jak mulwański książę, w turbanie i biżuterii ze szkła, pędził wokół areny na wielbłądzie. Oprócz wspomnianych kobiet w trupie były jeszcze dwie: kucharka i kostiumerka.

Cała grupa była jednak bardziej wszechstronna, niż można by sądzić na podstawie przedstawionej listy.

Większość z tych ludzi uzupełniała się przy różnych zadaniach: zaklinaczka węży pomagała kucharce przy podawaniu posiłków, natomiast woltyżerka - hoża dziewczyna zwana Dulnessą - pomagała kostiumerce przy krojeniu i szyciu kostiumów. Niektórzy z robotników, próbując znaleźć sposób na lepiej płatne zajęcie, zgłaszali gotowość zastąpienia artystów, jeśli ci zachorowaliby, upili się czy z innego powodu nie mogli występować.

Po kolacji Ungah zabrał mnie na przechadzkę po obozie trupy, przedstawiając poszczególnym osobom i pokazując różne okazy. Wśród nich były wielbłąd, lew, lampart i kilka mniejszych zwierząt, jak węże madame Paladne.

Do jednej z klatek na kołach Ungah zbliżył się ostrożnie. Dochodził z niej inny odór, podobny do zapachu węży madame Paladne, lecz silniejszy. Ungah podniósł zasłonę.

- To smok paaluański - powiedział. - Nie podchodź zbyt blisko. Tygodniami leży jak martwy, lecz gdy ktoś nieświadomy zbliży się, chaps! i już po biedaku. Bagardo ma z tego powodu problem ze znalezieniem obsługi dla tego bydlaka. W ciągu ostatniego roku dwóch ludzi przepadło w jego żołądku.

Smok był wielkim, ciemnoszarym jaszczurem; miał ponad sześć metrów długości. Gdy zbliżyliśmy się do klatki, podniósł głowę i strzelił w mój kierunek długim na niemal metr, rozdwójonym językiem. Stałem blisko, wierząc, że jestem dostatecznie szybki, by móc umknąć w momencie ataku. Lecz smok, wbrew oczekiwaniu, wysunął raz jeszcze swój język i dotknął mej twarzy pieścizotliwym ruchem. Z jego gardła wydobyło się słabe chrząknięcie.

- Na mosiężny tyłek Vaisusa! - wykrzyknął zaskoczony Ungah. - On cię lubi! Odpowiada mu twój zapach, tak jak woń jego kumpli gadów. Muszę o tym powiedzieć Bagardo. Być może mógłbyś poskromić tę bestię i w czasie parady przejechać na niej wokół areny wraz z innymi. Wydaje się głupi i nikt nie śmiał się z nim zadawać, jednak czarnoksiężnicy z Paalui szkołą te bestie.

- Jak dla mnie jest go zbyt dużo, bym mógł sobie z nim poradzić - powiedziałem z powątpiewaniem.

- Och, on nie jest jeszcze tak duży, jak dorosłe osobniki - stwierdził Ungah. - W Paalui dorastają do rozmiarów dwakroć większych. - Ziewnął. - Wracamy do wozu, jestem wykończony dzisiejszym dniem.

W wozie Ungah wyciągnął ze skrzyni dwa koce i wręczył mi jeden, mówiąc:

- Słoma na dnie skrzyni, jeśli podłoga zbyt twarda.

\*\*\*

Następnego dnia, gdy dotarliśmy do Evrodium, było już po zachodzie słońca. Miejsce postoju karawany oświetlono pochodniami i lampami, które odbijały się w źrenicach chmary wieśniaków stojących wokół placu.

- Zdim! - krzyknął Ungah. - Pomóż mi! Rozwinął brezent, który uprzednio pomagałem mu związać. Wewnątrz znajdował się pęk palików dłuższych ode mnie. Naszym zadaniem było wbicie ich w odpowiednich odstępach w ziemię i przymocowanie do nich brezentu, by zasłonić

trupę przed wzrokiem ciekawskich tubylców. Chcieli nas oglądać, ale nie mieli zamiaru płacić. Ungah wybrał miejsce na obwodzie placu i zatknął pierwszy palik w miękkiej ziemi. Ustawił za nim małą drabinkę i wcisnął mi w rękę trzonek drewnianego młotka.

- Włóż i wbij palik - polecił mi.

Wszedłem na drabinkę i uderzyłem w palik.

- Wal mocno! - wrzasnął Ungah. - To wszystko co potrafisz?

- Czy chodzi ci o to? - rzekłem, zamachnąwszy się młotkiem z całej siły. Uderzyłem, z trzaskiem rozszechając palik i łamiąc trzonek.

- Zevatas, Franda i Heryx! - zawył Ungah. - Nie chciałem, byś go rozwał w drzazgi. Teraz muszę znaleźć inny trzonek. Czekaj!

Tak czy inaczej, postawiliśmy wreszcie płot. W międzyczasie postawiono namioty i uprzednie zamieszanie przemieniło się w celową krzątaninę. Konie rżały, wielbłąd warczał, lew ryczał, każde zwierzę robiło hałas stosownie do swych możliwości. Zapytałem:

- Czy przedstawienie będzie dziś wieczorem?

- Na bogów, nie! Trzeba wielu godzin, by wszystko było gotowe, a każdy jest zbyt zmęczony. Ranek spędzimy na przygotowaniach i jeśli nie będzie deszczu, damy jedno przedstawienie. Potem znowu w drogę.

- Dlaczego zatrzymujemy się na tak krótko?

- Evrodium zbyt małe. Do jutra wieczór wszyscy frajerzy przy forsie zobaczą widowisko, a gracze zostaną oskubani. Zostać dłużej oznacza wojowanie z frajerami. Żaden zysk. - Zabrzmiał gong. - Kolacja! Chodź.

\*\*\*

O świcie byliśmy już na nogach, przygotowując przedstawienie. Bagardo przyszedł zobaczyć się ze mną.

- Zdimie - powiedział - powinieneś być w namiocie z potworami...

- Wybacz, panie, lecz nie jestem potworem! Jestem zwykłym, zdrowym...

- Nieważne! U nas jesteś potworem i nie sprzeczasz się. Twój wóz stanowi część ściany namiotu i publika, wchodząc do środka namiotu, będzie przechodzić obok ciebie. Przy tobie umieszczę Ungaha. Ponieważ zajmujesz jego klatkę, przykuję go do słupa. Twoim zadaniem jest straszyć frajerów okropnym rykiem i wyciem. Nie mów tylko po novariańsku. Nikt nie oczekuje, że znasz ten język, jasne?

- Ależ panie, ja nie tylko mówię, ja umiem czytać i pisać...

- Spójrz na mnie, demonie! Jak myślisz, kto prowadzi cały ten cyrk? Masz robić, co ci każe, nieważne, lubisz to czy nie.

I tak się stało. Wieśniacy pojawili się licznie. Z klatki słyszałem krzyki prowadzących gry, i grzechot ich przyborów, dźwięki orkiestry i ogólny tumult. Bagardo, w paradnym stroju, wprowadził do namiotu widzów kontynuując kwiecistą orację:

- ...a po waszej prawej stronie, messires i mesdames, widzicie madame Paladne i jej śmiertelnie niebezpieczne węże, schwytane z niewyobrażalnym ryzykiem w cuchnących, tropikalnych dżunglach Mulvanu. Ten wielki jest nazywany dusicielem. Gdyby mu się udało was schwycić, owinałby się wokół waszego ciała, zmiażdżył na marmoladę i połknął w całości... Dalej, messires i mesdames, znajduje się demon z Dwunastego Planu, przywołany przez wielkiego czarownika - Arkaniusa z Phthai. Znałem Arkaniusa, był wspaniałym przyjacielem. - Bagardo wytarł oczy chusteczką do nosa. - Lecz wywołując to złaknione krwi monstrum o nadnaturalnej sile i dzikości, pozostawił jeden z rogów pentagramu otwarty i demon odgryzł mu głowę.

Niektórzy z publiczności westchnęli, kilka kobiet wydało słaby okrzyk. Jeden z frajerów, mówiący z wyraźnym wiejskim akcentem, tak że ledwo go mogłem zrozumieć, zapytał:

- To jak go wzieniś, ha?

- Uczeń Arkaniusa odważnie rzucił czar bezruchu...

Tak mnie zafascynowało opowiadanie Bagardo na temat mej przeszłości, że zapomniałem ryczeć, aż rzucił mi gniewne spojrzenie. Wtedy rozwarłem szczęki, zacząłem podskakiwać i robić wszelkie błazeństwa, których ode mnie oczekiwano.

Bagardo przedstawił równie fantastyczne opowiadanie o schwytaniu Ungaha. Ten zaś przyjął groźną postawę szarpiąc łańcuchem, którym był przywiązany do słupa. Ungah znajdował się za ogrodzeniem trzymającym frajerów we właściwej odległości od jego pazurów. Gdy ci skupili się przy ogrodzeniu, wykrzywił się, zaryczał i uderzył w żelazo kawałkiem łańcucha, czyniąc znacznie więcej hałasu niż ja.

\*\*\*

Po przedstawieniu Bagardo uwolnił z łańcucha Ungaha i otworzył moją klatkę. Ungah wszedł do niej i wydobył ze skrzyni wielki, zżarty przez mole stary płaszcz, sponiewierany kapelusz z miękkim rondem, parę butów z otworami na palce, pas i torbę. Wszystko to włożył na siebie.

- Po co taki wspaniały strój, panie Ungah? - spytałem.

- SzeF żąda. Idę do Eyrodium po zakupy. Przy słabym świetle wieśniacy biorą mnie za robotnika. Gdyby zobaczyli, jak Ungah Okrutny uprzejmie rozmawia, nie płaciliby za oglądanie mnie w namiocie. Chcesz czegoś?

- W tej chwili nie. Lecz powiedz mi, za co kupujesz?

- Pieniądze. Bagardo daje mi pensję.

Po godzinie Ungah wrócił z zakupami: jakimś słodkim mięsem, którym podzielił się ze mną, igłą, nićmi, nożyczkami i czymś jeszcze. Zjedliśmy kolację i Ungah wziął się do łatania swego płaszcza przy świetle lampy, gdy do naszej klatki podszedł Siglar, pogromca lwa. Wysoki, kościsty mężczyzna o jasnobłękitnych oczach i prostych włosach koloru lnu. Był barbarzyńcą ze stepów Shvenu z północy.

- Panie Zdim! - powiedział. - SzeF chce pana zobaczyć.

Podejrzywałem, że Bagardo będzie narzekał na moje kiepskie przedstawienie. Odezwałem się więc do Ungaha:

- Nie poszedłbyś ze mną, chłopie? Potrzebuję moralnego wsparcia.

Ungah odłożył szycie i dołączył do nas. Skierowaliśmy się do małego, prywatnego wozu Bagarda. Wnętrze pojazdu było wyłożone jedwabnymi draperiami i grubym dywanem. Połączona lampa ze srebra oświetlała cały ten luksus.

Bagardo siedział przy biurku, podliczając rachunki za pomocą tabliczki łupkowej i kawałka kredy.

- Zdimie! - zwrócił się do mnie. - Przez dwadzieścia lat, jak prowadzę ten interes, nie widziałem gorszego przedstawienia niż twoje. Krótko mówiąc, podpadłeś mi.

- Bardzo mi przykro, panie. Robię co mogę, by cię usatysfakcjonować, lecz niemożliwością jest zadowolić wszystkich. Gdybyś jednak płacił mi pensję, miałbym może ciekawsze pomysły.

- Aaa, więc o to chodzi? Cyrk balansuje na krawędzi upadku, zalega z wypłatami pensji, a ty zadajesz mi taki cios, żądając pieniędzy. Żeby cię cholera wzięła! - Trzasnął w blat z taką siłą, że kałamarz podskoczył.

- No cóż, panie - odpowiedziałem. - Będę się starał najlepiej jak potrafię, lecz ze względu na mą nędzę to "najlepiej" może nie być zbyt dobre.

- Ty bezczelne zero! - zaryczał Bagardo. - Ja dopiero zrobię z ciebie nędzarza! - Wskoczył zza biurka łapiąc bat, z którego strzelał jako mistrz areny i uderzył mnie raz, potem drugi. Nie była to magiczna różdżka, więc nie poczułem bólu.

- Czy to wszystko, na co cię stać, panie? - zapytałem.

Zadał mi jeszcze kilka razów, wreszcie rzucił bat do kąta.

- Niech cię diabli wezmą, czy jesteś z żelaza?

- Niezupełnie, panie. Faktem jednak jest, że moje tkanki są znacznie mocniejsze od waszych. Ale może wrócimy do sprawy pensji? Jak mówimy na Planie Dwunastym, przed strzałem dobrze jest załadować strzelbę.

Bagardo, cały czerwony, patrzył na mnie z furią. Wreszcie roześmiał się.

- No dobrze, złapałeś mnie za jaja. Co sądzisz o trzech pensjach na dzień?

- Mogę to zaakceptować, panie. Ale czy mógłbym dostać wypłatę za kilka dni z góry jako kieszonkowe...

Bagardo wyciągnął dziesięciopensówkę z sejfu.

- To musi ci wystarczyć na najbliższe pięć dni. A teraz koniec z tym wstrętnym komercjalizmem. Kto ma ochotę na skilleta?

- Co to takiego, panie? - spytałem.

- Zobaczysz. - Bagardo wyciągnął mały stolik i cztery rozkładane krzesła. Gdy Siglar, Ungah i ja zajęliśmy miejsca, wyjął pakiet prostokątów z twardego papieru ozdobionych jakimiś rysunkami. Pierwszoplanowcy używają tych "kart", jak je nazywają, do różnego rodzaju gier.

Zasady skilleta wydawały się proste. Pewne kombinacje kart były inne, a cały chwyt polegał na domyśleniu się, co pozostali gracze mają w ręku i zakładaniu się, kto kogo może pobić. Miałem straszne trudności usiłując utrzymać karty; moje pazury nie są użyteczne przy tak śliskich przedmiotach. Przeklęte karty ciągle spadały mi na podłogę.

Bagardo cały czas mówił. Chwalił się dzielnością w zapładnianiu istot rodzaju żeńskiego swego gatunku. Szczególnie dumny był z kopulacji, które odbył w ciągu jednej nocy z sześcioma mieszkankami instytucji nazywanej domem publicznym. Zaskoczyła mnie zarozumiałość, z jaką obnoszą się Pierwszoplanowcy rodzaju męskiego, gdyż dowolne zwierzę, jak choćby zwykły kozioł, może pod tym względem z łatwością pokonać ludzkiego samca.

Gdy wszyscy skończyli wychwalać moc członka Bagarda, ten ostatni zapytał:

- Zdimie, czy od przybycia na ten plan poznałeś jakiegoś innego czarodzieja niż doktor Maldivius?

- Nie, panie, jeśli nie liczyć jego ucznia Graxa, jednak... eee... to spotkanie było trochę pechowe. A dlaczego pytasz?

- Potrzebujemy kogoś takiego. Kiedyś mieliśmy starego Arkaniusa.

- Słyszałem, jak go wspominałeś, panie. Co się naprawdę z nim stało?

- Coś, co było niezbyt odległe od kłamstw, które o nim opowiadałem, ręczę ci. Arkanius eksperymentował z zaklęciami, które były zbyt silne dla jego ograniczonej mocy. Pewnej nocy zobaczyliśmy błękitne błyski wydobywające się z jego namiotu i usłyszeliśmy krzyki. O poranku nie znaleźliśmy już Arkaniusa - została tylko kałuża krwi. Proponowałem tę pracę Maldiviusowi,

lecz odmówił mruczając coś o Paaluanach, którzy zapewnią mu fortunę. Był wtedy trochę pijany. Czy wiesz, o co mu chodziło?

- Nie, panie. Słyszałem, że Paalua jest krainą potężnych magów położoną za oceanem, ale to wszystko.

Pamiętaj o tej sprawie. Dulnessa niezależnie od swej podstawowej pracy zajmowała się przepowiadaniem przyszłości, lecz to nie to samo co genialny czarodziej, prawda? Kto rozdaje?

\*\*\*

Bagardo wygrał ode mnie dziewięć pensów, moneta po monecie. Zauważyłem, że od czasu do czasu witki chwytają jakieś dziwne wibracje. Zdarzało się to szczególnie wtedy, gdy był w trakcie wygrywania moich pieniędzy. Nie umiałem jednak właściwie zinterpretować tego wrażenia. Gdy spłukałem się do ostatniego pensa, otworzyły się drzwi i weszła hoża madame Dulnessa - wołyżerka. Ochrypłym głosem zapłakała:

- Kiedy wreszcie któryś z was, sflaczałe palanty, przyjdzie, by mnie obsłużyć?

Bagardo odpowiedział:

- Weź Zdimu. On już jest i tak spłukany.

- Czy to znaczy, że on może?

- No pewnie. Poczęcie u demonów przebiega podobnie jak u nas. A teraz wynoście się i dajcie nam grać.

Zakłopotany, podążyłem za Dulnessa do jej wozu. Gdy znaleźliśmy się w środku, obróciła się do mnie z uśmiechem i współprzymkniętymi oczami.

- Cóż, Zdimuś - powiedziała - zapowiada się, że zdobędę co najmniej nowe wrażenia.

Mówiąc to, powoli i w prowokujący sposób zaczęła zdejmować odzież. Gdy skończyła, położyła się na plecach na łóżku. Byłem oczywiście zainteresowany jej widokiem, gdyż po raz pierwszy mogłem zobaczyć ludzką samicę bez ubrania. Stwierdziłem z zadowoleniem, że ilustracje w podręcznikach szkolnych na moim planie właściwie pokazywały kształt i organy tego gatunku. Moje witki wyczuły wibrację szczególnie silnej intensywności, jednak nie mogłem jej rozpoznać.

- No, bierz się do roboty, jeśli masz do tego odpowiednie narzędzie - powiedziała.

Zacząłem rozumieć.

- Madame, czy chodzi ci o cielesny stosunek?

- O rany, co za wspaniały język! Tak, dokładnie o to.

- Bardzo przepraszam, ale w szkole uczono mnie wyłącznie uprzejmych, literackich zwrotów języka novariańskiego. Wulgaryzmów musiałem się uczyć samodzielnie.

- Dobra, czy masz prawdziwego fiuta pod tymi łuskami? Ej, ty zmieniasz kolor!

- Madame, tak wpływają na nas emocje. Zapewniam cię, że jestem wyposażony we właściwy organ męski. U nas jednak, jeśli go nie używamy, jest on normalnie schowany, zamiast wulgarnie dyndać i być narażonym na zranienie, jak u ludzkich samców. Bez wątpienia to jest powodem dziwnego zwyczaju, który tak długo był zagadką dla naszych filozofów, że nosicie odzież nawet przy najgorętszej pogodzie. Cóż, wśród nas, demonów...

- Daruj mi wykład. Możesz to zrobić?

- Nie wiem. Bardzo chciałbym sprawić ci przyjemność, ale widzisz, nie mamy teraz okresu godów ani też to miejsce samicy z Pierwszego Planu nie wzbudza we mnie pożądania.

- A czego mi brak, ty smoko-człeku? Prawda, nie jestem już taka młoda, jak kiedyś, ale...

- To nie o to chodzi, jeśli wolno mi się tak wyrazić, madame. Mając taką delikatną, jasną, gołą skórę na całym ciele, wyglądasz... jak by to powiedzieć? jak gąbka. To by było jak kopulacja z wielką meduzą, brr! Ale gdyby tu była moja żona Yeth, z miłymi kłami i witkami, kochanymi, lśniącymi łuskami...

- To zamknij oczy i wyobraź sobie, że leży tu twoja żona, a może ci stanie.

No cóż, jak mówimy w domu, jeśli nie spróbujesz, to do niczego nie dojdiesz. Potężnym wysiłkiem woli wyobraziłem sobie moją drogą małżonkę i poczułem, jak krew zaczyna mi żywiej krążyć w łędźwiach. Gdy byłem pewny, że demon we mnie wstał, otworzyłem oczy.

Dulnessa utkwiała pełen przerażenia wzrok w moim członku.

- Na bogów! - krzyknęła. - Zabieraj to okropieństwo! Wygląda jak jedna z tych nabijanych kolcami maczug, którymi rycerze walą się po zbrojach. To by mnie mogło zabić.

- Bardzo mi przykro, że nie mogę pani służyć swoją osobą, madame - powiedziałem. - Obawiałem się, że nie znajdziesz tego widoku zbyt miłym. Ale dlaczego pan Bagardo wysłał mnie do ciebie? Mam wrażenie, że zrobił jeden z typowych, irracjonalnych "zartów", które wy, istoty ludzkie, ciągle wymyślacie. Gdyby Bagardo miał rzeczywiście ochotę na tyle kobiet, myślę, że byłby zachwycony tą możliwością...

- Ten szuler gładko nawija, ale w działaniu jest znacznie gorszy niż w gadce. Ostatnim razem musiał wezwać Siglara, by ten go zastąpił po jednej rundce. A człowiek-małpa jest wart w wyrku trzech takich.

- Czy wszystkie osobniki żeńskie u ludzi wymagają takiego ciągłego napełniania?

- Nie, jestem szczególnym przypadkiem. Nie chciałam sypiać z Arkaniusem, a ten cholernik rzucił na mnie zaklęcie - czar niezaspokojonej namiętności. To był wredny, stary pierdoła i bardzo się ucieszyłam, gdy demon go rozszarpał. Ale przez to pozostaję pod wpływem zaklęcia, bo nie znam żadnego czarownika, który by mnie uwolnił.

- Może z upływem czasu osłabnie. Wiem, że to się zdarza - pocieszyłem ją.



- Być może, ale jak na razie, jeśli ktoś mnie nie przeleci kilka razy dziennie, to moje żądze przyprawiają mnie o szaleństwo.

- Sądziłbym, że przy tych wszystkich pożądlivych robotnikach...

- Większość nigdy się nie myje, a ja wolę czystych kochanków. Cóż, jeśli jednak wszystko zawiedzie... Ale, ale, co z grą? Jak ci się powiodło?

Przedstawiłem jej moją stratę.

- Ha! - powiedziała. - To cały Bagardo, najpierw da ci pieniądze z góry, a potem oskubie cię w grze.

- Czy chcesz powiedzieć, że oszukał mnie?

- No pewnie! A co ty myślałeś?

Zastanowiłem się.

- Rozumiem teraz znaczenie tego wrażenia, które odbierałem.

- Umiesz czytać myśli?

- Nie, ale rozpoznaję wibracje, które zdradzają emocje innych.

- Ile będzie ci płacić?

- Trzy pensy na dzień.

Roześmiała się chrapliwie.

- Mój drogi Zdimie, idź natychmiast do Bagarda i zmusz go, by podwoił stawkę; toż robotnikom płaci sześć pensów. Wtedy weź jeszcze raz pieniądze z góry i odegraj, co straciłeś. W ten sposób wytniesz świetny dowcip temu palantowi.

Zrobiłem, jak radziła. Bagardo serdecznie się uśmieł z opowieści o nieudanych zalotach Dulnessy. Historia wprawiła go w tak świetny humor, że nawet zgodził się podnieść mi pensję, bez wątpienia licząc na szybkie jej odegranie.

Wznowiliśmy grę. Dzięki temu, że zrezygnowałem za każdym razem, gdy tylko poczułem ostrzegawcze mrowienie, szybko wygrałem kilka razy więcej, niż straciłem na początku. Bagardo, ze zdumionym obliczem, stwierdził:

- Chyba tracę szczęście do kart. Cóż, myślę, że powinniśmy już być w łózkach. Rano trzeba wczesnie wstać, by dotrzeć do Orynx. Muszę również powiedzieć, panie Zdimie, że opanowałeś skilleta najszybciej ze wszystkich, których uczyłem. A może umiesz czytać w myślach innych?

- Nie, panie.

Moja odpowiedź była prawdziwa, jeśli traktować "myśli" w sposób dosłowny, dotyczący tylko ich treści intelektualnej; jednak niektórzy, podchodząc do problemu w sposób filozoficzny, mogliby uważać, że termin ten powinien być rozciągnięty i na emocje, a te w rzeczywistości mogłem czytać. Ciągnąłem:

- Zasady są proste. A jak mówimy w moim świecie, doskonałość jest dzieckiem praktyki.

- Szkoda, że nie umiesz czytać myśli. Mógłbym cię wykorzystać w przedstawieniu. I zapamiętaj, że następnym razem, gdy pojawią się widzowie, masz wpaść w istny szal. Oni tego oczekują. Warcz, wyj, potrząsaj kratami, jakbyś chciał skoczyć na dół, w tłum. Wykaż się maksymalną ochotą, by uciec z klatki!

- Szefie, myślę... - zaczął Ungah.

Nie myśl za dużo, panie małpo. Chcę mieć pewność, że demon zna swoją rolę.

\*\*\*

Miasto Orynx, położone w górnym odcinku rzeki Kyamos w stosunku do Ir, jest większe niż Evrodium, chociaż mniejsze od Chemnis. Planowaliśmy spędzić w nim dwa pełne dni i dać trzy przedstawienia: dwa wieczorne i jedno drugiego popołudnia. Pierwsze przedstawienie zaczęło się więc wieczorem.

Gościem, który wszedł do namiotu potworów jako pierwszy, był starzec o chwiejnym kroku. Z zapachu wina, który się wokół niego unosił, wywnioskowałem, że nie tylko wiek był powodem zaburzeń jego ruchów. Zatoczył się w pobliże mojego wozu i wbił we mnie wzrok. Odwzajemniłem się tym samym, nie mając ochoty wpadać we wściekłość, zanim nie zgromadzi się większa publiczność.

Wiekowy mężczyzna wyciągnął z kurtki butelkę i napił się. Wymruczał:

- Co za świństwo, widzę je już wszędzie. Zjeżdżaj, zjawo! Znikaj! Spadaj! O bogowie, nie każcie mi przestać pić! Mleko starego człowieka, moja jedyna pociecha!

Popłakując i zataczając się poszedł dalej. Pojawili się inni. Gdy Bagardo dawał swój napuszony wstęp, warczałem i ryczałem, bijąc o pręty klatki. Pamiętając o rozkazach chwyciłem dwa pręty i zacząłem je ciągnąć, aż się zgięły.

Najbliżsi widzowie cofnęli się, gdy bardziej oddaleni ciągle pchali się do przodu. Bagardo przesłał mi gest aprobaty. Zachęcony, wydałem ryk jak smokożółw z bagien Kshak i pociągnąłem za pręty z całej siły.

Wygięły się na zewnątrz. Jeden z nich wypadł z dolnego mocowania z głośnym trzaskiem. Wyrwałem go więc i z górnego uchwytu, po czym odrzuciłem. Następnie, działając zgodnie z wydaną mi instrukcją, przecisnąłem się przez otwór i zeskoczyłem na ziemię, rycząc i sięgając do najbliższych widzów.

Nie miałem najmniejszego zamiaru zrobić komukolwiek krzywdy; starałem się po prostu dać dobre przedstawienie. Lecz najbliżsi mi widzowie cofnęli się z przerażającym wrzaskiem. W oka mgnieniu podłoga namiotu zamieniła się w jatkę z ludzkich ciał. Pierwszoplanowcy walczyli

ze sobą, przedzierając się przez ciżbę, by jak najszybciej wydostać się na zewnątrz. Wszyscy krzyczeli:

- Diabeł się uwolnił!

Ci, którym się udało znaleźć na dworze, rozprzestrzenili panikę dalej, na idących przez bramę do głównego namiotu. Nigdy nie widziałem tak bezmyślnego zachowania na Dwunastym Planie. Może i jesteśmy, powolni w myśleniu, lecz zaskoczeni czymś nieoczekiwanym nie zamieniamy się w szaleńców.

Niektórzy próbowali uciec, wspinając się na okalający plac brezentowy płot lub kopiąc pod nim przejścia, Inni, wywrócenii na ziemię i tratowani, czołgali się lub przemykali na czworakach w kierunku wyjścia. Wybuchwały bójki. Niektóre z budek, w których prowadzono zakłady, zostały zdemolowane i miastowi zaczęli jej plądrować. W namiocie pojawił się ogień. Ktoś krzyknął: "Hej, kmiotki!" Robotnicy rzucili się na widzów z palikami namiotowymi i innymi przedmiotami, które mogły być wykorzystane jako broń.

Ogłuszający hałas zamierał w miarę ubywania widzów, którzy byli w stanie uciekać. Wielu jednak, poranionych bądź nieprzytomnych, leżało na placu. Zauważyłem Bagarda, zmaltretowanego i pokrytego błotem, jak chwiejąc się na nogach próbował przywołać swą ekipę do porządku. Ujrzawszy mnie wrzasnął:

- Zrujnowałeś mnie, ty wszawy duchu! Zabiję cię za to!

Między nas wbiegli inni i straciłem go z oczu. Podążyłem za Ungahem, pomagając mu gasić palący się namiot. Gdyśmy się z tym uporali, przy wejściu pojawił się mężczyzna na koniu. Miał na sobie hełm i kolczugę, u boku miecz. Za nim podążało kilkunastu miejscowych, uzbrojonych w kusze, włócznie i pałki. Jeździec zagrał na trąbce.

- Do stu diabłów, kim jesteś? - zapytał Bagardo, podchodząc do konia z pięściami na biodrach.

- Valtho, posterunkowy z Orynx. To moi zastępcy. Teraz słuchajcie! Jesteście wszyscy aresztowani za szkody wyrządzone obywatelom Orynx. Obciążają was czyny kryminalne i poniesiecie odpowiedzialność cywilną. Nasze więzienie nie może jednak pomieścić tylu ludzi, więc tej nocy pozostaniecie tutaj pod strażą... Ej, panie, dokąd idziesz? Zatrzymać tego mężczyznę!

Bagardo wbiegł między namioty. Zanim ktokolwiek zdołał go pochwycić, wskoczył na srokacza i kopiąc go piętami zmusił do galopu. Przejechał przez gromadzący się tłumek ludzi z trupy, spał konia i skoczył ponad ogrodzeniem, po czym zniknął w ciemnościach nocy.

Valtho krzyknął jakiś rozkaz do swoich ludzi i ci zaczęli otaczać plac, a on sam popędził za Bagardem. Część naszych pobiegła w ciemność, by wyrwać się za płot, zanim krąg się zamknie. Zapytałem Ungaha:

- Czy my również nie powinniśmy uciekać?

- Po co? Nie damy sobie rady sami, gdyż każdy człowiek będzie przeciwko nam. Możemy mieć jedynie nadzieję, że trafią się nam lepsi panowie. Nie przejmuj się.

Posterunkowy, na spienionym koniu, wrócił z bezowocnego pościgu za Bagardem, by dopilnować rozstawienia ludzi na posterunkach. Podczas paniki jeden człowiek zginął. Był to stary pijak, zdeptany na śmierć w wejściu do namiotu z potworami. Było również wiele obrażeń, jak połamane kończyny czy żebra. Niezależnie od nich, każdy Orynxyjczyk, który został choćby potracony, a jego odzież uległa poplamieniu, wnosił cywilne powództwo przeciwko Bagardowi Wielkiemu. Nawet gdyby Bagardo był właścicielem dziesięciu takich trup, a każda z nich byłaby znacznie bardziej dochodowa niż nasza, to ciągle jeszcze nie byłby w stanie spłacić wszystkich wyroków. Jeśli nie uciekł, najprawdopodobniej skończyłby jako niewolnik.

\*\*\*

Sędziemu miasta Orynx wyjaśniłem, że nie byłem żadnym zlaknionym krwi potworem, lecz po prostu biednym demonem na kontrakcie usiłującym wypełniać rozkazy swego pana.

- Nie wyrażasz się jak diabeł - zauważył sędzia. - Z drugiej strony, nie jesteś człowiekiem, więc likwidacja ciebie nie byłaby morderstwem. Wielu obywateli uważa to za najlepsze rozwiązanie, przywracające im poczucie bezpieczeństwa.

- Pozwolę sobie zauważyć, że dość trudno byłoby mnie zabić, Wysoki Sądzie - zwróciłem się do sędziego - o czym zapewni cię każdy, kto miał do czynienia z Dwunastym Planem. Co więcej, mogę uniknąć takiego losu wracając na mój plan. (Blefowałem, gdyż przecież nie pamiętałem zaklęcia powrotu.) Jednak dopóki nikt nie podejmuje ekstremalnych kroków, chętnie będę kooperować z porządnymi ludźmi z Orynx, przestrzegając ich praw i wywiązując się z moich zobowiązań.

Sędzia - jeden z niewielu sensownych Pierwszoplanowców, których miałem okazję spotkać - zgodził się dać mi szansę. Około połowy z naszej załogi uciekło z placu, zanim ten został otoczony. Członkowie trupy, których schwytano, mieli tak niewiele własnych rzeczy, że sędzia uznał, iż trzymanie ich w więzieniu byłoby wręcz udzieleniem im pomocy, więc pozwolił im odejść.

Zwierzęta, włączając Ungaha i mnie, jak również wozy, namioty i cały sprzęt, zostały zebrane, spisane i wysłane drogą do Ir w celu sprzedaży. Aukcja była kiepskim interesem i wątplię, czy pokrzywdzeni z Orynx uzyskali choć ćwierć pensa na pokrycie swych żądań. Ale w ten sposób mój kontrakt został kupiony przez agenta madame Roski z Ir na terenach aukcyjnych położonych poza miastem.



#### IV - Madame Roska

Ir jest szczególnym miastem, leżącym na skraju skupiska wzgórz za Vomantikon - małym dopływem rzeki Kyamos. Bezpieczne dzięki olbrzymiej, zbudowanej na kształt cylindra wieży, w której znajduje się wejście, jest całkowicie schowane pod ziemią. Założył je Ardyman Groźny, gdy usiłował zjednoczyć pod swym berłem wszystkie dwanaście narodów novariańskich i potrzebował twierdzy. Przekonawszy się, że wzgórza Ir są z jednolitego granitu, kazał w stoku góry wykopać miasto, w którym tunele i jaskinie służyły za ulice i domy.

Gdy Noithen, agent madame Roski, wetknął kontrakt do kubraka, powiedział:

- Chodźmy, Zdimie. Moja pani czeka na nas.

Pan Noithen, niski, opasły człowiek, poprowadził mnie do wieży. Była to cylindryczna konstrukcja z dobrze dopasowanych granitowych głazów, mająca ponad trzydziestometrowej grubości ścianę, a trzy razy większą średnicę. W górę, po spirali, przy ścianie cylindra biegła rampa tak szeroka, że mógł po niej wjechać ciężki wóz. Zrobiono ją tak, by nie osłonięty tarczą prawy bok ludzi idących po niej do góry był od strony ściany.

W jednej trzeciej drogi rampa kończyła się wielkim portalem, którego skrzydła, wykonane z obrobionych pni, zbito klamrami z brązu. Brama była teraz otwarta. Z platformy, na którą wychodziła, prowadziły wokół wieży pełnym kręgiem wąskie spiralne schody, zakończone jeszcze węższymi drzwiami.

Szczyt wieży był zwieńczony blankami. Dźwignie katapult wystawały poza mur. Na dachu znajdowała się bardzo skomplikowana konstrukcja, którą widziałem z daleka i nie byłem w stanie zrozumieć jej przeznaczenia, dopóki nie przeszedłem za Noithenem przez główny portal. Stali w nim dwaj wysocy, jasnowłosi strażnicy.

- Kim są ci ludzie? - spytałem Noithena. - Nie wyglądają jak Novarianie.

- Najemnicy ze Shvenu. Nie jesteśmy narodem wojowników, lecz pokojowo nastawionymi farmerami i kupcami. Dlatego wynajmujemy Shvenitów, by za nas puszczali krew innym. Podczas pokoju, tak jak teraz, służą jako straż miejska i policja.

Wewnątrz wieży znajdował się przestronny, okrągły dziedziniec. Był otwarty od góry. Wokół ścian ciągnęły się wielkie kazamaty, podtrzymywane przez arkady. Zapewniały dostateczną przestrzeń obrońcom miasta i ich ekwipunkowi. Nad ciągiem pomieszczeń wyrastał dach w kształcie pierścienia, na którym stały katapulty.

Mogłem również przyjrzeć się lepiej konstrukcji, którą widziałem z daleka. Było to wielkie zwierciadło zainstalowane na podstawie podobnej do mechanizmu zegarowego, tak że mogło

podążać za ruchem tarczy słońca w ciągu dnia. Planując swe podziemne miasto, Ardyman zlekceważył problem wentylacji. Iriańczycy oświetlali swe nory lampami i świecami. Gotowanie również wymagało używania paliwa. Dym i sadza z ognia dokuczały im więc bardzo, by nie wspomnieć o zanieczyszczeniu powietrza. Warunki życia pogarszały się wraz z rozbudową miasta, gdyż jego tunele zagłębiały się coraz bardziej w górze Ir.

W końcu jakiś genialny syndyk przekonał ludzi, by do oświetlania miasta zbudować system wykorzystujący odbite światło słoneczne. To sprawiło, że przynajmniej w słoneczne dni lampy były zbędne. Główne zwierciadło, zainstalowane na szczycie Wieży Ardymana, kierowało promienie słoneczne w dół na dziedziniec, skąd inne zwierciadło rzucało je wzdłuż głównej ulicy Ir - alei Ardymana. System mniejszych lusterek rozprowadzał światło po bocznych ulicach, a stamtąd do poszczególnych mieszkań.

\*\*\*

Gdy mówię o mieszkaniach w pieczarach, nie należy ich mylić z naturalnymi jaskiniami, przystrojonymi stalaktytami i zamieszkanymi przez grupę odzianych w skóry ludzi pierwotnych. Miasto Ir zostało wykute w skale przez najlepszych budowniczych w Novarii. Jego wygląd, pomijając dach ze skały nad głową zamiast nieba, nie różnił się niczym szczególnym od dowolnego bogatego miasta na Pierwszym Planie.

Frontony domów, które sięgały do tego kamiennego dachu, wyglądały tak samo jak w normalnych domach. Kamieniarze wyrzeźbili nawet linie, które udawały odstęp między ceglami czy kamieniami w zwykłych budynkach. Cała konstrukcja była jedną zwartą skałą, więc te nacięcia nie służyły żadnemu celowi poza jednym - miały nadać miastu bardziej typowy wygląd.

Większość mieszkań Ir znajdowała się na tym samym poziomie, co dziedziniec Wieży Ardymana. Były tam również inne poziomy, ponad i poniżej głównego, lecz dobudowano je później. Gdy podążaliśmy drogą wzdłuż alei Ardymana, przebijając się przez mijającą nas ciżbę, Noithen zapytał:

- Czy byłeś na kontrakcie u wróżbiarza Maldiviusa?

- Tak jest, panie. Przywołał mnie z mego planu, a później odprzedał mój kontrakt właścicielowi trupy, panu Bagardo.

- Czy Maldivius nie poniósł jakiejś ciężkiej straty, gdy byłeś u niego?

- Ależ tak, panie. Złodziej ukradł mu kamień do wrózenia, który nazywał Szafirem Sybillińskim. Maldivius uznał, że jestem winny tej straty i dlatego nastąpiła zmiana w kontrakcie.

- Kto wziął kamień?

- To był, niech pomyślę... Maldivius powiedział, że złodziejem był jakiś Farimes, którego kiedyś znał. A o co chodzi, panie?

- Dowiesz się, gdy poznasz swą nową panią, którą jest madame Roska sar-Blixens.

- Panie Noithen, czy byłbyś tak uprzejmy i wyjaśnił mi wasz system nadawania imion i tytułów. Jestem tylko biednym, ciemnym demonem bez wykształcenia...

- Madame Roska jest wdową po syndyku Blixensie, a teraz sama ma ochotę zostać syndykiem.

Skręciliśmy w boczną uliczkę i zatrzymaliśmy się przed jednym z większych gmachów. Zostaliśmy wpuszczeni przez służącego, niskiego mężczyznę o smagłej cerze i wydatnym nosie, ubranego w szatę i nakrycie głowy z Fedirun. Weszliśmy do gabinetu mojej nowej pani, gdzie umeblowanie tak górowało nad tym, co widziałem w pracowni Maldiviusa czy wozie Bagarda, jak wyśmienite wino nad wodą z rynsztoka. Choć był to słoneczny dzień i obywatele nie powinni używać sztucznego światła, lecz korzystać z wielkiego zwierciadła jako źródła oświetlenia, niemniej trzy świece paliły się w kinkiecie na ścianie.

\*\*\*

Madame Roska siedziała przy biurku, ubrana w długą szatę z jakiegoś przejrzystego, powiewnego materiału, przez który można było ją oglądać w naturze. Taki widok ludzkiej samicy fascynuje i podnieca samców, lecz jest to tylko jedna z wielu dziwaczności w zachowaniu rozrodczym tego gatunku.

Roska była wysoką, smukłą kobietą o szarych włosach, upiętych we wspaniałą fryzurę. Miała szczupłą twarz o szlachetnych rysach, twarz uważaną w Novarii za szczególnie piękną, jak się później dowiedziałem. (Nie potrafię sam ocenić tego typu spraw, gdyż dla mnie wszyscy Pierwszoplanowcy wyglądają bardzo podobnie.) Choć wiosna jej życia dość dawno minęła, zachowała wiele ze swej młodzieńczej gładkości i regularności rysów.

Gdy zostaliśmy wprowadzeni przez Fediruniego do pokoju, uśmiechnęła się do nas.

- Widzę, że masz go, mój drogi Noithenie.

- Wasza miłość - odpowiedział Noithen, przyklękając na kolano, po czym podniósł się.

- Drogi Noithen, taki oddany! Oprowadź, proszę, pana Zdimę po moim mieszkaniu, przedstaw go pozostałym i wyjaśnij mu jego stanowisko... Albo nie, zmieniłam zdanie. Podejdź bliżej, Zdimie.

Pochlebilo mi, że zwracała się do mnie jako do "pana", gdyż w Novarii na ogół nie używa się tego tytułu w stosunku do służby. Podszedłem do niej.



- Czy rzeczywiście jesteś tym, który służył u doktora Maldiviusa w jego norze niedaleko Chemnis? - zapytała.

- Tak jest, madame.

- Czy słyszałeś, jak mówił o jakimś niebezpieczeństwie wiszącym nad Ir?

- Tak jest, pani. Targował się z syndykiem Jimmonem o zapłatę za ujawnienie istoty tego zagrożenia.

- A czy odprzedał twój kontrakt, bo rozzłościłeś go, pozwalając Farimesowi z Hendau ukraść magiczny kamień?

- Tak jest.

- Czy miałaś okazję obserwować go, gdy korzystał z tego kamienia?

- Jeśli o to chodzi, wręcz nalegał, żebym stał za nim na straży, kiedy wchodził we wróżebny trans. Dzięki temu dobrze poznałem jego metody.

- Och! To interesujące. Chodźmy więc natychmiast do kaplicy, by wypróbować twą wiedzę. Noithen, możesz odejść.

Noithen miał jednak pewne obawy.

- Czy jasnie pani jest pewna, że będzie bezpieczna z tym, tym...

- O, nie lękaj się o mnie. Mój smokoludzik jest wzorem dobrego wychowania. Chodźmy, Zdimie.

Kaplica była małym pomieszczeniem o ośmiu ścianach, położonym w narożniku domu i wypełnionym magicznymi przyrządami jak pracownia Maldiviusa. Na stojącym pośrodku stole znajdowała się podstawka podtrzymująca kamień, który wyglądał dokładnie tak samo, jak Szafir Sybilliński.

- Pani, czy to kamień Maldiviusa? - spytałem.

Zachichotała.

- Domyśliłeś się. Nie było to przyzwoite, że pozwoliłam Noithenowi kupić go od handlarza kradzionymi przedmiotami, lecz dobro naszego kraju wymagało, by znalazł się w odpowiedzialnych rękach. Poza tym Maldivius ma ciągle zbyt wielu nieprzyjaciół w Ir, by tu wrócić i mnie oskarżyć. A teraz opowiedz mi, co robił Maldivius, gdy korzystał z kamienia.

- No cóż, najpierw się modlił. Potem...

- Co to była za modlitwa?

- Powszechnie znana modlitwa do Zevatas, ta, która się zaczyna od słów: "Ojcze Zevatasie, królu bogów, twórcu wszechświata, władco wszystkiego, niech imię twe będzie zawsze czczone..."

- Dobrze, dobrze, znam ją. A potem?

- Następnie przygotowywał mieszankę z ziół...

- Jakich ziół?

- Nie znam ich wszystkich, lecz myślę, że była tam bazylia, sądząc po zapachu...

Madame Roska chwyciła jedną ze swych magicznych ksiąg i przejrzała receptury. Korzystając z książki i tego co mogłem sobie przypomnieć z procedury Maldiviusa, odtworzyliśmy niemal całkowicie czar, który rzucił Maldivius podczas transu. W końcu nie mogliśmy jednak pójść ani kroku dalej.

- To bardzo nieładnie, kochany Zdimie, naprawdę bardzo nieładnie, że nie obserwowałeś dokładniej i nie zapamiętałeś lepiej! - powiedziała osłaniając dłonią ziewnięcie.

Zaskoczyła mnie zwracając się do mnie "kochany". Zastanawiałem się, czy nie powtórzy się moja kłopotliwa utarczka z woltyżerką Dulnessą. Jednak nie wyczuwałem witkami żadnych emocji pełnych pożądania, wkrótce też przekonałem się, że był to zwykły dla Roski sposób zwracania się do innych. By móc radzić sobie na Pierwszym Planie, trzeba mieć świadomość, że połowa tego, co ludzkie istoty mówią, nie odzwierciedla tego, co myślą w rzeczywistości. Madame Roska zaś kontynuowała:

- Mam już dość tych poszukiwań, no i moja sztuka mnie wzywa. Awad!

Pojawił się, zgięty w ukłonie, Fediruni.

- Zabierz pana Zdimę - powiedziała Roska - i daj mu do jutra jakieś proste zajęcie domowe. Aha, póki pamiętam, każ Philigorowi wciągnąć go na listę płac. Stawka dziewięć pensów na dzień. Dziękuję.

Gdy Awad wyprowadził mnie, zapytałem:

- Jaką sztukę uprawia jaśnie pani?

- W tym roku malarstwo.

- A poprzednio?

- W zeszłym roku robiła ozdoby z piór, dwa lata wstecz grała na cytrze. Mogę się założyć, że w przyszłym roku będzie coś nowego.

W ciągu następnych kilku dni dowiedziałem się, że madame Roska była bardzo utalentowaną i energiczną kobietą. Nie mogła jednak wytrwać w nauce dowolnego zajęcia do tego momentu, w którym zaczęłaby uzyskiwać jakieś wyniki. Zmieniała swe plany i zdanie częściej niż jakakolwiek inna osoba, którą znałem, nawet wśród tych niestałych Pierwszoplanowców. Pamiętając słowa Jimmona, zastanawiałem się, jak tak lekkomyślna osoba nie tylko utrzymała, lecz nawet powiększyła odziedziczony majątek. Sądzę, że pod pozorną zmiennością ukrywała jądro trzeźwego sprytu albo też miała niesłychane szczęście.

Z drugiej strony zawsze była zrównoważona, uprzejma i miła, nawet dla swych podwładnych najniższego pochodzenia. Gdy doprowadzała ich do furii nagłymi zmianami planów, a oni mruzcili i pomstowali na nią w swych pomieszczeniach, zawsze znalazł się ktoś, kto występował w jej obronie mówiąc:

- Mimo wszystko ona jest panią.

Takie zebrania dwudziestu paru służących zdarzały się często, gdyż Roska nie trzymała ich twardą ręką. Byli oni również źródłem plotek. Między innymi dowiedziałem się, że połowa wolnych mężczyzn z wyższych klas Ir starała się o rękę Roski, a przynajmniej o fortunę Blixensa. Wielu żonatych z tego samego powodu najchętniej pozbyłoby się swych żon, by móc zastąpić je Roską. Służba prowadziła nawet zakłady, komu się to uda, lecz nie było nawet najmniejszego znaku wskazującego, że któryś z graczy zgarnie wkrótce całą pulę.

\*\*\*

Miedzy nami mówiąc, w końcu odtworzyliśmy z Roską całe zaklęcie Maldiviusa. Mieliliśmy właśnie rozpocząć magiczne czynności, gdy zwróciła się do mnie:

- Och nie, kochany Zdimie; przeraziłam się nagle tego, co mogę ujrzeć. Zajmij moje miejsce. Umiesz wróżyć?

- Madame, nie wiem, gdyż nigdy tego nie próbowałem.

- Cóż, to spróbuj teraz. Zaczynij od modlitwy do Zevatasa.

- Zrobię wszystko, by tylko sprawić ci satysfakcję, pani - odpowiedziałem i zasiadłem w jej fotelu. Wyrecytowałem modlitwę, lecz bez żadnego zaangażowania, gdyż bogowie Ning nie są bogami Novarii. Zaciągnąłem się dymem i wypowiedziałem magiczne zaklęcie Malwańczyków:

*Jyu zorme barh tigai tyuvu...*

Błyskające w szafirze światła zaczęły przyjmować jakieś kształty. Najpierw pojawiły się mało konkretne obrazy: fragmenty nieba i chmur, ziemia i morze, wszystko przemieszane i ruchome. Przez chwilę wydawało mi się, że patrzę na ziemię z góry, jakbym był ptakiem: moment później leżałem na łące spoglądając przez kępy trawy. Następnie znalazłem się w wodzie, gdzie wokół mnie poruszały się zamazane płetwiaste cienie. Po pewnym czasie nauczyłem się kontrolować te zjawiska, tak że mój punkt obserwacyjny stał się stabilny.

- Czego mam szukać? - zapytałem. Mówienie w czasie transu jest jak próba rozmowy z głową okręconą kocem.

- Niebezpieczeństwa, które według Maldiviusa grozi Ir - odpowiedziała.

- Słyszałem o tym niebezpieczeństwie, lecz Maldivius nie chciał wyjawić, na czym ono polega.

- To pomyśl. Może któryś z sąsiednich narodów planuje jakąś intrygę?

- O niczym takim nie słyszałem. Czy jakiś ościenny kraj jest wrogiem Ir?

- Żyjemy w stanie pokoju ze wszystkimi, a pokój ten nie jest bardziej zagrożony niż zazwyczaj. Tonio z Xylaru nie jest nastawiony do nas zbyt przyjaźnie, związał się z Govannianim przeciwko naszemu sojusznikowi Metourowi; jednak, jak na razie, nie jest to nic poważnego. Poza tym Tonio straci głowę w ciągu roku...

- Madame! Cóż ten człowiek zrobił, że mówisz tak obojętnie o pozbawieniu go głowy?

- W Xylarze przyjął się zwyczaj ścinania królowi głowy po pięciu latach rządów, by rzucić ją potem w tłum. Ten, kto ją złapie, zostanie wybrany królem na następnych pięć lat. Lecz dosyć tego; wróćmy do naszego niebezpieczeństwa. A może zagraża, nam ono z bardziej odległej krainy, ze Shvenu położonego za Ellornas, a może z zamorskiej Paalui.

- Przypomniałem sobie! - wykrzyknąłem. - Bagardo wspomniał kiedyś, że Maldivius mówił mu, iż swą fortunę będzie zawdzięczał Paaluńczykom.

- Więc lećmy, to znaczy niech twój magiczny wzrok poleci do Paalui. Zobaczymy, co też ci ludzie zamierzają.

- Dokąd, moja pani?

- Na zachód.

Podczas rozmowy moja wizja w szafirze rozmyła się. Musiałem raz jeszcze wciągnąć w nozdrza dym, jak również powtórzyć zaklęcie, by przywrócić jej ostrość. Z wysiłkiem przemieściłem pole widzenia do góry i skierowałem je na zachód, kierując się słońcem. Moje umiejętności ciągle jeszcze były dalekie od doskonałości; raz wpadłem w jakąś górę i wszystko wokół mnie stało się czarne, dopóki nie przedostałem się na drugą stronę.

Tak przeleciałem nad wzgórzami Ir, następnie równiną przybrzeżną i wzdłuż doliny Kyamos. Przemknąłem nad Chemnis z jej statkami i ujściem rzeki, by wreszcie znaleźć się nad szerokim błękitnym morzem.

Pokonywałem milę za milą, nie widząc nic poza jakimś przypadkowym ptakiem morskim czy wielorybem wyrzucającym w górę fontannę wody. W pewnej chwili moją uwagę przyciągnęło skupisko czarnych punkcików. Wkrótce zmieniły się we flotyllę długich statków o ostro zakończonych dziobach. Każdy miał kwadratowy żagiel dobrze wypełniony wiatrem.

Zniżyłem lot, by mieć lepszy widok. Pokłady były przepelnione ludźmi, którzy wyglądali zupełnie inaczej niż Novarianie. Większość z nich była całkowicie naga, kilku zaledwie nosiło luźno zarzucone, powiewne płaszcze. Mieli czarną skórę, kudłate, pokręcone włosy i wielkie,

równie pokręcone brody. Włosy i brody były w różnych kolorach, od czarnego do rudego. Czarne oczy spoglądały z przepaścistych oczodołów pod wielkimi brwiami, nosy mieli szerokie i płaskie, jak zapadnięte.

Madame Roska stawała się coraz bardziej podniecona, gdy opisywałem jej, co widzę. Nagle wszystko się urwało. Z nadbudówki na rufie statku, któremu przyglądałem się przez szafir, wyszedł kościsty, stary Paaluńczyk o siwych włosach i brodzie. Trzymał coś, co wyglądało jak kość z ludzkiej nogi, a jego oczy wypatrywały czegoś w górze. W końcu wbił we mnie wzrok z głębin kamienia. Wykrzyknął coś niesłyszalnego i skierował kość na mnie. Wizja rozmyła się i rozpadła w tańczące, świetlne zygzaki.

Gdy opowiadałem o wszystkim Rosce, ta krążyła po kaplicy, gryząc paznokcie.

- Paaluńczycy - powiedziała - wygłodnieli ponad miarę. Trzeba ostrzec syndyków.

- Czego oni pragną?

- Napełnić spiżarnie, to wszystko.

- Czy to znaczy, że są ludożercami?

- Właśnie.

- Powiedz mi, proszę, co to za naród? Myślałem, że na tym planie ludzie, którzy chodzą nago i zjadają inne istoty ludzkie są uważani za prymitywnych barbarzyńców. Jednak statki Paaluńczyków wydają się dobrze zbudowane i prowadzone, choć nie jestem ekspertem w tych sprawach.

- Nie ma żadnych barbarzyńców; w istocie są oni bardzo wysoko rozwiniętą cywilizacją, lecz zupełnie odmienną od naszej. Wiele z ich zwyczajów, jak chodzenie publicznie nago i antropofagię, uważamy za barbarzyńskie. Lecz co mamy zrobić? Jeśli pójdę do syndyków, powiedzą, że próbuję ich ostrzec, bo chcę uzyskać miejsce w radzie. A może ty przekażesz im tę wiadomość?

- Cóż, pani, jeśli udałoby mi się stanąć przed nimi, mógłbym opowiedzieć o tym, co zobaczyłem. Lecz nie mam prawa domagać się od nich posłuchania.

- Dobrze, dobrze. Widzę, że będziemy musieli zrobić to wspólnie. Wezwij garderobianą.

Już po chwili madame Roska, ubrana wyjściowo, zażądała lektyki. Lecz wtedy do drzwi zakołatała jej przyjaciółka. Ledwie ta kobieta znalazła się w środku, rozbrzmiała lawina okrzyków: "Kochanie!", "Wspaniale!" i tym podobnych. Wiedziałem, co będzie dalej. Pilna misja do syndyków uległa zapomnieniu; obie kobiety rozsiadły się i zaczęły plotkować. Gdy gość nas opuszczał, oświetlające pomieszczenie światło słoneczne stało j się bardzo słabe i nastał czas kolacji.

- Jest już za późno, by cokolwiek dzisiaj robić - stwierdziła znużona Roska. - Zdażymy jutro.

- Ależ, pani! - zaprotestowałem. - Przecież tej wstrętne kreatury zza morza są o kilka dni drogi od naszego wybrzeża, czyż więc wiadomość o tym nie powinna być ważniejsza od wszystkiego innego? Na naszym planie mówimy, że pęknięty stół można naprawić wbijając jeden gwóźdź, gdy do złamanego i dziesięć może być za mało.

- Nie wspominaj mi o tym więcej, Zdimie. Źle stało, że madame Mailakis pojawiła się właśnie w tym momencie, lecz nie mogłam być nieuprzejma i zostawić ją samą sobie.

- Lecz...

- Już dobrze, kochany Zdimie! Temat jest wielce niemiły i chciałabym zapomnieć o całej sprawie przy jakiejś sympatycznej książce. Przynieś mi z biblioteki Wieczną miłość Falmasa.

- Madame Rosko! - powiedziałem. - Robię wszystko co tylko mogę by panią zadowolić, lecz, proszę o wybaczenie, ja naprawdę uważam, że powinna pani natychmiast zwołać Radę Syndyków. W przeciwnym razie wszyscy możemy stracić życie, nie wyłączając osoby szlachetnej pani. Zasługiwałbym wręcz na zwolnienie ze służby, gdybym nie zwrócił na to pani uwagi.

- Drogi Zdimie! Widzę, że bardzo się troszczysz o moją pomyślność. Awad! Sporządź listę członków rady, po kolacji masz ich wszystkich odwiedzić. Powiesz im, że jutro o trzeciej będę ich oczekiwać w Sali Gildii z ważnymi wiadomościami.

\*\*\*

Gdy wszyscy się zgromadzili, naczelny syndyk Jimmon zapytał:

- Czy jesteś tym demonem z Dwunastego Planu, który trafił na służbę do doktora Maldiviusa?

- Tak jest, panie.

- Jak cię nazywają? Stam czy coś takiego?

- Zdim, syn Akha, panie.

- A tak. Wyjątkowo szpetne imiona macie na tym Dwunastym Planie. No więc, Rosko, o co ten cały rwetes, hm?

- Panowie - zaczęła. - Pamiętacie zapewne, że w zeszłym miesiącu doktor Maldivius próbował wycisnąć z syndykatu pieniądze w zamian za informację na temat niebezpieczeństwa zagrażającego Ir.

- Bardzo dobrze pamiętam - powiedział syndyk. - I dalej uważam, że był to blef; nie miał żadnych informacji na ten temat.

- Wiecie przecież, jak pokrętny charakter miał Maldivius - dorzucił inny. - Nic dziwnego, że zrobiło mu się za gorąco w naszym mieście i opuścił je.

- Wszystko to prawda - stwierdziła Roska - lecz wiem, że niebezpieczeństwo istnieje, a Maldivius nic nie przesadził.

- O? - poruszyło się paru z owej zaspanej, wynudzonej kompanii, w której większość była w dobrze zaawansowanym wieku i ze sporym zapasem tłuszczu. Teraz jednak się ożywili, wykazując oznaki zainteresowania.

- Tak - ciągnęła Roska. - Trafił mi ostatnio w ręce kamień do wrózenia potężnej mocy, a mój sługa ujrzał w nim zbliżające się niebezpieczeństwo. Zdimie opowiedz.

Opisałem mą wizję. Na niektórych wywarła wrażenie; inni zaczęli kpić:

- Dajcie spokój, czy naprawdę mamy uwierzyć w opowieść tego potwora?

Kłótnia trwała godzinę. W końcu Roska zapytała:

- Czy ktoś z Waszych Ekscelencji jest obdarzony darem wrózenia?

- Nie ja! - odpowiedział Jimmon. - Nie mam zamiaru dotykać tego kamienia. Za bardzo mi to pachnie czarostwem.

Inni jak echo powtarzali to zdanie, dopóki nie odezwał się Kormous. Wyznał, że w młodości parał się trochę sztuką tajemną.

- Musicie więc natychmiast pójść do mego domu - zdecydowała Roska. - Niech pan Kormous wejdzie w trans i opowie wam, co zobaczy. Mam nadzieję, że jemu już uwierzycie.

\*\*\*

Godzinę później Kormous siedział w fotelu prze szafirem, a inni syndykowie stali wokoło. Mówił przytłumionym głosem, w miarę opisu twarze pozostałych bladły.

- Widzę... statki... Paaluńczyków - mamrotał. Są... zaledwie parę mil... od Chemnis. Osiągną ląd... jutro. Syndyków, jednego po drugim, opuszczało niedowiarstwo. Jeden stwierdził:

- Musimy z powrotem pędzić do Sali Gildii, by ustalić nasze postępowanie.

- Nie ma czasu, posiedzenie musi się odbyć tutaj zdecydował Jimmon. - Rosko, czy możemy skorzystać z twojej pracowni?

Gdy do niej przeszli, Roska spytała:

- Może wreszcie zgodzicie się, bym zajęła miejsce w Radzie, mimo że jestem kobietą.

- Nie zawarliśmy żadnej umowy w tej sprawie, nim nas ostrzegłaś - powiedział Jimmon i dodał: - Wyjdź za mnie, kochana Rosko, a będziesz żoną syndyka. Zapewni ci to życie w chwale bez żadnego wysiłku.

- Wyjdź za mnie - zaproponował inny - a ja wykorzystam wszystkie moje wpływy, by zdobyć ci to miejsce. Nic złego się przecież nie stanie, jeśli będzie dwoje syndyków w rodzinie.

Jeszcze inny zauważył po cichu:

- Mam co prawda żonę, lecz gdyby Roska chciała... hm... zgodziła się...

- Zamknijcie gęby, jesteście ordynarni jak barbarzyńcy! - zdenerwował się Jimmon. - Wiecie, że madame Roska jest najcnotliwszą kobietą w Ir. A poza tym, jeśli zechciałaby wejść w tego rodzaju układ, to tylko ze mną, gdyż jestem znacznie bogatszy od was. Lecz wróćmy do tych czarnych kanibali.

- Gdybyśmy nie zapłacili Zolonom, by wysłali swą flotę na północ przeciwko piratom z Algarthu - zauważył ktoś - to ich okręty załatwiłyby szybko Paaluńczyków.

- Ale zapłaciliśmy - uciał Jimmon - a flota Zolonów odpłynęła i próba ściągnięcia jej z powrotem nie miałyby najmniejszego sensu.

- Nie stałoby się tak, gdybyś nie zmarnował tyle czasu na targi z Maldiviusem - zarzucił jeden z syndyków.

- Żeby cię szlag trafił! Muszę dbać o pieniądze podatników - odpowiedział Jimmon. - Gdybym zgodził się na pierwszą propozycję Maldiviusa, zdjęlibyście mi skalp za marnowanie bogactw republiki. Poza tym, źle to czy dobrze, ale tak się już stało. Problem w tym, że nie wiemy, co teraz robić.

- Zbroić się!

- Zapomniałeś - odpowiedział Jimmon - że wyprzedaliśmy zapasy broni, gdyż musieliśmy zdobyć fundusze na opłacenie Wielkiego Admirala Zolonów, by zechciał wyruszyć na wyprawę algarthianską.

- O bogowie! - ktoś jęknął. - Co za chciwi idioci...

Gorzkie wypominki trwały godzinami. Winę za brak gotowości republiki do obrony każdy z syndyków starał się zrzucić na innych. Po spędzeniu w ten sposób całego dnia uchwalili wreszcie natychmiastową mobilizację milicji. Nakazali też wszystkim mężczyznom nie posiadającym broni, by sami zabrali się do jej wyrobu. Naczelnym Wodzem mianowano najmłodszego z syndyków, finansistę o imieniu Laroldo. Wygłosił on krótką mowę:

- Panowie, czuję się głęboko zaszczycony wyróżnieniem, które mi przypadło w udziale. Zrobię wszystko, by udowodnić, że zasłużyłem na ten wybór. Chciałbym jednak na początku zaproponować, byśmy uchwalone dekryty zatrzymali w tajemnicy do jutra rana, kiedy to podamy je do wiadomości publicznej i wyślemy gońców do Chemnis, by ostrzec jej mieszkańców. Myślę, że Wasze Ekscelencje rozumieją moje powody. - Tu mrugnął porozumiewawczo do pozostałych syndyków.



Madame Roska zapytała się ostro:

- Po co to opóźnienie? Każda godzina jest bezcenna.

- No cóż, hm... - zaczął Jimmon. - Dzisiaj jest już zbyt późno, by zrobić cokolwiek pożytecznego. A poza tym nie chcielibyśmy niepokoić pospólstwa, panika w naszym podziemnym mieście w nocy byłaby czymś strasznym.

- Bzdury! - zdenerwowała się Roska. - Wiem, o co wam chodzi. Chcecie wykupić z rynku całą żywność i inne niezbędne do życia produkty, gdyż wiecie, że ceny pójną ostro w górę, zwłaszcza gdy się rozpocznie oblężenie Ir. Nie macie wstydu, wyzyskując ludzi w tak bezwzględny sposób.

- Moja droga Rosko - zaczął Jimmon. - Jesteś mimo wszystko kobietą, chociaż śliczną i bogatą w różne talenty. Dlatego nie rozumiesz takich spraw...

- Rozumiem dostatecznie dobrze! Powiem ludziom o waszym spisku, mającym na celu wykupienie towarów z rynku, by potem dyktować ceny...

- Myślę, że nie zrobisz niczego takiego - stwierdził Jimmon. - To jest posiedzenie zamknięte, mamy pełne prawo kontrolować wszelkie informacje o tym, co tu się dzieje. Każdy, kto przed oficjalnym podaniem do publicznej wiadomości samowolnie ujawni nasze decyzje, zostanie ukarany przypadkiem całego majątku. A ty, moja droga, jesteś zbyt delikatna, by zarabiać na życie sprzątaniami. Czy wyrażam się dosyć jasno?

Roska wybuchnęła płaczem i wybiegła z pokoju. Posiedzenie zostało zamknięte i syndykowie pozbiali swoje płaszcze i miecze w wyraźnym pośpiechu. Moje witki mówiły mi, że Roska miała rację; byli ogarnięci pragnieniem dostania się na rynek i do sklepów, zanim zostaną zamknięte, a ceny skoczą w górę pod wpływem plotek o inwazji.

Następnego dnia rozkazy syndyków zostały ogłoszone, a dwóch posłańców pogalopowało w kierunku Chemnis. Przez cały dzień w Ir panowała szalona krzątanina. Na polu za Wieżą Ardymana dokonano przeglądu ponad czterech tysięcy milicjantów, dla których Posiadano uzbrojenie, i około dwustu najemników ze Shvenu. Wykonali oni kilka prostych ćwiczeń z musztry i pomaszzerowali drogą do Chemnis. Prezentowali się wspaniale rozpuściwszy łopoczące chorągwie, a na ich czele w pełnej zbroi jechał konno bankier Laroldo.

Okolo tysiąca innych pozostało na polu, by ćwiczyć pod kierunkiem starego Segoviana, mistrza musztry. Młodzi ludzie mieli trenować kijami i miotłami, dopóki nie znajdzie się dla nich właściwej broni.

Segovian miał wygląd niedźwiedzia, obdarzony był potężną brodą i grzmiącym głosem. Był jedynym mężczyzną w Ir, którego obchodziły problemy militarne. Inni Iriańczycy patrzyli na niego

jak na dzikiego, krwiożerczego barbarzyńcę. Utrzymywano go jednak w mieście jako człowieka niezbędnego, tak jak strażaków czy śmieciarzy.

Przez ponad stulecie republika uprawiała pokojową politykę w stosunku do innych narodów novariańskich. Syndykat, rządzące ciało złożone z arystokracji kupieckiej, nastawił się na powiększanie bogactwa. Pewną jego część zużywano rozsądnie na wynajmowanie floty Zolonu, by strzec wybrzeża. Za pieniądze przekupywano też liderów innych krajów novariańskich, napuszczając jednych na drugich i uniemożliwiając im w ten sposób utworzenie koalicji przeciwko Ir. Taka polityka sprawdzała się w stosunku do innych Novarian, lecz Paaluańczycy zapowiadali się jako nieprzyjaciel zupełnie innego rodzaju.

## V - Bankier Laroldo

Przez cały ten dzień poświęcony mobilizacji i krzątaniu pozostawałem w domu Roski, by pomóc jej przy korzystaniu z kamienia. Nie na wiele jednak się to przydało. Paaluńscy czarownicy wiedzieli już, że ktoś ich szpieguje. Gdy tylko udawało nam się uzyskać ostry obraz w szafirze, kierowali na nas swe magiczne kości, zakłócając połączenie. Pozwalało to jedynie rzucić okiem na nieprzyjaciela.

Od czasu do czasu zaglądaliśmy również do Chemnis. Obserwowaliśmy ją mając nadzieję, że wkrótce przybędą posłańcy z Ir, lecz z tego, co się w niej działo, widać było, że miasto prowadzi niezakłóconą, normalną aktywność.

Przyglądając się Chemnis, po południu zauważyłem skupisko czarnych punktów od zachodu. Gdy powiedziałem o tym Rosce, jęknęła.

- O bogowie! - krzyknęła. - To ci ludożercy! Za chwilę rzucą się na bezbronnych Chemnitów i wyrzną ich w pień. Co zatrzymuje naszych posłańców?

- Głównie odległość! - odparłem. - Poza tym, jeśli was dobrze poznałem, to najprawdopodobniej zatrzymali się w jakiejś karczmie i upili. Ale chwileczkę! Widzę coś jeszcze.

- Co takiego? Co?

- Jakiś człowiek jedzie do Chemnis na mule. Spróbuję przyjrzeć mu się z bliska. Wygląda na starego, jest zgarbiony. Ma długie, siwe włosy opadające spod kapelusza. Zmusza zwierzę do galopu. Na bogów Ning, to mój stary pan, czarownik Maldivius! Widzę, że ściąga cugle, mijając kilku Chemnitów. Wykrzykuje i macha rękami. Znowu galopuje... staje i woła do następnych przechodniów.

- Wreszcie, chociaż część Chemnitów dowie się o niebezpieczeństwie - odetchnęła Roska. - Jeśli uwierzą jego ostrzeżeniom i uciekną od razu, mogą uniknąć garnka.

- Madame, wy, Pierwszoplanowcy, nigdy nie przestaniecie mnie zadziwiać - powiedziałem. - Uważałem, że doktor Maldivius jest zbyt samolubny, by chciało mu się uprzedzić kogokolwiek o zbliżającym się nieszczęściu, zwłaszcza że szanowny doktor nie uzyska żadnej ceny za swe informacje.

- Jak widzisz, nie jest on zupełnym łotrem. Tacy ludzie zdarzają się bardzo rzadko.

Kontynuowałem obserwację portowego miasta. Pierwsi, z którymi rozmawiał Maldivius, wyraźnie mu nie; uwierzyli, gdyż dalej zajmowali się spokojnie własnymi sprawami, jakby nic się nie przydarzyło. Kolejne krzyki; ostrzegawcze wydawały się jednak odnosić pewien skutek. Mogłem dostrzec grupki ludzi, którzy przystawali i gestykulowali. Wyglądało na to, że się spierają.

W ciągu godziny od pierwszego ostrzeżenia ludzie zaczęli ładować swój dobytek na wózki bądź mocować do j grzbietów jucznych zwierząt, a następnie wędrować drogą wzdłuż Kyamos.

Zaledwie część mieszkańców miasta znajdowała się na drodze, gdy flota paaluńska stała się widoczna z brzegu. Nagle wybuchła panika. Drogę wypełnili uciekający pośpiesznie Chemnici, którzy biegnąc truchtem i potykając się, usiłowali znaleźć się jak najdalej od miasta. Niektórzy szli z pustymi rękoma, inni nieśli pojedyncze przedmioty złapane w ostatniej chwili. W całym tym zamieszaniu straciłem z oczu doktora Maldiviusa.

Paaluńskie galery wpłynęły do portu. Część dobiła do wolnych falochronów i nadbrzeży, a żołnierze wyskoczyli na ląd i rozbiegli się, sprawdzając okolice, jakby oczekiwali zasadzki. Następnie, pod dowództwem oficerów w lśniących płaszczach z purpurowych i żółtych piór, na brzeg zeszła cała armada.

Z jednego ze statków sprowadzono grupę zwierząt niepodobnych do niczego, co do tej pory widziałem. Były wielkie, dostatecznie duże, by unieść człowieka w siodle. Miały wysmukłe pyski i długie jak osioł uszy, lecz na tym kończyło się całe podobieństwo. Przednie łapy były bardzo krótkie, tylne zaś - nieproporcjonalnie wielkie. Zwierzęta miały też długie i mocne ogony. Poruszały się skacząc na tylnych kończynach i trzymając ogon w górze dla utrzymania równowagi. Wyglądem przypominały małego zwierzaka z Pierwszego Planu zwanego królikiem, lecz w znacznie większej skali.

Gdy tylko skaczące zwierzęta znalazły się na brzegu, Paaluńczycy wyprowadzając je na ląd wskoczyli w siodła na ich grzbietach i pognali równie lekko, jakby galopowali konno. Ostatni Chemnici opuszczali właśnie miasto i niektórzy z nich zostali schwytani przez paaluńskich kawalerzystów. Część z nich po prostu najeżdżała na swe ofiary i zakłuwała je lancami lub rzucała w nie oszczepami. Inni używali sznura z kamieniami. Rzucali nim tak, że owijał się wokół nóg uciekiniera, wywracając go na ziemię; tym sposobem można było szybko związać jeńca i odstawić z powrotem do Chemnis.

Przy kamieniu zastąpiła mnie madame Roska, lecz zaledwie zdążyła uzyskać dobre połączenie, krzyknęła i zasłoniła oczy. Nie mogłem się z nią porozumieć. By dowiedzieć się, co ją tak przeraziło, musiałem ponownie wejść w trans.

Spod pokładu innego okrętu wychodziła kolumna jeszcze bardziej zadziwiających istot. Paaluńczycy oswoili kilkadziesiąt jaszczurosmoków i nauczyli je jeździć pod siodłem. Dorosły smok często ma więcej niż piętnaście metrów długości, może więc na sobie nosić i kilku ludzi w rzędzie.

Jeździec, który powodował zwierzęciem, siedział na karku jaszczura. Za nim zajmowało miejsce sześciu lub ośmiu innych, siedząc parami na czymś w rodzaju howdah\*[\*siodło na słońia].

Typowa załoga składała się z czterech łuczników i dwóch oszczepników. Wszyscy osłaniali swą nagość dziwną zbroją, zrobioną (jak się później dowiedziałem) z kawałków lakierowanej skóry. Choć nie tak mocna, i jak dobry kawał żelaza, które nosili rycerze othomaeńscy, była lekka i praktyczna. Jedna galera mogła pomieścić ograniczoną liczbę jaszczurów, więc oddział był rozlokowany na wielu okrętach. Ze względu na ograniczoną pojemność doków rozładowanie całej armii, która była dwa razy liczniejsza od naszej, trwało dwa dni.

W tym czasie Paaluńczycy, którzy już zeszli na ląd, zajmowali Chemnis, okupując opustoszałe budynki. Chemnici, których schwytała kawaleria paaluńska, zostali sprawnie, pocięci na odpowiednie kawałki i zasoleni bądź uwędzeni, dzięki czemu byli przygotowani do spożycia w późniejszym czasie.

Trzeciego dnia po wylądowaniu paaluńska armia, z rozrzuconymi szeroko zwiadowcami na zwierzętach, pomaszerowała w górę doliny Kyamos. Boki armii słaśniały oddziały zabezpieczające przed niespodziankami. W tym czasie dom Roski zamienił się praktycznie w dodatkowe pomieszczenie przy Sali Gildii. Syndykowie przychodzili o dowolnej porze, by zdobyć najświeższe informacje o tym, co zobaczyliśmy. Stary Kormous spędzał wiele godzin w kaplicy, uwalniając Roskę i mnie od wpatrywania się w kryształ.

W tym samym czasie wieść o inwazji rozchodziła się chyżo po republice. W rezultacie chłopci i mieszcianie pędzili z innych rejonów kraju do Ir, które uważano za niepokonane. W mieście panowało więc przepełnienie, ludzie spali na podziemnych ulicach.

\*\*\*

Wreszcie nadszedł dzień bitwy. Kormous i ja obserwowaliśmy w transie szafir, siedząc po przeciwnych stronach stołu. Nie mogliśmy dostrzec zbyt wiele ze względu na interwencje paaluńskich czarowników, jak również kłęby pyłu.

Na ile mogłem się zorientować, syndyk Laroldo nie próbował żadnej z wojennych sztuczek, takich jak wprowadzające w błąd ruchy wojsk i podobne manewry (niektóre z narodów Pierwszoplanowców doprowadziły je do poziomu sztuki). Po prostu rozwinął armię, ustawiając Shvenitów wokół siebie, machnął mieczem i rozkazał atakować. Następnie wszystko zginęło w kurzu.

Nie minęła nawet godzina, gdy zaczęliśmy dostrzegać uciekinierów - Iriańczyków, nie Paaluńczyków - opuszczających pole bitwy. Widzieliśmy, jak niektórzy z nich ginęli zastrzeleni bądź zakłuci włóczniami przez załogi siedzące na grzbietach smokojaszczurów, innych Pożerały same jaszczury. Następnie zmieniła się scena i zobaczyłem Jego Ekscelencję Larolda galopującego

na wschód. Towarzyszący mi podczas tej wizji syndykowie głośno krzyczeli, uderzali się po piersiach, rwali włosy i rzucali przekleństwa i groźby na Larolda, którego obwiniali o klęskę.

\*\*\*

Bankier zamieniony w żołnierza dotarł do Ir kilka godzin później i na chwiejących nogach wszedł do domu madame Roski, pokryty kurzem i krwią, z kawałkami zbroi dyndającymi na rzemieniach. Upuścił na podłogę ułamany miecz i rzucił syndykom:

- Jesteśmy pokonani.

- Wiemy, głupku - rzucił zimno Jimmon. - Jak bardzo?

- Z tego co wiem to całkowicie - odpowiedział Laroldo. - Milicja zawróciła po pierwszym uderzeniu i uciekła jak króliki.

- Co ze Shvenitami?

- Gdy zobaczyli, że wszystko stracone, sformowali kwadrat i odmaszerowali, tworząc jeża ze swych pik. Nieprzyjaciel pozwolił im odejść, woląc zająć się łatwiejszymi ofiarami, które nie stawiały oporu.

Któryś z syndyków powiedział:

- Widzę, że ty jednak ocaliłeś swą cenną głowę. Bohater padłby na polu bitwy, zagrzewając do walki ludzi.

- Na złote zamki Franda! Nie jestem bohaterem, lecz bankierem. I nie byłoby żadnego pożytku z tego, że zostałbym na polu. Byliśmy w mniejszości i bitwa skończyłaby się tak samo, a wy nie uzyskalibyście tej małej pomocy, którą mogę wam ofiarować. Gdyby zależało mi wyłącznie na własnym bezpieczeństwie, popędziłbym do Metouro. Kiedy wszystko się skończy, a my zostaniemy przy życiu, możecie mnie powiesić, zastrzelić lub ściąć, co wolicie. Ale na razie weźmy się do pracy.

Witki dawały mi znać, że mówił szczerze.

- Dobrze powiedziane - stwierdził inny syndyk, gdyż wiele z rozgoryczenia przeciwko Laroldowi straciło na sile w obliczu takiej klęski. - Lecz wyjaśnij mi coś, panie Laroldo. Obserwowaliśmy twoje działanie za pomocą kamienia. Dlaczego nie spróbowałeś żadnej sztuczki, na przykład jakiegoś chytrego manewru czy ruchu oskrzydającego. Czytałem, że różni generałowie potrafili zwyciężyć przeważające siły wroga, stosując takie chwyt.

- Mieli armie złożone z dobrze wyszkolonych ludzi, weteranów, gdy ja dysponowałem tłumem nowicjuszy. Nawet gdybym wiedział jak takie manewry przeprowadzić, wszystko co mogłem zrobić, to sformować linię z tego stada gęsi i rozkazać im maszerować w tym samym kierunku. Lecz teraz, jeśli nie marzycie o tym, by stać się pokarmem dla kanibali, musicie

utworzyć nową armię. Weźcie do niej chłopców, dziadków, niewolników, a jeśli będzie trzeba to kobiety, uzbrojcie ich w miotły i cegły, jeśli zabraknie mieczy i strzał. Dla tych, co nadchodzą, jesteśmy jedynie obiektami, które należy zasolić i wysłać do Paaluy, by można je było spokojnie spożyć.

- Nie sądzisz, że moglibyśmy się wykupić? - spytał Jimmon. - Nasz skarbiec jest w doskonałym stanie.

- Nie mamy nawet cienia szansy. Ich kraj to głównie pustynia, nie mają więc terenów, na których mogliby wykarmić jakieś jadalne zwierzęta. Łakną mięsa, i to tak bardzo, że często żeglują na inne kontynenty, by je zdobyć. Nie obchodzi ich, czy jest to mięso ludzkie, czy jakiegokolwiek inne. Tak więc w tej chwili jeden dobry żelazny grot do strzały jest wart więcej niż sztabka czystego złota jego wagi.

Krąg zgromadzonych wokół syndyków jęknął chórem. Jimmon stwierdził:

- Cóż, teraz gdy jest już za późno, łatwo dostrzec głupotę naszych wcześniejszych działań. Należy postąpić zgodnie z propozycjami pana Larolda.

- Czy nie możemy zabiegać o pomoc u któregoś z Dwunastu Miast? - zapytał ktoś z kręgu.

Jimmon zamyślił się.

- Tonio z Xylaru jest nam wrogi, bo sprzymierzył się z Govannianami. Będziemy mieli szczęście, jeśli nie dołączy do sił najeźdźców.

- Byłoby to jak przymierze królika z wilkiem przeciwko innemu królikowi - rzucił któryś z syndyków.

- Oba skończyłyby w żołądku wilka.

- Masz rację, lecz spróbuj to wyjaśnić królowi Toniowi - powiedział Jimmon. - Govannian jest beznadziejne z tego samego powodu. Metouro jest nam przyjazne, lecz ich armia znajduje się na granicy z Govannian, by zapobiegać zagrożeniu istniejącemu z tamtej strony. Poza tym Beztwarzy Piąty ostatnio zaczął się lękać swojej armii, gdyż jego oficerowie prowadzą jakąś rewolucyjną działalność. Nie, obawiam się, że nie możemy liczyć na żadną pomoc.

- A co na temat Solymbrii?

- Neutralna polityka Solymbrii mogłaby zostać ewentualnie zmodyfikowana, gdyby nie rządził nią ten głupek Gavindos.

- Bogowie musieli chcieć ukarać Solymbrię, gdy sprawili, że los wskazał na niego - stwierdziła Roska. - Mój niewolnik Zdim byłby lepszym od niego archontem.

Jimmon wbił we mnie wzrok, jego oczy wзираły z tłustej, pełnej twarzy.

- To mi nasunęło pomysł... Zdimie!

- Tak, panie?

- Jako obcokrajowiec, zakontraktowany służący i nawet nie człowiek, nie masz żadnego prawa, by wydawać rozkazy mieszkającym na tym planie. Niemniej gdy usłyszałem, że używasz mowy, wydało mi się, że robisz z niej lepszy pożytek niż wielu naszych mędrców. Co ty byś zaproponował?

- Pan pyta mnie?

- Tak, tak. Co nam powiesz, hm?

- Cóż, panie. Marzę o tym, by dać jak najlepszą radę... - Zastanowiłem się przez chwilę, w czasie której syndykowie wpatrywali się we mnie, tak jak gracze obserwują obroty ruletki. - Przede wszystkim, czy dobrze zrozumiałem, że pan Laroldo jest bankierem?

- Tak - wykrztusił Laroldo wlewając w siebie szlachetne wino Roski, tak jakby to było zwykłe piwo. - Nikt nie da ci pożyczki na procent niższy od mojego i nie udzieli ci wyższego procentu za zdeponowane pieniądze. Chcesz pożyczyć czy wpłacić?

- Nic z tych rzeczy, Wasza Ekscelencjo. Lecz oświeć mnie, proszę, czy naprawdę nie masz żadnego doświadczenia wojennego poza dzisiejszym dniem?

- Nie, bo i po co? Z nikim nie byliśmy w stanie wojny. Jest normalne, że któryś z syndyków dowodzi naszymi siłami. Byłem najmłodszy i najbardziej aktywny, więc to ja zostałem wybrany.

- Cóż, panie, na naszym planie do zadań, w których błąd może przynieść poważne szkody, na dowódcę staramy się wybrać demona, który ma odpowiednie doświadczenie. Mówimy, że doświadczenie jest najlepszym nauczycielem. Czyż nie ma w Ir nikogo, kto walczył za pomocą broni?

Syndyk odparł:

- Jest stary Segovian, mistrz musztry. Wymaszerowałby z armią, gdybyśmy nie kazali mu zostać w Ir i ćwiczyć rekrutów. Nie jest wyjątkowo inteligentny, lecz przynajmniej wie, który koniec dzidy służy do klucia.

- Taak - zamyślił się Jimmon. - A co by było, gdybyśmy mianowali Segoviana dowódcą, a on stworzyłby nową milicję? Wśród uciekinierów, którzy zalali nasze miasto, powinno być dosyć krzepkich chłopaków z farm. Niedługo pojawią się tu Paaluańczycy. Nie dostaną się do środka nawet przy słabej obronie, gdyż nasze umocnienia są bardzo dobre, jednak my z kolei nie będziemy w stanie przełamać oblężenia. I niezależnie od tego, jak wielkie zbierzemy zapasy, któregoś dnia muszą się skończyć. Co wtedy?

- Ale, panie... - Zastanowiłem się jeszcze raz. - Powiedział pan, że macie dość pieniędzy w skarbcu, czyż nie?

- Tak.

- Wydawało mi się, że mieliście oddział zaciężnych barbarzyńców ze Shvenu.



- Te bękarty opuściły nas - zajęczał Laroldo.

- Nie można mieć o to do nich pretensji - stwierdził Jimmon. - Gdy zobaczyli, że bitwa jest przegrana, nie mieli powodu, by wracać do miasta i zakładać sobie pętlę na szyję. Mów dalej, Zdimie.

- Skąd byli ci ludzie? Wiem, że Shven leży gdzieś na północy, za górami, lecz skąd dokładnie byli ludzie, których zaciągnęliście?

- Pochodzili z plemienia Hruntingów - odpowiedział syndyk.

- Gdzie mieszkają?

- Hruntingowie żyją w Ellornas za Solymbrią. Ich chanem jest Theorik, syn Gondomerika.

- Czy - ciągnąłem - moglibyście wysłać do Theorika posłańca, który by mu obiecał wiele złota za przyprowadzenie pod miasto armii dostatecznie dużej dla wybicia Paaluńczyków?

- Warto by tego spróbować - przyznał jeden z syndyków.

- Beznadziejna sprawa - rzucił inny. - Lepiej się zbierajmy i uciekajmy do Metouro, pozwalając Paaluńczykom splądrować puste miasto.

Wybuchła kolejna długa sprzeczka. Część była za wystosowaniem propozycji do władcy barbarzyńców. Inni protestowali, że będzie to zbyt kosztowne, na co pierwsi odpowiadali, że nie pomogą im pieniądze całego świata, gdy będą trawieni w żołądkach Paaluńczyków. Niektórzy byli za ogólną ucieczką, mieli nadzieję, że jeśli nie można się obronić przed Paaluńczykami, to może chociaż da się przed nimi umknąć.

W środku kłótni do pomieszczenia wpadł milicjant krzyżąc:

- Wasze Ekscelencje! Pojawił się nieprzyjaciel!

- To znaczy? - spytał Laroldo.

- Zwiadowcy na zwierzętach, które wyglądają jak wielkie króliki z długimi ogonami, zbliżają się do murów Wieży Ardymana.

- No cóż, o swoim planie ucieczki z miasta możecie zapomnieć - zauważył Jimmon. - Musimy się im przeciwstawić. Albo się nam uda, albo zginiemy. Chodźmy, zobaczymy, jak też wyglądają cywilizowani ludożercy.

\*\*\*

Przy wejściu do miasta-groty stwierdziliśmy, że Segovian nie czekając na oficjalną nominację rozpoczął przygotowania do obrony. Główna brama i mały portal nad nią zostały zamknięte i zaryglowane, jak również podparte dodatkowymi belkami, zapewniającymi odpowiednią blokadę.

Wspięliśmy się po schodach na dach. Otyli syndykowie szli wolno, zatrzymując się co chwila i sapiąc. Na górze zobaczyliśmy milicjantów, którymi komenderował Segovian. Rozmieszczał za murami ludzi uzbrojonych w łuki, kusze i proce.

- A teraz słuchajcie! - krzyknął na całe gardło. - Przygotujcie broń i wypuście strzałę przez znajdujące się obok was blanki. Jednak nie marudźcie za długo w otworach, gdyż wy z kolei możecie zostać postrzeleni w tchawicę. Szybko chować się za murem. Żadnego bohaterstwa, to nie są żarty. Dobrze wybierajcie cele, nie marnować pocisków na trawę...

Przez mur przeleciała strzala i z trzaskiem spadła na wyłożone kamieniami przejście. Segovian zauważył syndyków i podbiegł do nich.

- Co wy tu robicie bez żadnej osłony? - wrzasnął, nie zważając na ich bogactwo i pozycję. - Na górze każdy musi nosić jakiś hełm i pancerz, nawet jeżeli będą tylko z parzonej skóry!

Jimmon odchrząknął.

- Przyszliśmy tutaj, by poinformować cię, panie Segovian, że wybraliśmy cię na głównodowodzącego.

- Jesteście bardzo uprzejmi, bardzo uprzejmi - rzucił sucho Segovian. - A teraz zabierajcie...

- Proszę, generale! - przerwał syndyk. - Pozwól nam choć rzucić okiem na tych, z którymi będziemy walczyć.

~ Ależ bardzo proszę, myślę, że na tyle mogę wam pozwolić - wymruczał nowy generał. Krążył wokół jak zły owczarek, warcząc na tych, którzy zbyt długo trzymali głowę nad murem.

Na dole tłum wyjących paaluańskich zwiadowców tratował ziemię na skoczkach; tak nazywaliśmy ich wierzchowce. (W języku Paaluańczyków ich nazwa brzmiała jak "kangur".) Próbowali strzelać do nas ze swoich małych łuków, lecz Wieża Ardymana była tak wysoka, że dolatujące do nas strzały miały bardzo małą siłę rażenia. Nasze pociski, miotane z wysoka, mogłyby być znacznie bardziej skuteczne, gdyby nie brak doświadczenia u strzelców. Wreszcie strzala z kuszy trafiła któregoś z Paaluańczyków, który wypadł z siodła. Pozostali natychmiast odskoczyli na bezpieczniejszą odległość.

W oddali pojawiła się wielka chmura kurzu, zwiastując zbliżanie się głównych sił paaluańskiej armii. Wśród widzów znajdujących się na Wieży Ardymana wybuchnęły okrzyki przerażenia, gdy w polu widzenia pojawiły się smokojaszczury, poruszając odstawionymi na bok kończynami w chodzie typowym dla jaszczurek. Za nimi szli, oddział za oddziałem, piechurzy; w większości oszczepnicy i łucznicy. Nie zauważyliśmy u nich kusz, co dawało nam pewną przewagę.

Tak rozpoczęło się oblężenie Ir. Od tej chwili nie było żadnej szansy na masową ucieczkę, więc mogliśmy albo pokonać Paaluańczyków, albo zginąć, próbując tego dokonać. W owym czasie

myślałem o Iriańczykach i sobie “my”, gdyż - czy mi się to podobało, czy nie - mój los był związany z nimi.

\*\*\*

Segovian okazał się wyjątkowo dobrym generałem, uwzględniając materiał ludzki, który miał do dyspozycji. Minęło zaledwie kilka dni i Wieży Ardymana broniło pięć tysięcy nowych milicjantów, choć większość uzbrojono w zaimprovizowaną broń, jak młoty i połówki drzwi służące za tarcze. Lecz paleniska w kuźniach płonęły, a kowadła dźwięczały dzień i noc, pomagając odtworzyć nasze zapasy oręża. Przetopione zostały wszystkie przedmioty z żelaza, bez których można się było obyć.

Syndykat nakazał przeprowadzenie zaciągu spośród niewolników i parobków w zamian za obietnicę uwolnienia po zwycięstwie; zostałem zmobilizowany do artylerii. Byłem znacznie silniejszy niż przeciętny Pierwszoplanowiec, mogłem więc dwa razy szybciej niż dwóch ludzi naciągnąć katapultę korbą, podwajając w ten sposób szybkość strzelania.

Paaluańczycy rozłożyli obóz pod wieżą w odległości strzału z łuku. Gdy skończyli wreszcie prace związane z zakładaniem obozu, Segovian rozkazał otworzyć do nich ogień z katapult dalekiego zasięgu. Strzały i kamienne kule, które posłaliśmy w kierunku obozu, przesywając i miażdżąc wielu wojowników, tak ich rozdrażniły, że po kilku dniach zwinęli cały obóz i przenieśli się poza zasięg naszej broni.

W tym samym czasie napastnicy zamknęli Wieżę Ardymana linią szańców - prowadząc je po stoku góry Ir za wieżą. Stok dawał im przewagę przy strzelaniu z łuków, z czego skwapliwie skorzystali. Zasypywali nas strzałami wysyłanymi z poziomu naszej wieży, dopóki Segovian nie wzniosł wzdłuż parapetu po tej stronie całego ciągu osłon z mocnej skóry na kształt żagli, by przechwytywały miotane strzały. Czarownicy paaluańscy wysyłali w naszym kierunku złady w kształcie wielkich nietoperzy i ptaków pikujących na umocnienia, lecz nasi ludzie szybko nauczyli się je ignorować.

Syndykat wyprawił do Metouro posłańca z prośbą o pomoc. W bezksiężycową noc opuszczono go z wieży na sznurze, by spróbował przemknąć się przez linie wroga. Następnego dnia w świetle wstającego słońca zobaczyliśmy tego człowieka przywiązanego do pala przed obozem. Paaluańczycy spędzili cały dzień na powolnym zabijaniu go za pomocą wymyślnych tortur.

Drugi posłaniec, któremu polecono przedrzeć się do Solymbrii, zginął w podobny sposób. Po nim nie było już chętnych do takiej misji.

Paaluańczycy rozpoczęli montowanie własnej katapulty, ścinając drzewa w pobliżu na jej budowę. Zaplanowany mechanizm miał być szczególnie silny dzięki długiej przeciwwadze. Postępy w jego budowie Segovian śledził za pomocą lunety. W Ir mieliśmy tylko jeden taki przyrząd, gdyż był to zupełnie świeży wynalazek zrobiony niedawno w jakimś mieście oddalonym na południe od Ir. Wreszcie Segovian wymruczał:

- Wydaje mi się, że widzę jasnoskórego człowieka dowodzącego tymi ludźmi. To tłumaczy fakt, że ci, o których nigdy nie słyszano, by używali katapult, teraz potrafią je robić. Jeden z naszych novariańskich inżynierów uciekł do nich. Gdybym tylko mógł dostać tego drania...

Nie dosłyszałem, co Segovian by zrobił owemu renegatowi, lecz być może nie chciał, bym się dowiedział. Tymczasem kontynuował:

- Kierują toto na nasze główne zwierciadło. Nie ulega wątpliwości, że chcą je strzaskać, by pograć miasto w ciemnościach, bo świece i lampy niewiele nam dadzą światła. Zresztą ich zapasy nie starczyłyby na długo.

Szczęśliwie dla nas Paaluańczycy bądź ich novariański inżynier nie byli najlepszymi fachowcami od budowy katapult. Przy pierwszej próbie uruchomienia urządzenie rozpadło się; jeden z uchwytów podtrzymujących oś, na której obracała się wyrzutnia, złamał się z potwornym trzaskiem. Belki z rozlatującej się maszyny pofrunęły na wszystkie strony, zabijając kilku Paaluańczyków.

Rozpoczęto budowę drugiej, bardziej solidnej katapulty. Segovian zebrał wtedy kilkuset żołnierzy i wystąpił z propozycją, by ochotnicy zrobili wycieczkę i zniszczyli maszynę. Gdy walczyłem ze swą wstydlivością, by podnieść rękę, Segovian odezwał się do mnie:

- Zdimie, potrzebujemy twej siły i twardej skóry. Nie odmówisz nam swego udziału, prawda?

- Cóż - zacząłem, lecz Segovian ciągnął:

- Świetnie. Czy wiesz, jak należy się posługiwać bronią ręczną używaną na tym świecie?

- Nie, panie. Nikt tego ode mnie nie wymagał...

- Więc musisz się nauczyć. Sierżancie Chavral, weźcie kanoniera Zdima i wypróbujcie z nim różne rodzaje broni. Wybierzcie coś najbardziej poręcznego.

Poszedłem z sierżantem Chavralem na podwórzec Wieży Ardymana. Zrobiono z niego teren ćwiczeń, gdyż wewnątrz Ir nie było miejsca na nie. Plac był przepełniony. Jedną jego część odgrodzono na odległość strzału z łuku, druga służyła za plac do ćwiczenia musztry.

Chavral zabrał mnie do sekcji, gdzie stało kilka grubych drewnianych pali. Próbowali na nich siły swego ciosu ludzie walczący mieczami i toporami. Tuż obok walczyli parami, w grubych ochraniaczach, wojownicy uzbrojeni w tępa broń, a inny sierżant rzucał im rozkazy i uwagi.

Chavral wręczył mi szeroki miecz.

- Weź dobry zamach i przymierz się do tego - powiedział, wskazując jeden z pali.

- Czy tak, panie? - spytałem i zamachnąłem się. Ostrze wbiło się głęboko w pokaleczone drewno i złamało u samej rękojeści, którą dalej trzymałem w dłoni, utkwivszy w niej tępy wzrok.

Chavral skrzywił się z niezadowoleniem.

- Brzeszczot musiał być pęknięty. By przyspieszyć produkcję, wiele z tej broni pozwalają wyrabiać kowalom amatorom. Spróbuj tego.

Wzięłem następny miecz i jeszcze raz zamachnąłem się. Kolejny brzeszczot pękł.

- Na Astis, sam nie wiesz, jak jesteś silny! - krzyknął Chavral. - Musimy znaleźć dla ciebie coś bardziej wytrzymałego.

Po przeszukaniu stosu oręża wręczył mi maczugę. Była to potężna pałka o żelaznym trzonku, z głównią nabitą błyszczącymi kolcami.

- Teraz przyłóż mu swoją lagą! - rozkazał mi. Przyłożyłem. Tym razem to pał trzasnął, a połamane kawałki rozprysnęły się po całym placu.

- Potrzebujesz jeszcze trochę praktyki, by umieć zadawać i parować ciosy - oznajmił mi. - Wdziej ten komplet ochronny, a ja założę swój.

Chavral pokazał mi, jak trzymać tarczę, zrobić fintę, paradę, kółeczko, wypad, cofnięcie czy przysiad, jak podskokiem uniknąć niskiego ciosu i tak dalej.

- A teraz weźmy się do walki! - powiedział. - Dwa z trzech uderzeń na głowę bądź korpus kończą walkę.

Staliśmy naprzeciw siebie z tarczami i zawiniętymi w coś maczugami, z których każda ważyła niewiele mniej niż moja żelazna pałka. Chavral wykonał fintę i zadał mi w hełm solidny cios. Wyszczerył się przy tym do mnie przez szczeliny w swoim hełmie.

- No, dawaj! Uderzaj mnie! - pokrzykiwał. - Śpisz? Boisz się mnie?

Wykonałem fintę, tak jak mi przed chwilą pokazał, a następnie przymierzyłem się do ciosu w głowę. Chavral uniósł w tym momencie tarczę, by przyjąć cios, lecz jego siła sprawiła, że drewniana rama rozpadła się, a w tarczy powstała dziura. Chavral nagle zbladł, odskoczył do tyłu i upuścił tarczę.

- Na żelazne prącie Heryxa, myślę, że złamałeś mi ramię! - zajęczał. - Ej, wy tam! Sprowadzić mi chirurga. I wina!

Zawył, gdy chirurg nastawiał mu połamaną kość, mnie zaś powiedział:

- Ty idioto! Teraz będę musiał przez miesiąc walczyć z ręką na temblaku!

Odparłem:

- Jest mi bardzo przykro, panie, ale chciałem jak najlepiej wypełnić rozkazy. Jak my demony mówimy, błąd jest zwykłą rzeczą wśród istot rozumnych.

Chavral westchnął.

- Sądzę, że nie powinienem się złościć na ciebie. Lecz teraz widzę, że będziesz musiał ćwiczyć sam, gdyż poraniłbyś wszystkich naszych wojowników swymi miłosnymi klepięciami. Nie musisz się też przejmować subtelnościami szermierki, jeden twój cios załatwi każdego fehmistrza, który stanie naprzeciw ciębie!

Przy pierwszej pochmurnej nocy grupa uderzeniowa wymknęła się na zewnątrz wieży po spiralnej rampie. Nosiliśmy wyciszone obuwie, by poruszać się bezgłośnie, i skórzane zbroje, gdyż żelazne pancerze są zbyt hałaśliwe. Z tego samego powodu broń nieśliśmy w rękach zamiast trzymać ją w pochwach.

Dotarliśmy wreszcie do rowu otaczającego obóz paaluański i zaczęliśmy do niego wrzucać materace skonfiskowane mieszkańcom Ir. Zanim nieprzyjaciel się zorientował, o co chodzi, szybko go wypełniliśmy. Następnie za pomocą krótkich drabin opartych o palisadę dostaliśmy się do obozu, a przeciwnicy ciągle jeszcze miotali się na wszystkie strony, wzajemnie się alarmując.

Gdy znaleźliśmy się po drugiej stronie ostrokołu, rzuciliśmy się do nowej katapulty i obłożyliśmy ją namoczonymi w oleju faszynami. Niektórzy z nas nieśli rozżarzone węgle w zakrytych koszykach, które teraz otworzyli, a zawartość ich wyrzucili na faszyny. W okamgnieniu machina zajęła się ogniem.

Paaluańczycy tymczasem otrząsnęli się z zaskoczenia. Kilka grup, każda prowadzona przez oficera, rzuciło się na nas z ciemności. Zastosowałem się do rady Chavrała i ścierałem się z nimi pojedynczo. Gdy tylko któryś szedł na mnie, przyjmowałem jego cios na tarczę, a sam dawałem potężne uderzenie maczugą. Czasem, choć wyznaję, że niezbyt często, musiałem uderzyć po raz drugi.

Pierwszoplanowcy, ze względu na swą słabość i fakt, że w ciemnościach są na wpół ślepi, nie sprawiali mi zbyt wielkiego problemu, wystarczyło tylko pilnować się, by nikt nie zaszedł mnie z boku bądź tyłu, gdy byłem zajęty atakującym z przodu. I gdy tak spokojnie rozwaląłem im czaszki i łamałem żebra, usłyszałem sygnał trąbki wzywającej do odwrotu. Któryś z mych iriańskich towarzyszy pociągnął mnie za ramię.

- Wystarczy, Zdimie! - starał się przekrzyczeć bitewny gwar. - Sam nie pokonasz całej armii!

Pobiegłem za innymi. Przy palisadzie kilku Paaluańczyków chciało nas powstrzymać, wyprzedziłem więc swoich i rozłożyłem wrogów jednego po drugim. Następnie pobiegliśmy z powrotem do wieży i w górę spiralnym podejściem.

Gdy Segovian zebrał nas znowu w szyku i sprawdził listę, okazało się, że sześciu czy siedmiu brakuje. Powiedziano mi, że nie były to ciężkie straty, jeśli uwzględnić, z jak wielką siłą walczyliśmy, lecz mimo wszystko powinniśmy oszczędzać każdego żołnierza.

Paaluańczycy próbowali ugasić ogień, lecz ich wysiłki spełzły na niczym. Gdy popioły ostygły, zaczęli budowę trzeciej katapulty. Tym razem jednak całe miejsce otoczyli okopem, palisadą i linią "zasieków" wykonanych z zaostrzonych i wbitych w ziemię gałęzi. Wokół maszyny rozstawili również wielu żołnierzy na posterunkach.

\*\*\*

Jeśli nikt nie mógł się wydostać z Ir, to tym bardziej nikt nie powinien się dostać do środka. Jednak któregoś poranka walenie w małe drzwi portalu zaalarmowało strażników. Wyglądając zza muru ujrzeli krępa, owłosioną i nagą postać, nie wyglądającą w żadnej mierze na Paaluańczyka. Wpuścili ją do środka i przyprowadzili przed syndykata. Byłem w domu Roski, przygotowując się do wyjścia na mą codzienną służbę przy katapultach, gdy przybył po mnie posłaniec.

Kiedy wszedłem do Sali Gildii, chrapliwy głos wykrzyknął "Zdim!" i znalazłem się w objęciach mego starego przyjaciela, małpoczłeka Ungaha z trupy Bagarda.

- Na wszystkich bogów Ning, co tutaj robisz? - zapytałem.

- Właśnie mówiłem tym ludziom. Kiedy trafiliśmy na aukcję, kupił mnie gospodarz o imieniu Olvis. Orałem dla niego, gdy nadeszła wieść o inwazji. Pan Olvis załadował się z rodziną na wóz i pojechał do Metouro. - Przerwał na chwilę. - Powiedział, żebym sobie sam radził, bo nie ma dla mnie miejsca. Poszedłem tą samą drogą. Nadciągnęły oddziały paaluańskich zwiadowców na skoczkach. Uciekałem za wolno i złapali mnie tymi latającymi kulami. Zarzucili na mnie siatkę. Ciągnęli po kamieniach i błocie do obozu. Dawno by już mnie zasolili, gdyby nie starcy. Nigdy nie widzieli takiej osoby jak ja. Postanowili mnie trzymać żywego, by się dowiedzieć, co potrafimy.

- Jak się uwolniłeś?

Ungah odsłonił swoje wielkie, żółte zębiska.

- Przegryzłem więzy. Ci bez włosów, nie ty, Zdim, ci inni, mają słabe szczęki i zęby. Udusiłem wartownika na zewnątrz namiotu i uciekłem. Nie było trudne. Byłem wychowany na łowcę. Ale popełniłem błąd. Zrobiłem koło. Znalazłem się z powrotem wśród oblegających. Cały obóz był poruszony. Bałem się uciekać. Mówiłem tutaj szefowi, dlaczego wasi szpiedzy zawsze byli złapani.

- Dlaczego?

- Zapach. Paaluanie mają smokojaszczury uczone iść tropem. Niezbyt duże, straż obchodzi obóz z nimi na smyczy. Węszą długimi językami. - Na twarzy Ungaha pojawił się dziwny grymas,

a jego głęboko osadzone oczy otworzyły się szeroko. - Na złote wąsy Zevatasa, przyszło mi coś do głowy. Pamiętasz, jak smokojaszczur z naszej menażerii cię lubił? Myślę, że masz zapach jak gady.

- Och, daj spokój! - zaprotestowałem. - Nie widzę powodu. Bardzo dbam o czystość...

- Niemniej mogę cię wyczuć na kilka kroków. Novarianie nie mają węchu. Albo są zbyt uprzejmi, by ci powiedzieć, że cuchniesz. Ale to prawda.

- Również wszyscy Pierwszoplanowcy mają dziwny zapach - stwierdziłem - lecz nigdy nie narzekałem.

- Nie obraziłem się - odpowiedział Ungah. - Po prostu stwierdzenie, perfumy jednego mogą być smrodem dla innego. Twój zapach jest jak zapach jaszczura.

- No i co z tego? Nie jestem w stanie oczarować wszystkich smoków armii paaluńskiej.

- Oczywiście. Ale możesz się prześlizgnąć przez obóz i dalej. Jeśli jaszczur cię zwęszy, pomyśli, że jesteś również jaszczurem.

Syndykat rozważał propozycję przez parę godzin. Ci Pierwszoplanowcy są największymi gadułami ze wszystkich światów. Niektórzy poparli propozycję Ungaha, lecz jeden się sprzeciwił.

- Nie, demon nie będzie względem nas lojalny. Ucieknie, gdy tylko wydobędzie się na tyły oblegających. Ja bym tak postąpił.

- A nawet - dorzucił inny - może przejść na stronę nieprzyjaciela.

- Mówcie za siebie - przerwał Jimmon. - Co do jego lojalności, to bardzo szybko zapomnieliście noc wycieczki na katapultę, kiedy to Zdim rozgniół więcej ludożerców niż pozostali z naszego oddziału razem wzięci.

- Nie kwestionując zalet Zdima - wtrącił się inny - sądzę, że pan Ungah byłby lepszym posłańcem, był przecież w młodości myśliwym. Poza tym już raz przeszedł przez obóz i zna go lepiej niż ktokolwiek inny w Ir.

- Powinniśmy zadbać o to, by jego czas był wart informacji, którą miałby zanieść - powiedział jeszcze inny.

- W żadnym wypadku - dorzucił któryś - nie możemy się ociągać z głosowaniem "za". Żywność i woda nie wystarczą na tak długo, jak mieliśmy nadzieję. Liczba ludzi chroniących się w mieście wywarła nieoczekiwany wpływ na zapasy...

Wreszcie uchwalili, że poproszą jednocześnie: madame Roskę o rozkazanie mi, bym udał się z tą misją do Solymbrii, a Ungaha o wyprawienie się w tym samym czasie do Metouro. Obiecali mu nie tylko wolność, lecz również wysokie wynagrodzenie, jeśli on i oni przeżyją.

- Dżentelmeni, zawsze staram się spełnić pokładane we mnie nadzieje - rzekłem. - Kiedy mamy wyruszyć? Dziś w nocy? Wcześniej zaczniesz, prędzej skończysz, jak my, demony, powiadamy.



- Jeszcze nie teraz - oświadczył Jimmon. - Musimy zdecydować, ile możemy ofiarować Novarianom i barbarzyńcom za ich pomoc. Ilu nieprzyjaciół nas otacza?

- Ich liczbę oceniam na siedem tysięcy - powiedział Laroldo.

- Czyli musimy prosić o pomoc co najmniej równej siły - zauważył któryś z syndyków.

I rozpoczął się kolejny spór, który trwał godzinami, dotykając takich zagadnień, jak liczba żądanych oddziałów, wysokość dniówki dla najemników i prawdopodobny czas trwania kampanii. Niektórzy syndykowie ciągle próbowali okroić proponowaną zapłatę, uzasadniając to koniecznością myślenia o pomyślności Ir, gdy najeźdźcy zostaną odparci, inni chcieli ją podnieść, wychodząc z założenia, że pieniądze nie zdadzą się na wiele, gdy pomoc nie przybędzie.

Wreszcie osiągnięto kompromis. Miałem zaoferować jedną markę iriańską jako dniówkę jednego człowieka, plus sześciopensówkę za dniówkę mamuta. Cała kwota nie mogła jednak przekroczyć ćwierci miliona marek.

## VI - Aithor z Puszczy

Noc była ciemna jak odwrotna strona kamienia, jak mawiamy w Ning, gdy opuszczałem się z Ungahem po linie z umocnień Wieży Ardymana w mżącym kapuśniaczkach. Segovian nie chciał zaryzykować otwarcia nawet małej furty na górze, gdyż nieprzyjaciół zwracał uwagę na najszabszy dźwięk czy ruch. By uczynić się jak najmniej widocznym, zmieniłem swój kolor z szarego na zupełnie czarny.

U podnóża wieży Ungah mocno ścisnął moje ramię na pożegnanie i rozpląnął się w ciemnościach nocy, podążając na południe. Ja z kolei przekradłem się wokół wieży i dotarłem do fosy po północnej stronie. Zeskoczyłem do niej, by następnie jednym susem wydostać się na drugi brzeg. Taki skok nie jest niczym nadzwyczajnym dla mieszkańców Dwunastego Planu.

Zamarłem z uchem przywartym do palisady, dopóki nie usłyszałem odgłosu ciężkich kroków paaluańskiego strażnika. Odczekawszy chwilę, aż umilkły, wbiłem szpony w drewno i zacząłem się wspinać w górę, poruszając się wolno jak niemrawy owad.

Wewnątrz panował spokój. Patrol zniknął. Znajdowałem sobie drogę między wewnętrznymi i zewnętrznymi umocnieniami, przemykając wśród stert jakiegoś sprzętu. Umocnienie zewnętrzne stanowił wał usypany do wysokości ramion, przed nim zaś znajdował się rów, który powstał przy kopaniu ziemi do zrobienia tegoż wału.

Po drodze niemal się potknąłem o paaluańskiego wartownika, śpiącego na jednej ze stert. Zobaczyłbym go dostatecznie wcześniej, gdyż świetnie widzę w ciemnościach, lecz wpadłem na niego, gdy musiałem skręcić na jakimś rogu.

Mogłem go zabić uderzeniem maczugi, lecz do jego ręki był przywiązany na lince jeden z tych małych smokojaszczurów, których używano do tropienia nieprzyjaciół. W momencie gdy opanowałem się, gad podniósł się na równe nogi i strzelił do przodu długim, rozdwojonym językiem.

Zamarłem w bezruchu jak posąg, przybrawszy jednocześnie najczarniejszy z czarnych kolorów. Jaszczur zrobił krok w moim kierunku i czubkiem języka liznął mi nogę. Powtórzył to kilka razy, jakby mnie polubił, a przynajmniej mój zapach.

Nie mogłem jednak stać tak do świtu, zamieniwszy się w obiekt do lizania dla tkliwego smoka. Czując, że zwierzę nie ma ochoty przestać, zacząłem się wycofywać, lecz smok postanowił pójść za mną. Jego smycz pociągnęła śpiącego strażnika za przegub i obudziła go. Wbił we mnie wzrok i zerwał się na równe nogi wydając dziki wrzask.

Zawahałem się rozważając, co powinienem zrobić: przyskoczyć do niego i zabić czy uciekać. Na swym planie byłem uczony rozumnego myślenia i logiki, lecz mały z nich pożytek, gdy trzeba decydować błyskawicznie.

Inny krzyk, który rozległ się w odpowiedzi, pomógł mi jednak podjąć decyzję. Skoro wróg już jest zaalarmowany, nic dobrego by mi nie dało opóźnienie spowodowane zabiciem strażnika. Wręcz przeciwnie, mogłoby to się skończyć dla mnie fatalnie.

Przeskoczyłem więc nad umocnieniem, następnie przez rów i pomknąłem na północ. Obóz obudził się pośród wrzawy, jaką można usłyszeć w gniazdach niektórych obdarzonych żądłami owadów Pierwszego Planu, gdy się do nich wtargnie. Kilku paaluańskich jeźdźców dosiadło rumaków trzymając w rękach pochodnie. Chwiejny chód zwierząt sprawiał, że zostawiały za sobą w ciemności ogniste smugi, podobne do mostowych przesł.

Zarówno Pierwszoplanowcy, jak i ich rumaki, są na wpół ślepi w nocy, więc dzięki swym "kocim" oczom bez trudności unikałem prób otoczenia mnie. A jak my, demony, mówimy, dobry początek jest połową sukcesu.

Okolice rolnicze na północ od Ir były niemal całkowicie wyludnione. Ci, którzy nie znaleźli schronienia w Ir, uciekli do Metouro lub Solymbrii. Nieliczni, którzy nie ewakuowali się we właściwym czasie, zostali schwytani i zasoleni w celu późniejszego spożycia.

Biegłem przez całą noc i większą część następnego dnia. W torbie miałem małą mapę, pokazującą główne drogi między Ir a górami Ellorny. Starłem się jednak unikać powszechnie używanych szlaków i trzymałem kurs wprost na północ, jeśli było to tylko możliwe. Uważałem, że

prawdopodobieństwo spotkania zwiadowców paaluańskich jest znacznie większe na bitych traktach niż bezdrożach.

Moja decyzja spowodowała, że musiałem wdrapywać się na skaliste wzgórza, brnąć przez bagna i przedzierać się przez zarośla. Myślę, że pochłonęło mi to cały czas, który zaoszczędziłem, poruszając się w prostej linii na północ. Z drugiej strony - nie spotkałem ani jednego Paaluańczyka.

Trudności te opóźniły jednak mą podróż znacznie mniej, niż gdybym był słabym Pierwszoplanowcem. Nie są oni w stanie pobiec pod górę na odległość większą niż kilka strzałów z łuku, po czym muszą stanąć i złapać oddech ciężko dysząc. Jednak i my, demony, choć jesteśmy znacznie mocniejsze od Pierwszoplanowców, nie możemy tak biec bez końca. Od czasu do czasu musimy się zatrzymać, by zjeść coś pożywne i zapaść w drzemkę pozwalającą spokojnie strawić posiłek.

Pod koniec drugiego dnia spotkałem zabłąkaną owcę, której udało się uniknąć paaluańskich zaopatrzeniowców. Złapałem ją i spędziłem z nią większość nocy, posilając się. Gdy skończyłem, z owcy pozostało niewiele poza skórą i kośćmi. Obawiam się, że mój czyn złamał nakaz Hwora dotyczący przestrzegania praw Pierwszego Planu, lecz, jak powiadają, w potrzebie nie ma zakazów.

Następnie zapadłem w drzemkę. Musiałem przespać cały dzień i noc, gdyż obudziwszy się stwierdziłem, że słońce jest niżej na wschodzie, niż gdy szedłem spać.

Nie chcąc się już bardziej opóźniać, a jednocześnie czując ociężałość wywołaną najedzeniem się, pomyślałem o innym środku transportu. Gdybym na przykład mógł pojechać na koniu, dotarłbym do Solymbrii jednym długim skokiem, zatrzymując się jedynie na krótkie popasy, by mój rumak mógł coś zjeść i trochę odpocząć. Według mapy powinienem wkrótce przekroczyć granicę z Solymbrią.

Rozglądałem się więc po górach i dolinach, wypatrując konia. W końcu dojrzałem jakiegoś, zagubionego jak owca, gdy skubał trawę w dolince. Miał na sobie uzdę, lecz nie dostrzegłem siodła.

Widziałem Pierwszoplanowców jeżdżących na koniach, miałem więc ogólne pojęcie, jak się to robi. Nie miałem jednak żadnej praktyki w jeździectwie. Zwierzęta używane na Dwunastym Planie do przewożenia ciężarów są bardziej podobne do zółwi, jak je nazywają Pierwszoplanowcy. Poruszają się wolno, a do powodowania nimi wystarczają bardzo ograniczone umiejętności. Koń z Pierwszego Planu jest zupełnie inny. Lecz jak to się mówi, nie wiesz, co możesz, dopóki nie spróbujesz.

Podążyłem w kierunku konia wolno i spokojnie, by nie wzbudzić w nim niepokoju. Zmieniłem też kolor, by nie różnić się od trawy. On jednak dostrzegł, że się zbliżam. Rzucił na mnie czujne spojrzenie i uciekł klusem.

Całymi godzinami wędrowałem za przekłętą bestią nie mogąc się do niej zbliżyć. Wpadłem jednak na pomysł, żeby nie marnować zupełnie czasu i pędzić ją na północ, w kierunku celu podróży.

Kiedy słońce znalazło się nisko na zachodzie, koń zaczął przejawiać oznaki zmęczenia. Coraz później podrywał się do ucieczki, gdy zbliżałem się do niego. I wreszcie, podchodząc go pod wiatr, by nie mógł pochwycić mego tak nietypowego zapachu, znalazłem się dostatecznie blisko. Gdy spuścił głowę, by skubnąć trawę, gwałtownie skoczyłem mu na grzbiet. Zgodnie ze zwyczajem Pierwszoplanowców objąłem nogami jego brzuch i kurczowo złapałem za cugle.

W momencie gdy opadłem na konia, zwierzę się wściekło. Opuściło głowę i zaczęło wykonywać niewysokie podskoki na sztywnych nogach, zataczając krąg i przechylając się to na prawo, to na lewo. Już przy trzecim podskoku mój chwyt osłabł. Wyleciałem w powietrze i wylądowałem w jakimś krzaku z impetem, który normalnego Pierwszoplanowca zabiłby chyba na miejscu.

Koń zaś, uwolniony od jeźdźcy, pogalopował w dal. Wygramoliłem się więc szybko z krzaka i pobiegłem za nim. Gdy słońce było już całkiem nisko, udało mi się jeszcze raz zbliżyć do zwierzęcia, które ciężko robiąc bokami stało z opuszczoną głową.

Skradałem się wyjątkowo ostrożnie, by dostać się w jego pobliże. Chciałem spróbować jeszcze jednego skoku i wreszcie udało mi się. Jednak teraz nie tylko przywarłem nogami do jego ciała, lecz obiema rękami objąłem go za szyję. Koń ponownie rozpoczął taniec podskoków, lecz tym razem powiodło mi się znacznie lepiej. To znaczy udało mi się utrzymać chwyt nogami aż do piątego skoku. Choć moja dolna połowa była swobodna, rękoma ciągle trzymałem się szyi konia. W rezultacie, gdy wzbiłem się w powietrze, wykręciłem mu bardzo silnie szyję. Koń stracił równowagę i upadł, lekko mnie przygniatając.

Ponownie przywarłem do karku zwierzęcia. Gdy zaczęło robić wysiłki, by złapać powietrze, uświadomiłem sobie, że mój chwyt dławi jego tchawicę. Wkrótce uspokoił się i mogłem złapać wodze.

Żebra ciągle mu się poruszały, wiedziałem więc, że go nie zadusiłem. Po chwili podniósł się na nogi i spróbował uciec, ciągnąc mnie przez kurz i trawę. Kilka razy paskudnie dostałem kopytami, ugryzł mnie również w ramię. Uderzyłem go wtedy tak mocno, że mnie puścił.

Walka trwała do momentu zapadnięcia ciemności, a obaj zawodnicy zbliżyli się do granic swych możliwości. Wreszcie koń przestał się opierać, a gdy poprowadziłem go za wodze, podążył

za mną. Przywiązałem go do niskiej, mocnej gałęzi rosnącego obok drzewa i położyłem się, by odsapnąć. Uważałem, że koń również potrzebuje odpoczynku. Poza tym nie chciałem jechać nocą, obawiając się, że w ciemności możemy spaść z jakiegoś urwiska bądź trafić na bagno.

\*\*\*

Następnego dnia zacząłem dostrzegać przejawy ludzkiego życia: pojedyncze zagrody z dymem unoszącym się z kominków i jedną czy dwie wioski. Jednak gdy wjechałem do takiej wioski, pierwszy wieśniak, który mnie ujrzał, wydał przeraźliwy okrzyk.

- Kanibale! Kanibale nadciągają! - wrzeszczał, biegnąc główną ulicą i machając rękoma jak ptak, który chce się poderwać do lotu. W okamgnieniu mieszkańcy wioski znaleźli się na nogach, rozpraszając się na wszystkie strony, piechotą bądź konno. Zawołałem za nimi:

- Stójcie! Wracajcie! Nie bójcie się! Jestem posłańcem syndyków!

Lecz oni oddalali się jeszcze szybciej. Straciwszy ich z oczu, pozwoliłem sobie wziąć trochę żywności ze sklepiku i pojechałem dalej.

Gdy droga doprowadziła mnie do granicy z Solymbrią, zobaczyłem posterunek celników, a na pobliskim wzgórzu wieżę obserwacyjną. Obie placówki były opuszczone. Miałem ze sobą listy uwierzytelniające od ambasadora. Dzięki nim powinienem przekroczyć granicę bez problemu. Powiedziano mi, że mam je przedstawić na posterunku, zanim przekroczę granicę i znajdę się na terytorium archonatu, lecz nie widziałem nikogo, komu mógłbym je pokazać.

Rozważenie całej sprawy zajęło mi trochę czasu. Czy powinienem zatrzymać się tutaj, oczekując powrotu nieobecnych strażników? Uznałem, że nie; Ir mogłoby upaść, gdy ja bym tu marudził. Doszedłem do wniosku, że strażnicy mogli uciec do stolicy, słysząc pogłoski o inwazji. Podążenie za nimi było najlepszym sposobem wypełnienia rozkazów. Pojechałem więc dalej, nie przejmując się tym, że nie wypełniam rozkazów w sposób dosłowny. W moim świecie rozkazów nie wydaje się tak niechlujnie.

\*\*\*

Droga do Solymbrii po przekroczeniu granicy prowadzi przez gęsty las, rosną w nim głównie bardzo wiekowe dęby. Las ten, zwany Zieloną Puszcza, jest jednym z niewielu rzeczywiście dzikich rejonów w Novarii, gdzie większość kraju zamieniono na farmy, pastwiska i miasta. Zieloną Puszcza zamieszkują jelenie, dziki, lamparty, wilki i niedźwiedzie.

Nie spotkałem żadnego z tych zwierząt. Zdarzyła mi się natomiast następująca przygoda. Jechałem sobie spokojnie i rozmyślałem nad tym, że my, demony, znacznie rozsądniej

organizujemy sprawy na Dwunastym Planie, gdy dwóch mężczyzn wychyło z gęstwiny leśnej po obu stronach drogi, kręcąc w powietrzu jakimiś linami zakończonymi wielkimi pętlami.

Człowiek z lewej strony rzucił pętlę w kierunku głowy mego konia. Ten, widząc zbliżającą się linę, przestraszony odskoczył w prawo. Nie byłem przygotowany na taki manewr, rozluźniłem uchwyt i znalazłem się w powietrzu. Upadając uderzyłem głową o jakiś kamień.

Nie wiem, jak długo leżałem bez przytomności. Wydawało mi się, że chwilę; lecz gdy próbowałem się podnieść, będąc ciągle jeszcze w oszołomieniu, dojrzałem, że z gęstwiny wypadło więcej mężczyzn, którzy schwytali mego konia. Stwierdziłem też, że mam skrepowane z tyłu ręce, a wokół moich ramion i szyi zaciskają się pętle.

Spróbowałem rozerwać pęta wiążące mi ręce, lecz napastnicy wykonali swą pracę aż nazbyt dobrze. Nie odzyskałem też jeszcze po uderzeniu pełni władzy nad zmysłami, więc uznałem, że należy zrezygnować z próby ucieczki, dopóki nie poznam lepiej tych ludzi i nie dowiem się, o co i chodzi. Poza tym dwóch z nich przez cały czas trzymało wycelowane we mnie łuki. Wszyscy byli uzbrojeni i mieli na sobie bardzo proste ubrania.

- No, na żelazny kij Heryxa! Cóż tu złapaliśmy? - usłyszałem jakiś głos. Jego właściciel, wielki mężczyzna o kręconych, kasztanowych włosach i siwiejącej brodzie mówił w nie znanym mi dialekcie novariańskiego języka.

- Paaluański kanibal! - odezwał się któryś z mężczyzn. - Zabij go!

- Panowie, mylicie się - zacząłem. - Nie jestem Paaluańczykiem, lecz zwykłym demonem w służbie Syndykatu iriańskiego.

- Ale wykombinował! - skomentował ten sam człowiek. - Coś takiego mógłby wymyślić jeden z tych śmierdzieli. Na wszelki wypadek sprzątnijmy go. Jeśli jest Paaluańczykiem, zasłużył na to, jeśli jest rzeczywiście demonem, niewielka strata.

- Myślę, że łysy mówi prawdę - zauważył inny. - Mówi się, że Paaluańczycy są ludźmi, choć ich obyczaje nie są ludzkie.

- Nikko, zamknij się! - odezwał się pierwszy. - Zawsze się sprzeczasz...

- Na pewno się nie zamknę! - krzyknął Nikko. - Gdy słyszę bzdury, nazywam je po imieniu...

- Zamknijcie się obaj! - rozdarł się mężczyzna o krętych włosach. - Ty, Nikko, i ty, Karmelionie! Jeśli będziecie się znowu żarli, na cycki Astis, każę was wychłostać. Sądzę, że Nikko ma rację. Nigdy nie słyszałem, by Paaluańczycy mieli ogony i szpony. Pójdiesz z nami, demonie.

Zaczął szykować bandę do wejścia z powrotem do lasu.

- Załóżcie na niego jeszcze jedno lasso, może być silniejszy, niż myślimy.

- Bardziej prawdopodobne, że zniknie i uda się do swego świata, a potem wróci tu niewidzialny i wszystkich nas wymorduje - zamruczał Karmelion.

Poprowadzili mnie i konia niemal niewidoczną ścieżką przez las. W pewnej chwili przywódca odwrócił się do mnie i zapytał:

- A tak przy okazji, demonie...

- Nazywam się Zdim, jeśli byłby pan tak uprzejmy.

- Dobrze, Zdimie. Gdzie uczyłeś się jeździć konno?

- Sam się nauczyłem przez ostatnie dwa dni.

- Mogłem się tego domyślić, gdyż chyba nie widziałem gorszego jeźdźca. Obserwowałem cię przez pewien czas, zanim moi chłopcy cię złapali. Czy nie wiesz, że siedząc koniowi na nerkach mogłeś go zajeździć na śmierć?

- Nie, mój łaskawy panie; nie miałem niestety możliwości skorzystać wcześniej z pańskich rad.

- No cóż, to cud, że udało ci się dotrzeć aż tutaj, i to bez siodła. Wspomniałeś, że jedziesz z jakąś misją z Ir?

- Tak jest, panie - odparłem i opowiedziałem mu o oblężeniu. Dodałem:

- A czy teraz byłbyś łaskaw, powiedziec mi, kim jesteście i dlaczego mnie aresztowaliście? Mężczyzna się skrzywił.

- Możesz nas uważać za reformatorów społeczeństwa. Odbieramy bogatym i dajemy biednym. Jeśli zaś chodzi o mnie, to możesz zwać mnie Aithorem.

- Rozumiem, panie Aithorze - odparłem, domyśliwszy się, że wpadłem w ręce rozbójników.

- Zabieranie bogatym mogę zrozumieć, lecz jaki sens ma oddawanie biednym?

Aithor roześmiał się, aż zadudniło.

- Jeśli o to chodzi, to sprawa jest prosta. Jesteśmy najbiedniejsi spośród tych, których znamy, więc jest oczywiste, że sobie przyznaliśmy pierwsze miejsce przy rozdziale. Dopóki nie jesteśmy w stanie zaspokoić swoich podstawowych potrzeb, nie mamy żadnych nadwyżek, by wykazać się dobroczynnością wobec innych.

- Nie dziwi mnie to, gdyż widziałem już niejedno na Pierwszym Planie. A co macie zamiar zrobić ze mną?

- Jeszcze się nie zdecydowałem, mój poczciwy demonie. Gdyby Ir nie było oblężone, zażądałbym okupu.

- A gdyby syndykowie nie chcieli zapłacić?

Skrzywił się jeszcze raz.

- Mamy swoje sposoby, możesz mi wierzyć. Zaiste, już niedługo będziesz mógł się z nimi zapoznać.

Po godzinie przemykania się wśród odwiecznych dębów znaleźliśmy się w pobliżu obozu bandytów. Aithor zagwizdał w szczególny sposób, na co odpowiedziały mu posterunki ukryte na drzewach. Następnie weszliśmy między chaty i namioty tworzące nieregularny krąg wokół pustego placu. W obozie znajdowało się ze czterdziestu rozbójników, którym towarzyszyły kobiety i dzieciaki w łachmanach.

Przybyli ze mną bandyci zaczęli rozmawiać z przebywającymi w obozie. Większości tego, co mówili, nie mogłem zrozumieć ze względu na solymbriański dialekt. Przywiązano mnie mocno do drzewa, przy którym już tkwił inny człowiek. Był to tęgi mężczyzna w kosztownym, lecz podniszczonym ubraniu.

Odsunął się ode mnie, obawiając się pewnie mego wyglądu. Zwróciłem się więc do niego, mówiąc:

- Niech się pan mnie nie boi, dobry panie. Jestem, jak i ty, więźniem.

- Ty, ty umiesz mówić? - spytał mężczyzna.

- Przecież mnie pan słyszy, czyż nie? - Opowiedziałem mu krótko, kim jestem i jaki jest cel mej misji. - A z kim mam przyjemność rozmawiać?

- Jak na istotę, która nie jest człowiekiem, masz przynajmniej dobre maniery - stwierdził grubas. - Nazywam się Euryllus, jestem kupcem z Solymbrii. Porwali mnie z gospody w niezbyt odległej wiosce. Czy porywacze nie mówili czegoś na temat mego okupu?

- Nic takiego nie usłyszałem. A powinni?

- Wyprawili się na spotkanie z posłańcem, który miał przybyć z Solymbrii, lecz wygląda na to, że złapali w zamian ciebie. O, biada mi! Boję się nawet pomyśleć o swoim losie, jeśli nie dostali pieniędzy.

- Cóż takiego mogą ci zrobić? Jeśli cię zabiją, stracą jakąkolwiek szansę zdobycia łupu.

- Mają okropny zwyczaj wysyłania swej ofiary do domu kawałek po kawałku, by przypomnieć rodzinie i znajomym o ich obowiązkach.

- Na bogów Ning!

- Biada mi! - wykrzyknął Euryllus. - Idzie do nas Aithor.

Krętowny stanął przed nami, wsparłszy potężne pięści na biodrach.

- No cóż, mój panku - zwrócił się do Euryllusa - twój człowiek nie pojawił się, choć daliśmy mu dwie godziny luzu. Wiesz, co teraz będzie...

Euryllus padł na kolana, płacząc:



- O, błagam cię, dobry, łaskawy kapitanie! Daj mym krewnym jeszcze jeden dzień! Nie znęcaj się nade mną! Proszę... - Ciągnął tak w kółko, płacząc i skamłając.

Aithor dał znak swym ludziom, którzy brutalnie postawili Euryllusa na nogi, odwiązali od drzewa i powlekli przez placyk do pieńka. Tam ściągnęli mu but i skarpetę z prawej stopy, a następnie siłą postawili ją na pieńku. Wtedy bandyta odciął Euryllusowi duży palec maczetą. Euryllus zawył.

Wkrótce znalazł się znowu przy drzewie, z prawą stopą owiniętą pokrwawioną szmatą. Aithor zaś, nie zważając na jego żale, odezwał się:

- Twój palec prześlemy do domu. Jeśli nie dostaniemy żadnej odpowiedzi w ciągu tygodnia, kolejny kawałek zostanie wyekspediowany dla odświeżenia pamięci. Jeśli zaś zabraknie nam części, które można łatwo obciąć, to odeślemy twoją głowę, by pokazać, że chodziło nam rzeczywiście o interes.

A teraz pan, panie Zdim. Wygląda na to, że należysz do innej kategorii. Dziś wieczór zjesz kolację ze mną i opowiesz mi więcej o sobie i swojej misji.

\*\*\*

Kiedy nadeszła pora, odwiązano mnie i przywiązano do innego drzewa, blisko chaty zrobionej z witek i kory, a służącej Aithorowi za dom. Za mną stanął strażnik z łukiem. Usługiwały nam dwie kobiety. Zrozumiałem, że obie były żonami Aithora, choć większość Novariańczyków żyje w parach: jeden mężczyzna i jedna kobieta.

Aithor grał gościnnego gospodarza, podając mi dobre solymbriańskie piwo. Jednak witkami wyczuwałem emanacje, które świadczyły, że jego towarzyskość jest jedynie pozorem, maskującym gotującą się w nim wrogość i dzikie emocje. W owym czasie byłem już całkiem biegły w interpretowaniu promieniowania Pierwszoplanowców. Jak mówi powiedzenie, pozory mylą.

Nie miałem żadnego powodu, by go oszukiwać, więc swobodnie odpowiadałem na pytania. W pewnej chwili potrząsnął głową, mówiąc:

- Nie widzę, jak wyciągnąć jakąś korzyść z twego pobytu tutaj. Z powodu obłężenia nie mogę przesłać żadnej informacji do twych panów. Jeśli nie wypełnisz swej misji, Ir nie utrzyma się i nie zapłaci mi żadnego okupu; jeśli zaś uda ci się, znajdziesz się poza moim zasięgiem.

- Mogę ci obiecać, panie, że poproszę syndyków, by zapłacili okup, gdy wojna się skończy...

- Mój drogi demonie, czy ja rzeczywiście wyglądam na takiego durnia jak ci wszyscy wokół?

- No cóż, panie... A jak oceniasz moje szansę, jeśli puścisz mnie wolno? Wydaje się, że Solymbriańczycy biorą mnie za Paaluańczyka.

- W każdym kraju znajdziesz ignorantów. Nie wiem nic o barbarzyńcach za górami; lecz jeśli chodzi o Solymbrię, to twe niepowodzenie jest tak oczywiste, jak to, że woda płynie w dół doliny.

- Dlaczego?

- Bo podczas ostatnich wyborów bogowie sfalszowali kości i obdarzyli nas rządem bez ikry.

- Jak się taka elekcja odbywa?

Aithor czknął i klepnął się po opasłym brzuchu.

- Dowiedz się, demonie, że my, Solymbriańczycy, jesteśmy bardzo pobożnym narodem. Przed stuleciami święci ojcowie postanowili, że skoro bogowie rządzą wszystkim, to jedynym logicznym sposobem dokonywania wyboru władców jest ciągnięcie losów. Bogowie, rozumiesz, decydowaliby o wyniku, a kochając starożytne i święte miasto Solymbrię, powinni sprawić, że los wskaże najlepszych.

Tak więc każdego roku odbywa się wielki festiwal na cześć Zevatasa i jednej z naszych największych bogiń - Immur Litościwej. Punktem kulminacyjnym jest ciągnięcie losów. Imiona setki Solymbriańczyków wzięte w porządku alfabetycznym ze spisu ludności wypisuje się na kawałkach papieru i zamyka w skorupach orzechów. Skorupy te wkłada się do świętego worka i potrząsa nim. Następnie, na oczach wszystkich ludzi Arcykapłan bogini Immur wyciąga jeden orzech z worka. Ten, którego imię znajduje się w środku, staje się na kolejny rok Archontem. Osoba, której imię wyciągnięto jako drugie, będzie pełniła funkcję Pierwszego Sekretarza; trzecia zostanie Cenzorem i tak dalej, aż wszystkie wysokie urzędy państwowe zostaną obsadzone.

Nie chciałbym być posądzony o bezbożność - dodał Aithor z grymasem uśmiechu - muszę jednak przyznać, że czasami bogowie dokonują bardzo dziwnych wyborów.

- Lecz - zauważyłem - wszystkim wiadomo, że wśród Pierwszoplanowców są mądry ludzie i głupcy...

- Spokojnie, panie Zdim, jeśli nie chcesz być winny świętokradztwa! Jedna z naszych świętych zasad mówi, że wszyscy ludzie zostali stworzeni jako równi, więc równie dobrze każdy z nich może się zajmować sprawami państwa. Wielki reformator, Psoanes Sprawiedliwy, oświadczył to wyraźnie, gdy likwidował system feudalny. Dowodził całkiem logicznie, że jeśli ktoś byłby w sposób przyrodzony zdolniejszy i mądrzejszy od innych, to byłoby to niesprawiedliwe w stosunku do głupich i bezmyślnych. Bogowie ponosiliby więc winę, że dopuścili do zaistnienia stanu niesprawiedliwości i nierówności wśród ludzi. Tego nie można jednak sobie wyobrazić, gdyż

wiadomo, że bogowie są wszytkowiedzący i wszechmiłosierni i życzą jak najlepiej rodzajowi ludzkiemu.

- Na Dwunastym Planie niektórzy z bogów są dość głupawi - wtrąciłem - lecz na tym świecie wszystko wygląda inaczej.

- Bez wątpienia, nie mam żadnych wątpiwości. Więc tym razem urząd Archonta przypadł Gavindosowi z Odrum, z zawodu zapaśnikowi. Sprawuje on rządy już niemal cały rok i skutki są widoczne. Czy spotkałeś jakieś straże na granicy?

- Nie, co mnie zaskoczyło. Powiedziano mi, że mam się ich tam spodziewać i okazać im pewne dokumenty, żeby można było ustalić mą tożsamość. A nawiasem mówiąc twoi ludzie zabrali mi je.

Na to Aithor stwierdził:

- Nikt im nie płacił miesiącami, więc po prostu opuścili posterunki, by nie cierpieć głodu. Reszta archonatu wygląda podobnie. Oczywiście taki stan rzeczy daje pewne korzyści moim ludziom i mnie, gdyż nie musimy się obawiać żołnierzy i policji, organizujących na nas zasadzki w lesie. Zastanawiamy się nawet nad zajęciem jakiegoś miasta w pobliżu i przejęciem w nim władzy. Lasy są dobre podczas lata, lecz zimą tęsknimy do ciepłego ogniska domowego i porządnego dachu, by uciec od deszczu i śniegu.

- I Solymbriańczycy nie protestują przeciwko tym warunkom? - zapytałem.

- Ależ oczywiście, jest trochę narzekania. Niektórzy uważają, że bogowie wybrali Gavindosa, by ukarać Solymbrię za grzechy ludu.

- Jakie grzechy?

Aithor wzruszył ramionami.

- Według mnie nikt tu nie grzeszył bardziej, niż ludzie grzeszą w innych miejscach. Ale tak się mówi i jest to jakieś wytłumaczenie. Inni twierdzą, że nawet jeżeli Gavindos i jego pomocnicy są głupcami, to uczciwość wymaga, by dać durniom szansę rządzenia, gdyż mądrzy wykorzystują ich bez żadnego umiaru i litości.

- Wydawało mi się, że powiedziałaś, iż Solymbriańczycy nie wierzą, by jacyś ludzie byli głupszy od innych?

- Nie, mój panie demonie, nie to powiedziałem. Psoanes nauczał, że wszyscy ludzie są stworzeni równymi, lecz indywidualne doświadczenie życiowe sprawia, że jedni stają się mądrzejsi od innych. Lekarstwem byłoby więc zapewnienie każdemu takiego samego traktowania. Nie udało się to jednak żadnemu z naszych przywódców. Rodzice przecież nie są identyczni i wywierają różny wpływ na swe potomstwo.

- Wydaje mi się, że jedynym rozwiązaniem byłoby więc wychowywanie całej młodzieży przez instytucje publiczne, czyż nie?

- Jeden z archontów spróbował tego przed wielu laty; plan ten jednak wzbudził tyle protestów, że następny archont odwołał go. Niezależnie od wszystkiego przypadkowe wpływy bezustannie zaburzały cały proces, wynosząc jednych, poniżając innych bez żadnego związku z ich umiejętnościami.

Aithor podrapał się, bez wątpienia dręczyły go pasożyty tego świata.

- Mam pewne wątpliwości co do tej oficjalnej teorii, gdyż mój brat i ja byliśmy wychowywani w ten sam sposób i przez tych samych rodziców, a jesteśmy tak różni jak ptak i ryba. On jest podrzędnym kapłanem Immur, bezbłędnym jak formuła matematyczna, podczas gdy ja... ja jestem Aithorem z Puszczy...

Gadatliwy przywódca chaotycznie opowiedział mi szereg anegdot ze swego życia, by zilustrować problemy, o które mu chodziło. Gdy nadarzyła się wreszcie okazja, żebym mógł zabrać głos, zauważyłem:

- Panie Aithorze, jeśli okaże się, że wasz rząd nie chce pomóc Ir, czyż nie ma pan tutaj paru dziesiątków krzepkich zuchów, których można by przekształcić we wspaniały oddział żołnierzy.

Aithor zaśmiał się rubasznie.

- Chcesz, byśmy się zaciągnęli na twoją kampanię?

- Tak jest, panie.

- O nie, nie! Nie chcemy żadnej roboty dla rządu, dziękuję bardzo! A poza tym gdybyśmy się oddali w ręce urzędasów, wykorzystaliby nas do odparcia oblężenia, a zaraz potem, gdybyśmy nie byli już im potrzebni, powiesiliby większość z nas. Wiem, że tak się zdarzało.

- Mówiłeś, panie, o podbiciu miasta i przejęciu w nim rządów.

- To coś innego. Gdybym był władcą miasta i ziem wokół niego, uznawanym przez innych władców, mógłbym myśleć inaczej. Ale tak nie jest.

- Jeśli Paaluńczycy podbiją Ir, następnym ich celem będzie Solymbria. Jej obecna słabość wręcz zaprasza do ataku, prawda?

- No i co z tego?

- Zajmą Zieloną Puszczę i przegonią cię.

- Nie sądzę. Znamy ją jak własną kieszeń. Oni zaś są ludźmi pustyni, jak słyszałem. Z dziecinną łatwością moglibyśmy ich wodzić za nos i schwytać w zasadzkę w naszych ostępach.

- Nie pomógłbyś ocalić reszty swego narodu przed wyginięciem? Wydaje mi się, że umiłowanie rodzinnego kraju jest jedną z niewielu emocji, które sprawiają, że Pierwszoplanowcy mogą przedłożyć dobro ogólne nad własne zyski.

- A dlaczego miałbym to zrobić? Połowa z nas zginęłaby w walce, a reszta, że ci przypomnę, zostałaby wkrótce potem wymordowana na podstawie różnych oskarżeń. Nie, dziękuję bardzo. Inni mogą narażać własną skórę dla ojczystego kraju, nawet jeśli ten im dołożył lub odtrącił od siebie, lecz nie Aithor z Puszczy.

- Lecz pomyśl! Jeśli Solymbria zostanie zniszczona, to co zostanie dla twojej bandy do zagrabienia?

Zachichotał.

- Ależ jesteś wspaniałym dyskutantem! Na różowe cycki Astis, panie Zdim, powinieneś być profesorem w Akademii Othomae. Dobra, coś ci powiem. Wśród naszych zasobów mamy skrzynię pełną wykwintnych szat, bardziej pasujących osobie ambasadora niż goła skóra pokryta łuską. Mały z nich pożytek tutaj, więc wyposażę cię właściwie dla twojej misji i odprowadzę jutro rano. Co ty na to?

- Zgadzą się, panie...

Przerwał mi okropny wrzask. Dwaj bandyci, ci sami Nikko i Karmelion, którzy kłócili się wcześniej, zbliżali się do siebie z nożami w rękach. Aithor skoczył na równe nogi z dzikim przekleństwem i pobiegł przez placyk. Zachowanie wodza zmieniło się diametralnie. Ryczał jak wściekły lew, a na jego skroniach można było dojrzeć w świetle ogniska nabrzmiałe żyły.

Pochwyił obu przeciwników, każdego jedną ręką. Nikka wrzucił w ognisko, Karmelionem uderzył o pień drzewa z taką siłą, że ten stracił przytomność. Gdy Nikko wydostał się z ognia, wytrzępując węgle i bijąc po tłącej się odzieży, Aithor powalił go na ziemię potężnym ciosem.

- Na żelazną pałkę Heryxa! - zagrzemiał. - Uprzedzałem was, dranie. Przywiązać ich do drzew!

Kiedy zostali przymocowani, Aithor złapał potężny bat. Wrzeszcząc i przeklinając, walił po gołych barkach obu mężczyzn, aż ich mięśnie zamieniły się w krwawe strzępy. Jeśli wywołał u któregoś z nich szczególnie głośny krzyk, odpowiadał mu potężnym śmiechem. Przestał dopiero wtedy, gdy obaj zemdleli, a jego mocarne ramię opadło ze zmęczenia.

Wrócił następnie do miejsca, w którym byłem spętany, i zażądał więcej piwa. Chciałem go zapytać:

- Panie, jeśli mi wolno...

Lecz Aithor wrzasnął:

- Zamknij się, człowieku-jaszczurko! Uważaj się za szczęściarza, że nie potraktuję cię w ten sam sposób. Wynos się do swego drzewa i nie wkurzaj mnie!

## VII - Archont Gavindos

Następnego ranka Aithor był znowu w towarzyskim nastroju. Zwrócił mi wszystkie rzeczy, poza pieniędzmi, i podarował oblamowany futrem płaszcz oraz odpowiedni welwetowy kapelusz. Kapelusz trzeba było przymocować paskiem, ponieważ moja czaszka nie pasuje do nakryć głowy Pierwszoplanowców. Gdy zostałem już ubrany, Aithor podprowadził mnie do osiodłanego konia i udzielił lekcji, jak należy się zajmować zwierzęciem.

- Ale to nie jest mój koń - zauważyłem.

- Zgadza się, to jest najstarsze zwierzę, jakie tu mamy. Jego stateczny krok będzie lepiej odpowiadał twoim zdolnościom jeździeckim. Twój poprzedni rumak jest zbyt dobry dla ciebie i nie pozwolę, byś go zmarnował niewłaściwym traktowaniem. Poza tym zapewniam ci komfort i bezpieczeństwo jazdy w siodle.

Obawiając się, że Aithor w nagłym przyływie ochoty do zabawy może mi obciąć ogon czy inny członek ciała, powstrzymałem się od dalszej dyskusji. Nie mogłem jednak wyhamować się całkiem i powiedziałem:

- Lecz, mój dobry panie, choć teraz umiem sobie poradzić z koniem, to jednak nie potrafię się dostać do Shvenu bez pieniędzy, muszę przecież kupować żywność i płacić za noclegi moje i zwierzęcia.

- To znaczy, że demony kupują rzeczy używając pieniędzy, tak jak ludzie?

- Na Pierwszym Planie muszę się zachować jak Pierwszoplanowcy. Jeśli wyślesz mnie bez środków do życia, moja wyprawa prędzej się zakończy, nim na dobre zacznie.

- Możesz prosić karczmarzy o kredyt na koszt syndykatu.

- Aithorze, sądząc po tym, jak Solymbriańczycy z krzykiem uciekają na mój widok, przewiduję dosyć kłopotów z samym dostaniem się do gospody. Czy będąc karczmarzem udzieliłbyś mi kredytu?

Aithor przygryzł brodę.

- Rozumiem, o co ci chodzi. No cóż, ukradniesz sobie jakąś owcę czy kurę i pożywisz się.

- Żeby chłopci skrzyknęli się przeciwko mnie i zaczęli na mnie polować? Kapitanie Aithor, przecież pan wie to lepiej ode mnie.

- Do diabła z tobą. Dam ci tyle, żebyś mógł się dostać do Shvenu, jeśli będziesz oszczędny. Dotrzesz tam w ciągu tygodnia, trzy marki dziennie powinny ci wystarczyć.

Odliczył dwadzieścia jeden marek i wrzucił je do mojej sakiewki.

- Jak sobie będziesz potem radził, gdy wjedziesz na step, to już twój problem. Nie mam zamiaru dłużej o tym gadać.

Moje witki mówiły mi, że Aithor był niemal gotów wybuchnąć z wściekłości, więc “nie gadałem” już więcej na ten temat. Paru bandytów odprowadziło mnie z powrotem do drogi i tam zostawiło.

Chód tego starego podjazdka był rzeczywiście bardzo spokojny. Wiele czasu zajęło mi zmuszenie zwierzaka za pomocą uciętej gałęzi do przejścia w kłus. Nigdy zaś nie udało mi się sprawić, by wykonał więcej niż trzy susy w galopie.

Do Solymbrii dotarłem wieczorem tego samego dnia. Wjechałem przez nie strzeżoną bramę. Ulice były opustoszałe. Gdy zatrzymałem konia i schyliłem się, by zapytać przechodnia o drogę do jakiejś gospody, ten wpatrywał się we mnie przez chwilę, a następnie włożył w usta palce i zagwizdał.

Dwaj inni mężczyźni wybiegli z rozpadającego się budynku i we trzech zaatakowali mnie. Jeden próbował ściągnąć mnie za nogę z siodła, dwaj pozostali usiłowali dosięgnąć mnie nożami. Nie ociągając się złapałem zwisającą na rzemieniu u siodła maczugę i pojedynczymi uderzeniami rozwaliłem czaszki dwóm napastnikom. Trzeci mężczyzna zniknął w ciemnościach nocy.

Rozejrzałem się wokół, czy nie zobaczę jakiegoś policjanta, któremu mógłbym przedstawić sprawę dwóch zwłok, lecz nikogo nie dostrzegłem. Pozostawiłem je więc na drodze i pojechałem dalej, aż znalazłem gospodę, którą rozpoznałem po czaszce wołu nad drzwiami.

Drzwi były zamknięte i wiele czasu straciłem na dobijanie się do nich i pokrzykiwanie, zanim oberżysta uchylił je troszkę. Gdy rzucił okiem na mą twarz, wydał okrzyk przerażenia i próbował zamknąć drzwi, lecz zdążyłem zablokować je nogą.

- Jestem gościem z gotówką! - krzyknąłem. - Gościem! Poślę z Ir!

Powtarzając swą historię i kłócąc się na przemian, przekonałem wreszcie mężczyznę, by pozwolił mi wejść, choć ciągle stał podenerwowany i z maczugą skierowaną w mój kierunek, gdy pokazywałem mu dokumenty. Opowiedziałem gospodarzowi o przygodzie, która spotkała mnie przy wjeździe do miasta.

- Nic w tym dziwnego, jeśli jeździsz ulicami Solymbrii po zmierzchu! - stwierdził Rhuys, bo takie miał imię. - Miasto aż roi się od bandytów.

- Czy nie można by temu jakoś zaradzić?

- Prawdę mówiąc nie. Niektórzy policjanci, nie otrzymując pensji, sami wzięli się do rabowania. Inni pracują jako prywatni ochroniarze u niektórych z mieszkańców.

- Dziwny kraj i dziwne miasto - stwierdziłem. - Czy zawsze tak było?

- Nie! Jeszcze w zeszłym roku było to miłe, porządne miejsce. Lecz pod władzą tego głupka Gavindosa, niech go syfilis zeżre, wszystko szlag trafił. No cóż, musimy tak przeżyć jeszcze jeden miesiąc i nadejdą kolejne wybory. Może tym razem bogowie dadzą nam bardziej sensownego archonta.

\*\*\*

Pomimo mych protestów uzyskanie audiencji u archonta zajęło mi dwa dni. W tym czasie karczmarsz Rhuys, zrozumiawszy, że nie jestem takim potworem, na jakiego wyglądam, zaprzyjaźnił się ze mną. Byłem jego jedynym gościem, interesy szły wyjątkowo źle. Gdy w dzień po moim przybyciu wyprawiał się na zakupy, zachęcał mnie usilnie do pójścia ze sobą.

- Nikt nie będzie takim osłem, by napadać na mnie, gdy będę z tobą - wyjaśnił.

- A to kto? - Pokazałem na stadko kobiet idących ulicą w asyście krzepkich mężczyzn pod bronią.

- Kobiety w drodze na rynek - wyjaśnił. - Ci uzbrojeni mężczyźni byli uprzednio policjantami, a teraz są zatrudnieni przez sąsiadujących ze sobą mieszkańców jako strażnicy. Zorganizowano to tak, że wszystkie kobiety z sąsiedztwa chodzą wspólnie na rynek, a strażnicy idą z nimi, chroniąc je przed gwałtem czy rabunkiem.

- Ależ z was dziwne istoty - powiedziałem.

- Jak to? A wy żyjecie lepiej w kraju demonów?

- Na Dwunastym Planie demon, porządnie wychowany przez rodziców, zachowuje się uczciwie bez żadnego przymusu. Dlatego cała ta skomplikowana i represyjna machina praw i kar, która istnieje tutaj, u nas jest ledwo widoczna. Lecz wy, ludzkie istoty, jeśli tylko uwolnić was od zakazów, zamieniacie się w dzikie bestie, znieważając się i polując na siebie wzajemnie, jak... jak...

- Jak kraby w koszyku - poddał mi Rhuys.

- Dziękuję panu; nie mogłem sobie przypomnieć nazwy tych tchórzliwych istot wodnych.

- Nie jesteśmy jednak wyłącznie złodziejami i mordercami - powiedział. - W rzeczywistości większość z nas jest nastawiona pokojowo i lubi porządek, chcąc spokoju, by móc zarabiać na życie.

- Lecz dostatecznie wielu z was należy do innego rodzaju, jeśli wolno mi to zauważyć - stwierdziłem.

Rhuys westchnął.

- Obawiam się, że masz rację. Czy demonom nie zdarza się nigdy źle zachować?



- Oczywiście. Lecz jest to tak rzadkie, że łatwo je przywołać do porządku. Poza tym nasi czarownicy znają potężne zaklęcia, które zmuszają podejrzanego o popełnienie jakiegoś przestępstwa do mówienia prawdy. To bardzo upraszcza procedurę ustalenia winy oskarżonego.

Rhuys spojrzał na mnie przenikliwie.

- Czy Dwunasty Plan zezwala na imigrację?

- Wątpię, by problem ten kiedykolwiek zaistniał. Lecz gdy tam wrócę, spróbuję się dowiedzieć i dam ci znać, panie.

\*\*\*

Kiedy w końcu zostałem wprowadzony do pałacu, stwierdziłem, że Gavindos z Odrum jest niskim mężczyzną o bardzo długich, silnie umięśnionych rękach i ciele w kształcie beczułki. Przypominał mi mego przyjaciela Ungaha, człowieka-małpę.

- Siądnij se - powiedział. - To jak mówiłeś, że się nazywasz?

- Zdim, Wasza Ekscelencjo.

- Stim, Za-dim, o do diabła z tym. Będę do ciebie mówił: "Hej ty". Czego chcesz?

- Jestem posłańcem z Ir... - I wyjaśniłem okoliczności mej wizyty.

- Ir. Zastanówmy się. To jakiś pieprzony zagraniczny kraj, nieprawdaż? - Gdy mężczyzna mówił, moje witki łapały poczucie zakłopotania, jakie odczuwa dziecko, gdy tłumaczy mu się zbyt skomplikowane sprawy.

- Jest to republika sąsiadująca z wami od południa, panie.

- Zawsze mi się płaczą te wszystkie pieprzone zagraniczne miejsca. No, to co cię tu przygnało?

- Syndykowie miasta Ir usilnie proszą cię, panie byś wysłał zbrojne siły i przełamał oblężenie naszego miasta.

- Czego? Chcesz, żeby moja pieprzona armia wyruszyła i pobiła tych tam pajaców z... jak powiedziałeś, że się ci pieprzeni najeźdźcy nazywają?

- Paaluańczycy, panie. Przywędrowali przez Ocean Zachodni...

- Dobrze już, dobrze. Słyszałem cię już raz. Napij się jeszcze piwa. To po co mam wysłać pieprzoną armię do tego miejsca... Ir, czy jak mu tam?

- Tak jest, panie.

- I wysłać pieprzoną armię przez ocean, by walczyła z jakimiś pajacami w miejscu, o którym nigdy nie słyszałem... o czym to mówiłem?

Wy tłumaczyłem ponownie. Gavindos zmarszczył brwi. Wreszcie się odezwał:

- Zastanówmy się. Jeśli ludzie w Ir mają ogony i pazury, tak jak ty, to nie chcę znać nawet ich pieprzonego kawałka. Jeśli te inne pajace zabiją ich i zjedzą, to powiem baba z wozu.

- Ależ panie, jak usiłowałem ci wyjaśnić, Iriańczycy są takimi samymi ludźmi jak wy tutaj. Jestem jedynie zwykłym demonem zobowiązanym do służenia im.

- Jeśli są ludźmi, to dlaczego nie przysłali do mnie jakiegoś pieprzonego człowieka?

- Gdyż tylko ja byłem w stanie przedostać się przez linie Paaluańczyków.

Archont wypił potężny łyk piwa.

- No więc tak. Czy te pajace zza morza atakują Ir, czy Ir ich atakuje?

Raz jeszcze wytłumaczyłem wszystko.

- Dobra - powiedział Gavindos - nie widzę żadnego zysku, jeśli się w to wmieszam. Nie sądzę, byśmy mieli pieprzone pieniądze, by opłacić naszą pieprzoną armię, gdziekolwiek ona jest. Tym bardziej, żeby ją posyłać do zagranicznego kraju, o którym nigdy nie słyszałem.

- Wasza Ekscelencjo! Gdy Paaluańczycy pokonają Ir, wkroczą do Solymbrii.

- Czego? Myślisz, że mogą?

- Z pewnością!

- Którzy na nas mogą napaść? Ir czy... zapomniałem pieprzoną nazwę tych drugich?

Powtórzyłem całą historię. Archont zamyślił się głęboko, by w końcu zdecydować:

- Dobra, mogą sobie przychodzić. Wyzwę ich przywódcę do walki! Złamię mu pieprzony kark i będą musieli wrócić do domu, bo nie będą mieli generała, który nimi dowodzi. Napij się jeszcze piwa, zanim odejdziesz.

## VIII - Szaman Yurog

Północna część Solymbrii, tak jak południowa, też roiła się od rabusiów. Podejrzewam, że byli nimi niektórzy z groźnie wyglądających mężczyzn, których spotkałem na drodze bądź widziałem w gospodach. Przyglądali mi się twardym wzrokiem, lecz nikt mnie nie zaczepił. Sądzę, że to mój wygląd odwoził ich od wszelkich niegodziwych planów, które mogły im przyjść do głowy.

Drugiego dnia po opuszczeniu miasta Solymbrii dotarłem do podnóża gór Ellorny. Jedząc zupełnie pokazałem karczmarzowi Hadrubarowi mapę i zapytałem o drogę przez góry.

- To nie takie proste - odpowiedział. - Ucho Igielne - tu wskazał na mapie miejsce, w którym było przejście przez łańcuch górski - w zimie jest zamknięte ze względu na śnieg. Teraz mamy środek lata, więc powinno być otwarte już od dwóch miesięcy, a może nawet i dłużej. Jednak nie dotarł do nas żaden podróżnik z krainy Hruntingów.

- A co z ludźmi, którzy wędrowali w drugą stronę?

- Byli tacy, lecz nikt jeszcze nie wrócił. Niektórzy twierdzą, że Zaperazi zamknęli przejście.

- Kto zamknął przejście?

- Zaperazi, no wiesz, plemię jaskiniowców, które zamieszkuje w pobliżu przejścia. Kiedyś przeprowadzano przeciwko nim co roku regularne kampanie wojenne, by otworzyć przejście siłą. Wreszcie rząd podpisał z nimi umowę, lecz z takimi jak oni nie można być pewnym niczego.

- Jak wyglądają?

- Chcesz zobaczyć? Chodź ze mną.

Zaprowadził mnie do kuchni. Tam gburowato wyglądający młodzik o brązowych włosach z wąską, żelazną obrożą niewolnika na szyi zmywał naczynia.

- To jest Glob, mój zaperazyjski niewolnik - powiedział Hadrubar. - Paskudnej natury łądak, więcej mam kłopotu z przyuczeniem go do pracy i utrzymaniem w dyscyplinie, niż jest wart.

- Czy jest powszechnie przyjęte trzymanie jaskiniowców jako niewolników?

- Nie, od czasu umowy.

- Lecz umowa, jak widzę, nie przywróciła panu Globowi wolności.

- Oczywiście! Zgłoszono tę głupią propozycję, gdy dyskutowano warunki umowy, lecz spowodowała takie poruszenie wśród Solymbriańczyków, którzy zapłacili ciężkie pieniądze za niewolników, że archont odrzucił ją. Poza wszystkim innym tak niesprawiedliwe pozbawienie nas własności byłoby tyranją, której żaden człowiek by nie ścierpiął.

Prowadząc mnie z powrotem do ogólnej sali, Hadrubar dodał ściszym głosem, by Glob nie mógł go usłyszeć:

- Za władzy poprzednich archontów granica była tak dobrze kontrolowana, że uciekinierzy mieli małe szanse prześlizgnięcia się przez nią, lecz teraz...

- Jak mówimy w naszym świecie - stwierdziłem - słaba fala nikomu nie umyje stóp.

Hadrubar spojrział na mnie cierpko.

- Nie marnuj swej sympatii na tych brutalni, którzy nie szanują najlepszych rzeczy w cywilizacji, nawet gdy się ich do niej zmusza.

- To nie jest mój świat, panie Hadrubarze, i nie jest moim problemem, jak się wzajemnie traktujecie. Często jednak zadziwia mnie wielka różnica między głoszonymi przez was zasadami, a tym co robicie. Na przykład gardzicie prymitywnym ludem Globa, a wydawało mi się, iż Solymbriańczycy wierzą, że wszyscy ludzie są stworzeni jako równi sobie?

- Źle to rozumiesz, panie demonie. To fakt oczywisty, wynikający z boskiego objawienia, że Immur stworzyła wszystkich Solymbriańczyków równymi. Kto stworzył inne ludy świata i jak, tego nie wiem. Zaperazi mają swojego boga, zwanego Rostroi. Wygląda na to, że Rostroi stworzył Zaperazich, a jeśli tak, to spartaczył robotę.

Powstrzymałem się od ciągnięcia sporu dalej, uznawszy, że wszelkie wypowiedzi na temat Zaperazich będą nielogiczne, dopóki nie poznam osobiście choćby jednego z nich.

\*\*\*

Novaria ma wspaniałe drogi łączące stolice jedenastu głównych miast-państw. (Dwunaste, Zolon, jest wyspą na Oceanie Zachodnim, poza wybrzeżem Solymbrii.) Północna droga z miasta Solymbrii była jednak w nie najlepszym stanie. Gdy zaś przekroczyła granicę metropolii, gdzie minąłem jeszcze jeden opuszczony posterunek celników, skurczyła się do zwykłego traktu, odpowiedniego jedynie dla zwierząt jucznych, lecz niedostępnego dla pojazdów kołowych. Na bardziej stromych stokach potoki wymyły ziemię do litej skały. Moje nieszczęsne, stare konisko tak często ślizgało się i potykało na kamieniach, że musiałem z niego zsiąść i prowadzić go, gramoląc się z jednej półki na drugą.

Pod koniec pierwszego dnia od opuszczenia gospody Hadrubara miałem daleko za sobą granicę, a przed sobą góry. Przez kolejne trzy dni piąłem się wzwyż, zbliżając się powoli do pokrytych śniegiem szczytów. W dolinkach rosły gęste zagajniki drzew pokrytych tak ciemnozielonymi igłami, że wyglądały na niemal czarne. Gdy wdrapałem się jeszcze wyżej, lasy skurczyły się do pojedynczych drzew.

Nie widziałem żadnych podróźnych, tak jak to przewidywał Hadrubar. Ciszę zakłócały jedynie westchnienia wiatru, szmer potoku i echo stukotu kopyt mego konia. W oddali widziałem stada dzikich kóz i owiec, a raz niedźwiedź na odległym stoku wystraszył konia.

Nasilający się chłód czynił mnie powolnym i drętym. Płaszcz od Aithora nie chronił za bardzo, gdyż my, demony, nie dysponujemy źródłem wewnętrznego ciepła, tak jak wyższe zwierzęta Pierwszego Planu. Z tego powodu nasze ciała schładzają się do temperatury powietrza, a nasza aktywność proporcjonalnie maleje. Przez pierwsze dwie noce mogłem się rozmrozić przy ognisku na tyle, że byłem zdolny jakoś działać przez cały dzień. Potem jednak stwierdziłem, że muszę się zatrzymywać również w południe, by rozpałić ognisko i dodatkowo się ogrzać.

Na piąty dzień od opuszczenia gospody dotarłem do przełęczy zwanej Uchem Igielnym. Szlak wił się do góry i na dół wokół straszliwych przepaści. Leżący śnieg tworzył oddzielne nasypy i małe półka. Olbrzymie, pokryte śniegiem szczyty wznosiły się po obu stronach.

W południe, według wskazań zegara słonecznego, zatrzymałem się, by rozpałić ognisko. Koniowi dałem małą torbę zboża, które trzymałem na wypadek podobnej sytuacji, gdyż na tej wysokości było zbyt mało roślin, by mógł się pożywić.

Znalezienie czegoś na ognisko okazało się bardzo uciążliwe, gdyż nie było tu niczego, co można by spalić, poza rosnącymi gdzieniegdzie krzakami. Co gorsza, wskutek chłodu i rozrzedzenia powietrza stałem się bardzo niemrawy. Po godzinie wyjątkowych wysiłków zebrałem jednak dość paliwa. Poruszając się tak wolno jak ślimak (jeden ze szkodników ogrodowych na Pierwszym Planie), rozpałiłem wreszcie ogień.

Nie zapłonął jeszcze na dobre, gdy przydarzyła się dziwna rzecz. Moje witki poczuły magię. Następnie spadło na mnie z dzikim hukiem uderzenie lodowatozimnego powietrza. Wydawało mi się, że przyszło ono od przodu. Na moment przygniotło do ziemi mój mały ogienek, który następnie gwałtownie rozjarzył się i równie szybko zagaśł.

Poderwałem się na nogi, chcąc podrzucić więcej paliwa do ogniska. Zanim jednak zdążyłem się wyprostować, chłód tak spowolnił moje ruchy, że zeszywniałem jak posąg. Nie mogłem utrzymać równowagi i wywróciłem się na ziemię, na szczęście nie w zamierający ogień. Zastygłem dokładnie w pozycji, którą miałem w momencie utraty zdolności poruszania się.

Koń zastrzygł uszami, zarżał i zaczął się oddalać, powłóczę nogami. Wtedy usłyszałem trzask cięciw i świst strzał. Kilka z nich utkwilo w jego boku. Zwierzę jęknęło, cofnęło się i upadło. Inne strzały, chybiwszy celu, zagrzecotały uderzając o skały. Jedna wylądowała niedaleko ode mnie, zobaczyłem, że jej grot wyglądał, jakby był zrobiony ze szkła.

Później przekonałem się, że się nie pomyliłem. Jaskiniowcy z Ellornas żyją na poziomie ery kamienia łupanego. Odkrywszy, że szkło można obrabiać równie łatwo jak krzemień, a jego

krawędzie są jeszcze bardziej ostre, zaczęli wymieniać z Solymbriańczykami futra na tłuczone szkło butelkowe i okienne. Wykorzystywano je następnie jako groty strzał czy do innych narzędzi i broni.

Zza głazów wyłonili się łucznicy, podążając w dół ścieżki. Część zaczęła oprawiać konia za pomocą krzemiennych i szklanych noży. Reszta zebrała się wokół mnie.

Zaperazi na pierwszy rzut oka wyglądali jak ludzie-niedźwiedzie, lecz gdy podeszli bliżej, przekonałem się, że wrażenie to wywoływały futra pokrywające ich od stóp do głowy. Należeli bez wątpienia do tego samego gatunku co Novarianie i inni humanoidalni Pierwszoplanowcy, nie byli zaś przedstawicielami innego gatunku, jak Ungah. Byli wyżsi i bardziej ciężcy niż typowi Novarianie. Z tego co mogłem dojrzeć przez kudły futer, zarost i brud, ich twarze nie wyglądały chorobliwie, choć to zdarza się u wielu Pierwszoplanowców. Ich włosy nie miały jednolitego koloru, oczy były brązowe bądź szare. Wydzielali ohydny zapach, lecz zamrożony na kość nie mogłem nic zrobić, by go uniknąć.

Rozprawiali o czymś w swoim języku, wyglądało na to, że są jeszcze większymi gadułami niż Novarianie. Nie zrozumiałem ani słowa z tych rozmów, lecz wydawało mi się, że mają dwóch przywódców; wysokiego mężczyznę w średnim wieku i starszego, zgarbionego, o siwej brodzie. Młodszy wydawał rozkazy współplemieńcom, lecz od czasu do czasu robił przerwy i naradzał się półgłosem ze starszym.

Odwrócili mnie i rozwiązali płaszcz, by mi się dokładnie przyjrzeć, wskazując często palcami jakieś fragmenty mego ciała i wydając długie potoki słów. Wreszcie czterech z nich złapało mnie za ręce i nogi i zaczęło nieść. Reszta podążyła za tragarzami, dźwigając bryły mięsa. Po koniu pozostało niewiele poza kośćmi.

Nie mogłem obejrzeć dobrze okolicy, po której szliśmy, gdyż leżałem na wznak, a nie byłem w stanie ruszyć ani głową, ani oczami. Mogłem się jedynie wpatrywać w niebo, mrużąc powieki, by uniknąć blasku słonecznego światła.

\*\*\*

Zaperazi mieszkali w wiosce skórzanych namiotów, skupionych wokół wejścia do olbrzymiej jaskini u podstawy urwiska. Przeniesiono mnie przez całą osadę, w której roiło się od kobiet i młodzieży. Znalazłem się w jaskini. Panującą w niej ciemność rozproszyły po chwili pochodnie i rozstawione na podłodze pod ścianami malutkie lampki kamienne. Były zrobione z płytkich naczyń opatrzonych z jednej strony uchwytem i wypełnionych stopionym tłuszczem, w którym pływał knot wykonany z pęczka mchu.

W głębi jaskini, w półcieniu, stał kamienny posąg dwa razy wyższy od człowieka. Wyglądało na to, że został wyrzeźbiony ze stalagmitu. Miał dziury w miejscach oczu i ust, jakiś guz zamiast nosa i męski narząd tak wielki, jak jego z gruba ciosane kończyny.

Zaperazi na chwilę zapomnieli o mnie. Ciągłe ktoś przychodził i wychodził, nieustannie o czymś rozprawiano.

Palące się u wejścia do jaskini ogniska, lampki i pochodnie, jak również ciepło ciał Zaperazich sprawiły, że temperatura w niej była znacznie wyższa niż na zewnątrz. Zacząłem tajać. Wkrótce stwierdziłem, że mogę poruszać oczami, następnie głową, a wreszcie nawet palcami.

Gdy byłem zajęty rozważaniem, jak najlepiej wykorzystać świeżo odzyskaną możliwość poruszania się, siwowłosy starzec, którego widziałem już wcześniej, przeszedł przez kotłującą się masę i stanął nade mną, trzymając lampę i wpatrując się we mnie. Po chwili pochylił się, chwycił mnie za rękę i mocno szarpnął.

Powinienem był udać, że nadal jestem zeszywniały, lecz ruch ten zaskoczył mnie. Wyrwałem rękę z dłoni Zaperaziego, zdradzając, że odzyskałem normalną sprawność. Starzec krzyknął coś do współplemieńców, a ci pośpiesznie podbiegli do nas. Jedni zerwali ze mnie płaszcz i czapkę, które dostałem od Aithora, inni związali mi ręce i nogi rzemieniami z nie wyprawionej skóry. Ci, co zabrali mi odzież, zaczęli się zabawiać przymierzaniem jej. Wszyscy zanosili się od śmiechu na widok tak wystrojonych towarzyszy.

Starzec tymczasem postawił lampę na ziemi i usiadł obok mnie na skrzyżowanych nogach. Zadał mi jakieś pytanie w języku, którego nie znałem. Mogłem się jedynie wpatrywać w niego. Następnie spytał łamanym językiem novariańskim:

- Ty mówisz novariański?

- Tak jest, panie.

- Kto ty?

- Nazywam się Zdim. Z kim mam zaszczyt rozmawiać?

- Ja Yurog, szaman Zaperazich, wy nazywacie czarownik. Ale kto ty? Ty nie człowiek.

- Nie, panie, nie jestem człowiekiem. Jestem demonem z Dwunastego Planu, wysłanym ze specjalną misją przez syndykat z Ir. Czy wolno mi zapytać, o co wam chodzi?

Yurog zachichotał.

- Demony złe, niedobre. Ale ty masz dobrą manierę. Ofiarujemy cię Rostroi. - Skinął na bożka w głębi jaskini. - Rostroi da nam dużo owiec, dużo kozic do jedzenia.

Próbowałem mu wyjaśnić powody i pilność mej podróży, lecz on śmiał się jedynie z moich słów.

- Wszystkie demony kłamcy - powiedział. - Wszyscy wiedzą. My nie bać się twój czarny ludzie, nawet jeśli oni prawda.

Odezwałem się:

- Doktorze Yurog, czy mogę prosić o wyjaśnienie mi czegoś? Powiedziano mi, że umowa między waszym ludem a Solymbriańczykami gwarantowała podróżnikom bezpieczne przejście przez Ucho Igielne. Dlaczego więc schwytaście mnie?

- Umowa niedobra! Solymbriańczycy obiecali nam jeden wół co miesiąc, do jedzenia, my pozwalamy ludzi przechodzić. Gavindos, nowy szef Solymbriańczyków, nie ma wołu. On nie trzyma umowy, my nie trzymamy. Wszyscy z nizin kłamać.

- Czy schwytaście mnie za pomocą magicznego zaklęcia, które mnie zamroziło?

- Pewnie. Ja wielki czarownik. Ale nie wiedziałem, że zaklęcie zrobi z ciebie kamień, jak wąż lub jaszczurka z nizin. To było łatwe dla nas, cha, cha.

- Chwileczkę, daj mi coś powiedzieć. Wzięliście mego konia na pożywienie i skórę, macie więc z niego niemal tyle mięsa, co z przysłanego przez Solymbriańczyków wołu! Czy nie mógłbyś uznać, że koń jest godziwą zapłatą za pozwolenie przejechania przez wasze ziemie?

- Żadne umowy z tobą. Ty nieprzyjaciel. Wszyscy z nizin nieprzyjaciel, demony nieprzyjaciel. Dobrze ofiarować ich, gdy złapiemy ich. Ale powiem ci coś. Zaperazi lubi, gdy obdzieram ciebie ze skóry wolno, ale z powodu ty dobry demon z maniera i twój koń, ja tnę gardło ciach, ciach. Ty nie boli. Jestem dobry, nie?

- Faktycznie, choć byłoby lepiej, gdybyś mnie potraktował jak przyjaciela...

Nie udało mi się kontynuować tej interesującej dyskusji, gdyż pojawił się wysoki wódz i odezwał się do Yuroga. Ten odpowiedział i dodał w swym okropnym novariańskim języku:

- Wodzu, poznaj gość. Demon Zdim. Zdim, poznaj Vilsk, wódz Zaperazi. Mam dobra maniera też, nie?

Następnie obaj oddalili się. Przez kilka godzin nie miałem nic do roboty poza leżeniem w więzach i oglądaniem jaskiniowców przygotowujących się do wielkiego święta. Pierwszym punktem programu miała być ceremonia ku czci Rostroi, po niej zaś planowano ucztę z resztek mego konia, popijanych piwem, które warzyli i trzymali w skórzanych bukłakach.

\*\*\*

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy Zaperazi zgromadzili się w biegnących półkolami rzędach od strony wejścia do jaskini. Mężczyźni zasiadali z przodu, kobiety z dziećmi były z tyłu. Wiele kobiet karmiło niemowlęta za pomocą wystających gruczołów mlecznych, które są



charakterystyczne dla samiec wyższych zwierząt na Pierwszym Planie. Smród tłumu był nie do wytrzymania. Moje witki wyczuwały emocje związane z intensywnym wyczekiwaniem.

Jeden z członków szczepu usiadł z boku posągu Rostroi z bębniem; inny, z drewnianą rurką wyglądającą jak fujarka, zajął miejsce po drugiej stronie bóstwa. Vilsk zaczął przemówienie. Ciągnęło się ono bez końca. Mówiąc wymachiwał rękami, potrząsał pięściami, tupał, krzyczał, wył, warczał, szeptał, śmiał się, płakał, szlochał i okazywał całą gamę ludzkich emocji.

Ze względu na tłum nie mogłem wyczuć witkami, jak szczerzy był on w swym komedianctwie. Plemię słuchało przemowy z najwyższym ukontentowaniem. Można to zrozumieć, ponieważ jaskiniowcy cierpią na brak miejskich rozrywek.

Vilsk skończył wreszcie i muzycy zaczęły grać. Grupa tancerzy, mających na sobie jedynie przepaski, dziko wymalowanych i przystrojonych piórami, przystąpiła do działania, podskakując i tańcząc. Bez przerwy coś wykrzykiwali, przypuszczam, że chodziło o utrzymanie kroku i przypominanie o kolejnych figurach w tańcu. Wyglądało na to, że na jakiś czas zapomnieli o mnie. Ja zaś, odtajawszy całkowicie, postanowiłem sprawdzić więzy. Nie były one tak mocne jak te, które założyli mi ludzie Aithora. Zaperazi uważali widocznie, że nie jestem silniejszy od człowieka. Gdy oczy publiczności były wpatrzone w podskakujących, wirujących i przytupujących tancerzy, wyteżyłem siły i zerwałem więzy opasujące me przeguby. Odczekałem chwilę, by krążenie wróciło do palców, po czym schwyciłem rzemień krepujący nogi i również go przerwałem.

Następnie zacząłem się powoli czołgać w kierunku wejścia do jaskini. W przyćmionym świetle nikt nie dostrzegł, jak się prześlizgnąłem za plecy siedzących w półkolu Zaperazich.

Kiedy uznałem, że mogę sobie na to pozwolić, podniosłem się na kolana i zacząłem iść na czworakach. Dotarłem już niemal do wejścia, gdy zauważył mnie jakiś dzieciak i rozplakał się. Na ten dźwięk jedna z kobiet odwróciła się i wydała okrzyk.

Nie czekając, aż ktoś mnie złapie, zerwałem się na równe nogi i wybiegłem z jaskini. W niej zaś aż się zagotowało, gdy całe plemię rzuciło się w pościg za mną.

Pognałem przez wioskę namiotów. Przebiegając obok ogniska, przy którym spoczywała sterta mięsa z mojego konia, miałem dostatecznie dużo rozumu, by porwać z niej potężny kotlet, zanim pomknąłem w ciemności nocy.

Gdyby temperatura powietrza były wyższa, łatwo uciekłbym Zaperazim. Moja siła i koci wzrok dawały mi przewagę nie do pokonania nad Pierwszoplanowcami. Jednak chłód wysokości, na której byliśmy, wkrótce spowolniał me ruchy tak bardzo, że poruszałem się z prędkością Pierwszoplanowca.

Za mną gnała chmara jaskiniowców. Gonienie ułatwiał im fakt, że łuski na moim ciele odbijały światło pochodni. Biegłem zygzakami w dół skalistego stoku, skręcając to w lewo, to w prawo, by ich zgubić. Lecz oni byli szybcy i twardzi, jak to ludzie bywają. Niezależnie od kierunku, w którym uciekłem, podążały za mną światła pochodni jak rój latających owadów. Prawdę mówiąc, zaczęli się nawet do mnie zbliżać. Z każdym krokiem zwalniałem czując jak przenika mnie chłód.

Gdybym znał lepiej okolicę, bez wątpienia spróbowałbym jakiegoś podstępu, ale byłem tu obcy. A oni zbliżali się. Jeśli stawiłbym im czoła, mógłbym zabić dwóch czy trzech, lecz wtedy dowiedziałbym się, jak się czuje demon, któremu powoli zadają śmierć za pomocą kamiennej i szklanej broni. Byłem również pewny, że takie zachowanie nie dałoby żadnego powodu do zadowolenia madame Rosce i syndykatoowi, do czego byłem przecież zobowiązany.

Koło mnie przemknęła świszcząc strzała. Desperacja zmobilizowała wreszcie moją przytępioną inteligencję.

Upewniwszy się, że jestem widziany, przybrałem najbardziej jasny z dostępnej mi palety kolorów - perłowszary. Następnie skręciłem w prawo. Gdy gnali za mną, wyjąc z radości na bliski koniec pościgu, zeskoczyłem z nasypu, po którym biegliśmy. Zniknąwszy na chwilę swym prześladowcom z oczu, zmieniłem kolor na czarny i pomknąłem wzdłuż nasypu w lewo, prostopadle do pierwotnego kierunku mego biegu.

W okamgnieniu tłum Zaperazich znalazł się u podstawy nasypu i pognał dalej, nie zmieniając kierunku. Ja zaś biegłem wolno nową trasą, uważając, by nie potrącić kamienia ani nie wywołać hałasu. Po pewnym czasie jaskiniowcy odkryli, że perłowszara ofiara zginęła im z pola widzenia. Zatrzymali się, zaczęli krzyzczeć i wymachiwać pochodniami, lecz byłem już poza ich zasięgiem.

Przed świtem znalazłem ścieżkę prowadzącą przez Ucho Igielne i podążyłem północnym stokiem gór Ellornasu w dół ku stepom Shvenu.

Zarówno w niewoli, jak również podczas ucieczki byłem skłonny zgodzić się z nieprzychylnym poglądem karczmarza Hadrubara na temat Zaperazich. Wędrując jednak szlakiem w różowym świetle poranka i pogryzając kotlet odzyskałem bardziej racjonalny osąd. Sposób działania Zaperazich nie był niczym niezwykłym dla Pierwszoplanowców, którzy instynktownie dzielą się na wrogie sobie grupki. Każdy członek takiej grupy uważa wszystkie pozostałe grupy za nie w pełni ludzkie, czyli mogące być obiektem polowania - ofiarą. Podział taki może być stworzony pod dowolnym pretekstem: rasy, narodowości, przynależności klasowej, wierzeń religijnych czy jakichkolwiek innych różnic, które można wykorzystać.

Mając pretensję do Solymbriańczyków, Zaperazi, wyposażeni w normalnie działający, ludzki mózg, przyjęli wrogą postawę wobec wszystkich Novariańczyków. Pracowałem dla novariańskiego rządu, więc zaliczyli mnie do tej samej kategorii. Prawdą było nie to, że Zaperazi są “morderczo usposobionymi barbarzyńcami” w odróżnieniu od cywilizowanych Novarian, lecz że wszystkie istoty ludzkie są dotknięte “morderczym barbarzyństwem”, maskowanym welonem cywilizowanych obyczajów i manier.

## IX - Chan Theorik

Przez trzy dni brnąłem po pokrytym trawą, płaskim i wietrznym stepie zachodniego Shvenu, nie dostrzegając żadnych przejawów ludzkiego życia. Nie napotkałem również najmniejszych oznak życia zwierzęcego, jeśli nie liczyć ptaków czy paru antylop i dzikich osłów. Dawno już skończyła mi się konina, lecz nie mogłem zdobyć pożywienia, gdyż dzikie zwierzęta były zbyt szybkie nawet dla mnie. Nie miałem zaś żadnej broni, z której mógłbym coś ustrzelić.

Brak pokarmu i wody sprawiał, że byłem coraz słabszy, gdy nagle wyczułem swymi witkami powiew wilgoci. Stałem jak wryty, węsząc w powietrzu i udałem się w jej kierunku. Po upływie pół godziny znalazłem sadzawkę otoczoną paru drzewkami. Woda była bardzo zamulona, lecz nie powstrzymało mnie to przed ugaszeniem pragnienia. Na szczęście jesteśmy odporni na niemal wszystkie choroby Pierwszego Planu.

Ciągle jeszcze sączyłem mętłą wodę, gdy zaalarmował mnie stukot podków. Wyprostowałem się, a wtedy jeździec puścił konia galopem. Był to wielki mężczyzna, podobny do najemników ze Shvenu, których widziałem w Ir. Miał na sobie futrzany kapelusz, płaszcz z owczej skóry i workowate spodnie z wełny wpuszczone w filcowe buty. Jasna broda powiewała mu na wietrze. Podniosłem rękę i zawołałem w języku shvenskim:

- Zabierz mnie do swego wodza!

Było to jedno z niewielu zdań, które zapamiętałem, nim udałem się w drogę. Brak czasu i dobrego nauczyciela sprawiły, że nie zaliczyłem pełnego kursu tego języka.

Jeździec wykrzyknął coś, co zabrzmiało jak "Jipi!" i w dalszym ciągu szarżował na mnie. Zbliżając się, chwycił zwój sznura, który wisiał przy siodle, i zakręcił nim nad głową.

Nie miałem wątpliwości, że chce mnie złapać na lasso, jak bandyci Aithora z Zielonej Puszczy, i powalić na ziemię. Nie mając ochoty na takie potraktowanie, skoncentrowałem się i widząc nadlatującą pętlę wyskoczyłem w powietrze i pochwyciłem sznur szponami. Gdy opadłem, zaparłem się piętami o ziemię i rzuciłem gwałtownie do tyłu.

Wynik był zadziwiający. Jeździec miał zamiar wywrócić mnie i pociągnąć po ziemi, lecz nieoczekiwane szarpnięcie wyrwało go z siodła. Upadł głową na trawę, a jego koń stanął w miejscu.

Popędziłem do leżącego mężczyzny. Gdy odwróciłem go na plecy, ze zdumieniem stwierdziłem, że jest martwy. Spadając skręcił kark.

To zmieniło całkowicie postać rzeczy. Ubranie mężczyzny mogło mi dać pewne zabezpieczenie przed skokami temperatury, gdyż południowy żar na stepie zwałął mnie niemal z

nóg, natomiast w chłodzie nocy zamarzałem niemal na kość. Dlatego wciągnąłem na siebie futrzany kapelusz, płaszcz z owczej skóry i filcowe buty. Nie skorzystałem ze spodni, gdyż krępowałyby za bardzo ruchy ogona. Wziąłem natomiast broń i krzesiwo.

Postanowiłem również ująć konia. Spróbowałem się do niego zbliżyć, lecz uciekał ode mnie, przestraszony zapewne moim zapachem i wyglądem. Jednocześnie było oczywiste, że nie chce opuścić sąsiedztwa sadzawki. Podążałem za nim w kółko wokół kępy drzewek, lecz osłabiony głodem nie byłem w stanie go złapać.

W pewnym momencie przypomniałem sobie o lasso. Nie miałem, jak dotąd, okazji do ćwiczenia sztuki rzucania lassem, więc za pierwszym razem omotałem liną własne nogi i znalazłem się na ziemi. Kilka godzin praktyki sprawiło jednak, że potrafiłem nim rzucić z niezłym skutkiem na odległość paru metrów. Udało mi się również zbliżyć do konia na tyle, że zarzuciłem mu pętlę na szyję. Wtedy zaprowadziłem go blisko sadzawki i przywiązałem do drzewa.

Zwłoki mężczyzny zjadłem, ciesząc się, że swój posiłek mogę ugotować. Niektórych Pierwszoplanowców całe zajście przeraziłoby i okrzyknęliby mnie śmiertelnym wrogiem rodzaju ludzkiego, lecz nie mogę traktować poważnie ich nielogicznych i niekonsekwentnych tabu. Nieznajomy, atakując mnie, sam sprowadził na siebie śmierć. Jego dusza udała się prawdopodobnie do innego świata Pierwszoplanowców, w którym maszyny wykonują wszystkie prace. Nie mógł więc mieć już żadnego pożytku ze swego ciała, a mnie posłużyło ono bardzo dobrze.

Wiedząc jednak, jak osobliwie reagują ludzie na fakt zjadania istot ich własnego rodzaju, resztki pozostałe po mężczyźnie zakopałem w ziemi. Wdawanie się z tymi barbarzyńcami w sensowną dyskusję jest i tak dostatecznie trudne, nie należy więc dawać im dodatkowych powodów do wrogości.

Następnie dosiadłem konia i skierowałem się na północ. Według mapy, którą kiedyś miałem, droga do hordy chana Theorika powinna wieść w tym kierunku, choć nie byłem tego całkiem pewny. Plemię miało zwyczaj co kilka tygodni związać obóz i wędrować dalej w poszukiwaniu pastwisk dla swego bydła i trzody.

Na drugi dzień po opuszczeniu sadzawki ujrzałem po mej lewej stronie innego jeźdźca. Kierował się dokładnie na północ, więc nasze drogi się skrzyżowały. Miał na sobie, tak jak pierwszy koczownik, futrzany kapelusz i płaszcz z owczego futra.

Gdy zbliżyliśmy się do siebie, pokiwałem ręką. Pomyślałem, że będzie tym, który pokaże mi obecne obozowisko hordy.

Mężczyzna machnął mi w odpowiedzi ręką i uznałem, że nawiązaliśmy przyjazne stosunki. Byliśmy już całkiem blisko, więc zawołałem używając mej szczątkowej znajomości języka słwenskiego:

- Czy mógłby pan być tak uprzejmy, by wskazać mi drogę do obozu chana Theorika?

Dzieliła nas w tym momencie odległość dwudziestu do trzydziestu kroków. Mężczyzna musiał być krótkowidzem, gdyż wyglądało na to, że dopiero teraz zauważył, iż twarz pod futrzanym kapeluszem w żadnym wypadku nie należy do współplemieńca. Jego oczy rozszerzyły się z przerażenia i wykrzyknął coś podobnego do: "Zgiń, nędzny szatanie!" Równocześnie złapał za łuk i sięgnął ręką do kołczanu.

Ja również miałem łuk i kołczan, lecz nie uczyłem się nigdy łucznictwa, nie mogłbym więc nawet marzyć o trafieniu jeźdźca, nim on strzeli do mnie. Poza tym potrzebny był mi żywy przewodnik, a nie jeszcze jeden trup.

Działania, które przedsięwziąłem, były całkowicie niezgodne z moim charakterem. Gdybym się zatrzymał, by przemyśleć wszystko racjonalnie, to jestem pewny, że odrzuciłbym cały plan jako zbyt brawurowy i nie mogący się powieść. Nigdy przecież nie ćwiczyłem żadnych manewrów na koniu, które i dla najlepszych były trudne. Jednak my, demony, mówimy, że szczęście sprzyja śmiałym.

Wbiłem w boki konia ostre końce ciężkich strzemion z metalu, które służą Shvenitom zamiast ostróg. Gdy zwierzę skoczyło do przodu, przechyliłem się w stronę jadącego Shvenity. Ten wciąż jeszcze zajęty był strzałą, gdy podskoczyłem w górę, będąc od niego w odległości metra. Następnie, postępując zgodnie z tym, co robiła madame Dulnessa w cyrku Bagarda, podciągnąłem się na rękach, schwytawszy mocno łęk siodła i podkuiliłem pod siebie nogi. W mgnieniu oka stanąłem wyprostowany na grzbiecie galopującego konia.

Gdybym miał w ten sposób pokonać dystans choćby jednego metra, na pewno spadłbym z tak niepewnego podłoża. Lecz oba konie znajdowały się już obok siebie. Przeskoczyłem z siodła, na którym stałem, na grzbiet drugiego konia i ześlizgnąłem się w dół, tuż za jeźdźcem. Jednocześnie złapałem go oburącz za kark, zapuszczając końce szponów w jego gardło, i krzyknąłem:

- Zabierz mnie do swego wodza!

- Oczywiście! - odkrzyknął zduszonym głosem. - Ale błagam, zwolnij nacisk pazurów, bo otworzysz mi żyły i zabijesz mnie!

Pozwoliłem mu prowadzić. Na szczęście biedak nie miał pojęcia, że byłem równie przerażony swą niedawną śmiałością, jak on moim, obcym mu wyglądem.

\*\*\*

Wędrownie miasteczko Hruntingów przypominało mi obóz Paaluńczyków i wioskę Zaperazich, choć namioty były inne, zrobiono je bowiem z półkolistej ramy z prętów pokrytej płachtami wojłoku. Wśród tych szarych kopuł widniały oznakowane miejsca, mające specjalne przeznaczenie. Zauważyłem drogi dla koni, plac łuczniczy i zagrodę dla bojowych mamutów.

W tym skupisku wojłokowych namiotów kręcili się koczownicy ze swymi kobietami i dziećmi. Wokół namiotów stały setki wielkich czterokołowych wozów. Gdy mój jeńiec prowadził rumaka wśród tych przeszkód, między nim a innymi nomadami toczyła się wymiana okrzyków. Schwytawszy przeze mnie mężczyzna krzychał:

- Nie zbliżać się! Cofnąć się! Nic nie róbcie, bo ten potwór mnie zabije!

W środku miasta namiotów stał namiot podwójnej wielkości. Wokół niego była pusta przestrzeń. Przed nim znajdowała się para sztandarów ozdobionych końskimi ogonami, ludzkimi czaszkami i innymi odznakami władzy u nomadów. Dwóch Hruntingów w zbrojach z lakierowanej skóry stało na straży przed namiotem chana; a dokładniej mówiąc mieli stać na straży. Jeden z nich siedział oparty plecami o drzewce sztandaru z głową na kolanach, śpiąc; drugi nie spał, lecz zabawiał się kręceniem małego drewnianego bączka na twardej ziemi.

Usłyszawszy okrzyki, obaj wartownicy pośpiesznie wstali. Po krótkiej wymianie słów z moim jeńcem strażnik z bączkiem wszedł do namiotu i po chwili wrócił, mówiąc, że chan może mnie przyjąć.

Zeskoczyłem z konia i poszedłem w kierunku wejścia. Mój jeńiec również zsiadł i rzucił się na mnie z mieczem w ręku, wykrzykując jakieś pogroźki. Zdażyłem wyciągnąć broń zaledwie do połowy, gdy wtrącili się strażnicy, odpychając atakującego mnie koczownika ostrzami włóczni. Nie tracąc więcej czasu, zostawiłem ich krzyczących na siebie, a sam wszedłem do środka.

Część tego wielkiego namiotu oddzielono od reszty, tworząc salę posłuchań. Gdy wszedłem do niej, chan i dwaj inni strażnicy czynili usilne starania, by przyjąć wyglądającą dostatecznie urzędowo postawę, a twarze przyoblec w pełną powagi surowość. Chan zasiadał na siodle, które spoczywało na pieńku. W ten sposób znajdował się na pewnej wysokości, co miało chyba wywoływać w odwiedzających wrażenie nieustraszonego wodza jeźdźców bez lęku. Po bokach chana, uzbrojeni we włócznie i tarcze, stali strażnicy w pstrokatych strojach. Ich skórzane pancerze były obszyte kwadracikami połączanego mosiądzu.

Chan Theorik był już w starszym wieku; dorównywał mi wzrostem, lecz był wyjątkowo gruby. Po piersiach spływała mu wielka, siwa broda. Miał na sobie szkarłatną szatę ozdobioną jedwabnym wzorem z Iraz, a jego szyję i ramiona ozdabiały złote obręcze, łańcuchy i inne świecidełka.

Zgodnie z udzieloną mi wcześniej instrukcją padłem na kolana i przywarłem czołem do dywanu, pozostając w tej niewygodnej pozycji do chwili, gdy chan się odezwał:

- Podnieś się! Kim jesteś i czego chcesz?

- Czy Wasza Groźność - odezwałem się - byłaby tak łaskawa i wezwała tłumacza języka novarianskiego, bo słabo znam shvenski...

- Mówimy również po novariansku, nasz dobry... nie możemy przecież powiedzieć nasz dobry człowieku, a może możemy? Cha, cha, cha! - Theorik klepnął się po bokach i zachichotał. - Mówiono nam, że znamy ten język wyjątkowo dobrze. Naszą rozmowę poprowadzimy więc właśnie w nim.

W rzeczywistości chan mówił po novariansku z tak okropnym akcentem, że nie rozumiałem go wcale lepiej, niż gdy mówił po shvensku. Nie ośmieliłem się jednak wypowiedzieć swego zdania. Przedstawiłem mu okoliczności mej wizyty w Shvenie.

- A więc to tak - powiedział Theorik, gdy skończyłem. - Żądni pieniędzy syndykowie chcą, byśmy ich ocalili przed owocami ich własnego skąpstwa i tchórzostwa, co? To znaczy ty tak mówisz. Gdzie są listy uwierzytelniające i oferta syndyków na piśmie?

- Jak już Waszej Groźności mówiłem, jaskiniowcy z Ellornas zabrali mi wszystkie papiery, gdy mnie schwytali.

- To takie masz dowody? - Pokiwał grubym palcem. - Z ludźmi, którzy próbują nas oszukać, załatwiamy się szybko. Zanim się zorientują, już ostry pał siedzi im w tyłku, ho, ho, ho!

Ogromnym wysiłkiem woli znalazłem sposób na ostateczną przeszkodę.

- Wielki chanie, przed inwazją kilkuset Hruntingów było najemnikami w Ir. Po bitwie ludzie ci odmaszerowali do domu. Niektórzy powinni pamiętać, że widzieli mnie w mieście.

- Należy to sprawdzić. Rodovek!

- Tak jest, panie? - odezwał się Hrunting o bardzo oficjalnym wyglądzie, wychylając się spoza zasłony w drzwiach.

- Dopilnuj, by pan Zdim został zakwaterowany odpowiednio do rangi ambasadora. Postaw również przy jego namiocie straż, by nikt go nie zaatakował z zewnątrz, jak również by on sam nie mógł uciec. Jeśli okaże się, że jest rzeczywiście ambasadorem, wszystko będzie w porządku, lecz jeśli nie, to he, he, he! A teraz, panie Zdimie, wrócisz tu o zachodzie słońca, gdy wraz z wodzami zbierzemy się na pijacką naradę plemienia. Rozpatrzmy wtedy twą propozycję.

- Wybacz mi, panie, lecz czy się nie przesłyszałem? Pijacką naradę plemienia?

- Oczywiście. Dowiedz się, że mamy zwyczaj dyskutować wszystkie sprawy po dwakroć. Najpierw, gdy jesteśmy pijani, gdyż wtedy nasze myśli krążą swobodnie i bez lęku, a po raz drugi



na trzeźwo, byśmy mogli rozważyć wszystko zgodnie z rozumem i logiką. Trzeźwa rada odbędzie się jutro. Do widzenia, jaszczurkoczołwieku. Pozwalamy ci odejść.

Przed wyjściem rzuciłem jeszcze raz wzrokiem na Theorika i zobaczyłem, jak obaj strażnicy, stękając i wysilając się, podnoszą go z siodła, którego używał jako tronu.

\*\*\*

Pijacka rada odbyła się w wielkim namiocie rozbitym na placyku za siedzibą chana. Był to namiot z płótna, rozpostarty na masztach i linach jak główny namiot w cyrku Bagarda. Nawet wyglądał jak tamten. Zasiadło w nim ponad pięćdziesięciu wodzów i innych równie ważnych ludzi plemienia, śmierdząc bardziej niż Zaperazi.

Gdy wskazano mi miejsce, zobaczyłem, że mym towarzyszem przy stole będzie wyjątkowo wysoki i mocno zbudowany Hrunting o opadających na ramiona lśniących włosach w kolorze złota. Był to książę Hvaednir, kuzyn chana. Należał do tego samego klanu co Theorik, był również najsilniejszym i najprzystojniejszym mężczyzną klanu, uważano więc, że przejmie władzę nad plemieniem Hruntingów. Znał zaledwie kilka słów z novariańskiego języka, więc wymieniliśmy jedynie zwykłe uprzejmości.

Moim sąsiadem z drugiej strony był niski i gruby książę Shnorri. On także należał do królewskiego klanu. Ważniejsze jednak, że biegle mówił językiem novariańskim, gdyż studiował w akademii w Othomae. Powiedziałem mu, że wygląd namiotu wydaje mi się znajomy.

- Wcale się nie dziwię - stwierdził Shnorri. - Jeśli się nie mylę, jest to ten sam namiot, którego używał twój cyrkowiec. Gdy jego rzeczy zostały wystawione na aukcję, pewien handlarz przewiózł go przez Ellornas i sprzedał chanowi. Tłumaczył mu, że pomieści więcej biesiadników, a równocześnie jest lżejszy niż nasze tradycyjne, okrągłe namioty zbudowane z pali i wojłoku. Propozycja ta wywołała wiele hałasu wśród Hruntingów. Niektórzy mówili: "Kupmy namiot, bo jest on oznaką postępu. Postępu nie da się uniknąć, więc jedyną obroną przed nim jest korzystanie z niego." Inni uważali, że: "Nie, najlepsze są stare i wypróbowane sposoby. Poza tym, korzystając z rzeczy niezbędnych, a produkowanych w Novarii, uzależnimy się od Novariańczyków, którzy z chciwości i przez oszukaństwa bardzo szybko mogą nas doprowadzić do stanu żebractwa." Jak widzisz, partia postępu zwyciężyła.

Rada rozpoczęła się od kolacji. Odmiennie niż Novarianie, Shvenici żuli głośno i z otwartymi ustami. Wystawiono olbrzymie bukłaki napełnione przez kobiety piwem. Chan i jego wodzowie zaczęli do siebie przepijać.

Nadszedł czas na toasty. Obyczaje Shvenitów różnią się od novariańskich. Gdy Novarianie przepijają do osoby, którą chcą uhonorować, pozostaje ona na swoim miejscu i nie pije, natomiast

współuczestnicy biesiady wstają i wypijają toast równocześnie jak na komendę. Natomiast Shvenita wstaje, chełpi się swą walecznością i przepija sam do siebie. I tak jakiś krzepki jegomość ze złamanym nosem podniósł się, czknał i zwrócił do swych współtowarzyszy:

- Kto jest na przedzie w każdej bitwie? Ja, niezwycięzony Shragen bez lęku! Kto w pojedynkę zatłukł pięciu Gendingów podczas bitwy pod Ummel? Ja, wielki i waleczny Shragen! Kto zwyciężył w zawodach zapaśniczych między klanami w piątym roku panowania chana Theroika, do którego niech się bogowie zawsze uśmiechają? Ja, dziki i straszny Shragen! Kogo nie zawiodło nigdy poczucie honoru? Mnie, szlachetnego i wspaniałego Shragena! Czy ktokolwiek z wojowników może się równać z niezrównanym i umiłowanym Shragenem? Z pewnością nie, i dlatego piję na chwałę mej własnej wspaniałości!

Tu podniósł kufel i wychylił go do dna. Gdy wspaniały Shragen usiadł, podniósł się inny uczestnik narady i wygłosił podobną orację, którą Shnorri przetłumaczył mi. Jak jednak mawiamy w domu, zarozumiałość często jest zwiastunem klęski.

\*\*\*

Po upływie spędzonej w ten sposób godziny wodzowie Hruntingów mieli już dobrze w czubach. Wreszcie chan Theorik uderzył w stół ręką i sztyletu.

- Zabieramy się do pracy! - wrzasnął. - Dziś wieczorem mamy tylko dwie sprawy. Pierwsza to skarga złożona przez Gendingów, że jeden z naszych dzielnych bohaterów ukradł stado owiec. Druga to propozycja, którą w imieniu miasta Ir przedstawił nam demon Zdim, ten wyglądający jak smok gość, co siedzi między Shnorrim i Hvaedniem. Zaczniemy od owiec. Panie Mintharze, wystąp!

Posel Gendingów był Shvenitą w średnim wieku. Opowiedział, w jaki sposób gang złodziei z plemienia Hruntingów zabrał jednemu z Gendingów pięćdziesiąt owiec. Następnie chan Theorik zaczął przesłuchiwać Minthara. Nie, ofiara nie widziała bandytów. To skąd wie, że byli nimi Hruntingowie? Na podstawie opisu ich ubrań i końskiej uprzęży, jaki dali jego pasterze, jak również sądząc po kierunku, w którym rabusie uciekli...

Po jakiejś godzinie, w czasie której wodzowie często podsypiali, Theodorik zakończył dochodzenie.

- Dosyć! - warknął. - Nie przedstawiłeś żadnych wiarygodnych dowodów. Jeśli Gendingowie potrzebują więcej owiec, mogą je od nas kupić.

- Ależ, Wasza Groźność, to jest dla nas bardzo ważna sprawa - zaprotestował poseł.

Theorikowi odbiło się.

- Precz, łajdaku! Nie wierzymy nawet w jedno słowo twojej opowieści. Wszyscy wiedzą, jakimi łgarzami są Gendingowie...

- Chciałeś powiedzieć, że wszyscy wiedzą, jakimi złodziejami są Hruntingowie! - krzyknął poseł. - To oznacza nową wojnę!

- Obrażasz nas i grozisz w naszym własnym namiocie? - zawył Theorik. - Straż, zabrać tę wredną kanalię. Ściąć mu głowę!

Wartownicy wyciągnęli krzyczącego i broniącego się Minthara na zewnątrz namiotu. Wśród wodzów zaś wybuchł spór. Kilku z nich zaczęło w tym samym momencie mówić do chana. Niektórzy uważali, że tak właśnie należy postępować z tymi zdracliwymi mętami, inni twierdzili, że osoba ambasadora winna być szanowana niezależnie od tego, z jakim przekazem przychodzi. Jeden z nich, krzycząc głośniejszym głosem niż inni, został usłyszany przez chana.

- Tak, tak. Rozumiemy, o co ci chodzi - powiedział Theorik. - Dobrze, rozpatrzmy całą sprawę jeszcze raz rano, gdy wytrzeźwiejemy. Jeśli Minthar zasługuje na bardziej rozważne traktowanie...

- Chanie! - krzyknął mój towarzysz Shnorri. - Jutro Minthara w żaden sposób nie będzie można lepiej potraktować!

Theorik potrząsnął zagadkowo głową.

- Tak, po tym, jak to przedstawiłeś, zrozumiałem, o co ci chodzi. Straż! Cofamy rozkaz zabicia... Och nie, za późno!

Strażnik wszedł właśnie do namiotu, trzymając za włosy w wyciągniętej przed siebie ręce ociekającą krwią głowę ambasadora Minthara. Theorik odezwał się:

- A tośmy spłatali figła, chi, chi, chi! Na jaja Greipneka, trzeba będzie pomyśleć o jakimś wytłumaczeniu czy przeprosinach dla chana Yandomara. Następną sprawą jest propozycja przyniesiona z Ir przez demona Zdim...

Theorik streścił krótko moją ofertę.

- Początkowo podejrzewaliśmy jakiś podstęp ze strony tych posiadaczy - zaczął - gdyż Zdim nie przywiózł żadnych listów uwierzytelniających ani innych dowodów, zaklinając się, że skradli mu je Zaperazi. Jednak niektórzy z naszych ludzi, którzy służyli w Ir, potwierdzają, że był tam na usługach pewnej damy. Możemy więc mu zawierzyć. Nie widzimy też żadnego innego powodu, dla którego miałby odbyć tak długą i niebezpieczną podróż. Lecz teraz niech on sam przemówi. Jego Ekscelencja Zdim!

Słowem "posiadacze" Theorik nazywał ludzi, którzy nie byli koczownikami, jak farmerzy czy mieszkańcy miast. Nomadowie używają tego słowa, gdy chcą wyrazić swą pogardę dla ludzi o osiadłym trybie życia.

Miałem pewne trudności z podniesieniem się, gdyż księżę Haednir zapadł w sen, oparłszy złotowłosą głowę na moim ramieniu. Gdy udało mi się od niego uwolnić, przedstawiłem wodzom fakty, a Shnorri zajął się tłumaczeniem. W swej mowie byłem bardzo rozważny, pamiętając, co przed chwilą przydarzyło się ambasadorowi, który poirytował tę bandę pijanych barbarzyńców.

Po moim wystąpieniu zaczęła się przewlekła dyskusja. Mówcy byli już kompletnie pijani, więc ich argumenty nie miały żadnego związku z tematem i nie było w nich żadnego sensu. Wreszcie chan zastukał, domagając się spokoju.

- To wszystko na dzisiejszy wieczór, towarzysze - powiedział. - Naszą desyzyję, eee... naszą desyzyję... podejmiemy jutro rano na trzeźwej naradzie. A teraz...

- Błagam o wybaczenie, Wielki Chanie, ale to jeszcze nie wszystko! - krzyknął jakiś Hrunting. Rozpoznałem w nim mężczyznę, którego zmusiłem do przyprowadzenia mnie do miasta namiotów.

- Nie przeszkadzałem wcześniej w waszych sprawach, lecz teraz, gdy już skończyliście, chciałbym coś załatwić z tym demonem! - dodał.

- Tak? - spytał chan. - A o co chodzi, panie Hlindung?

- Splamił mój honor! - Hlindung opowiedział o naszym spotkaniu na stepie i o tym, jak wymusiłem na nim doprowadzenie do siedziby chana. - Jest podłym, nieludzkim potworem i zaraz dowiodę mych słów na jego śmierdzącym i obrzydliwym ciele! Demonie, wychodź na środek!

- O co mu chodzi? - zapytałem Shnorriego.

- To oznacza, że musisz z nim walczyć na śmierć i życie.

- Chanie! - zawołałem. - Jeśli ten człowiek zabije mnie, jak przedstawię propozycję Ir jutro?

- Nie przejmuj się tym - odparł Theorik. - Wysłuchałem twej propozycji i jestem pewny, że i Shnorriemu zapadła głęboko w pamięć. A ta walka zapewni przyjemny koniec nudnemu wieczorowi. Jakie to będzie miłe, ho, ho, ho! Panie Zdimie, wychodź na środek i spróbuj!

Hlindung tymczasem paradował to w jedną, to w drugą stronę przed stołem chana. Wywijał mieczem w powietrzu, aż świszczało, trzymając u boku wzmacnianą żelazem tarczę.

- Bardzo chciałbym dać mu satysfakcję - powiedziałem - lecz czym mam walczyć?

- Czymkolwiek, co masz ze sobą - odpowiedział chan.

- Ależ ja nie mam nic! - zaprotestowałem. - Twój strażnicy rozbili mnie przed zamknięciem w areszcie i nigdy już nie dostałem broni z powrotem.

- Cha, cha, cha, ale zabawa! - zaryczał Theorik. - Masz wyjątkowego pecha! Nie mogę rozkazać, by ktoś dał ci broń, gdyż mógłbyś nią zranić Hlindunga i okazałoby się, że nie jestem lojalny w stosunku do człowieka ze swego szczepu. No już dobrze, niech go ktoś wypchnie.

Moje witki aż drżały od wyczuwalnej żądzы krwi, jaka opanowała zgromadzonych wodzów. Hvaeदनir obudził się. Wraz z kimś jeszcze złapał mnie za barki i zaczął wypychać spoza stołu.

- A co będzie, jeśli go zabiję? - krzyknąłem do chana.

- To dopiero byłby żart, he, he, he! Cóż, jeśli chodzi o mnie, to nic, bo zabiłbyś go w uczciwej walce. Oczywiście jego krewniacy musieliby go pomścić i zabić ciebie przy pierwszej okazji.

Zanim się zorientowałem, co się dzieje, już stałem na otwartej przestrzeni przed Hlindungiem. Ten zgiął nogi i trzymając nad sobą tarczę zaczął się skradać w moim kierunku, zataczając mieczem małe kółka. Po klindze tańczyły odbłaski światła żółtych latarni.

- Lecz, Wasza Groźność... - zacząłem, gdy Hlindung wypadł do przodu.

Choć byłem znacznie silniejszy i mocniej zbudowany niż przeciętny Pierwszoplanowiec, to jednak nie łudziłem się, że miecz Hlindunga po prostu odbije się od mych łusek. Wokół siebie miałem bardzo mało przestrzeni, więc zrobiłem jedyny manewr pozwalający mi uniknąć wyglądającego paskudnie ostrza. Skoczyłem dokładnie ponad głową Hlindunga i wylądowałem za jego plecami.

Hrunding był pijany, gdy ja korzystałem z piwa bardzo umiarkowanie. Poza tym alkohol wydaje się oddziaływać na nas znacznie słabiej niż na Pierwszoplanowców. Może alchemicy rozwiążą tę zagadkę.

Gdy Hlindung uświadomił sobie, że zniknąłem, zamiast się obrócić, ciął mieczem powietrze w miejscu, gdzie przed chwilą stałem, wrzeszcząc:

- Czary! Demony!

Przyskoczyłem do niego od tyłu, łapiąc szponami za kołnierz kurtki i spodnie. Następnie poderwałem go w górę i zakręciłem nim w powietrzu, zaparłszy się na piętach. Przy trzecim obrocie puściłem go. Wrzeszcząc, poleciał w kierunku pochyłej ściany namiotu, by rozdarłszy w niej dziurę, znaleźć się na zewnątrz, skąd doszedł nas odgłos upadku.

Paru Hrundingów wyskoczyło z namiotu na dwór. Po chwili ktoś wrócił i stwierdził:

- Wielki Chanie, Hlindungowi nie stało się nic poważnego. Złamał tylko nogę, gdy upadł.

- He, he, he! - zarechotał chan. - Mój dzielny zabijaka myślał, że poradzi sobie z istotą z innego planu, co? To go powinno czegoś nauczyć. Teraz przez parę księżyców będzie nieszkodliwy. Panie Zdimie, myślę, że zanim się wyleczy i poszuka rewanzu, ty bez wątpienia znajdziesz sobie jakieś zajęcie w innym miejscu. Cholernie mądrze to załatwiłeś, na wnętrzności Greipneka! Choć uszkodziłeś mój namiot. A teraz wszyscy do łóżek. Ogłaszam zamknięcie narady pijackiej.

\*\*\*

Trzeźwa narada zaczęła się następnego popołudnia, była mniej barwna, lecz bardziej sensowna, pomimo kaca, który męczył kilku wodzów. Niektórzy ze Shevenitów rozwinęli taką umiejętność argumentowania, że nie powstydziliby się jej nawet demon z Dwunastego Planu. Wodzowie popierali wyprawę do Ir, lecz obawiali się smokojaszczurów.

- Mamut jest bronią okrutną - przemówił jeden z nich - lecz zwierzęta te panicznie boją się zranienia i śmierci. Jeśli zetkną się z czymś, co ma nietypowy wygląd i zapach, jak te smoki, to wpadną w panikę i uciekną, trując własnych panów. Znaleźlibyśmy się wtedy w bardzo niedobrym położeniu.

- My, demony - odezwał się - mówimy, że troska o siebie jest prawem naturalnym. Ale czy nie macie żadnych magów, którzy mogliby unieszkodliwić te potwory?

- Mamy paru starych czarowników, lecz nadają się oni jedynie do leczenia bólu żołądka i przepowiadania pogody. Jesteśmy odważnymi koczownikami i bardziej wierzymy uzbrojonemu w miecz ramieniu niż oszukaństwu magii.

- Jeśli Paaluńczycy najadą Shevenitów - zastanawiał się inny - to rozwiązanie będzie proste. Należy poczekać na chłód. Wtedy smoki, które są zimnokrwistymi jaszczurami, przestaną się poruszać, gdyż zimno je sparaliżuje.

- To nasuwa mi pewien pomysł, jeśli wolno mi zabrać głos - wtrącił się. - Znam szamana Zaperazich, jeśli "znam" jest właściwym słowem, gdy mówię o człowieku, który chciał mnie ofiarować swej bogini. W jego magicznym rynsztunku jest również zaklęcie chłodu; prawdę mówiąc, w ten sposób mnie schwytali. Yurog zamroził mnie tak, że nie mogłem się ruszyć. Gdyby nam się udało przekonać pana Yuroga, by użył swego zaklęcia przeciwko Paaluńczykom...

Propozycja spotkała się z okrzykami akceptacji ze strony wodzów.

- Dobrze! - zdecydował chan. - To znaczy, jeśli pan Zdim potrafi zachęcić tego barbarzyńcę do naszego przedsięwzięcia. Podejźmy do Ucha Igielnego i zobaczymy, co zdoła jego siła przekonywania.

A teraz - ciągnął - kolejna sprawa. Nie mamy jeszcze na piśmie umowy z syndykami. Bylibyśmy głupcami, gdybyśmy się wykrwawili na śmierć dla ich dobra przed zawarciem odpowiedniego porozumienia. Znamy tych oszustów zbyt dobrze. Moglibyśmy poświęcić dla nich połowę naszego narodu, lecz gdy nie będziemy mieli kawałka pergaminu, to oni powiedzą: "Nie jesteśmy wam nic winni, nie umawialiśmy się, że chcemy waszej pomocy".

Wystąpienie chana spotkało się z powszechnym poparciem. Niemal wszyscy Shvenici byli niepiśmienni, mieli więc zabobny stosunek do słowa pisanego. Poza tym dostatecznie dobrze

poznałem syndyków, by nie mieć wątpliwości, że obawa Shvenitów przed oszukaństwem jest oparta na faktach.

Ostatecznie zdecydowano, że ekspedycja w sile pięciu tysięcy wojowników i stu mamutów zostanie wysłana pod Ucho Igielne. Jeśli uda mi się nakłonić Yuroga do wstąpienia do naszej armii, to pomaszeruje ona do Ir przez Solymbrię, która nie będzie w stanie przeszkodzić nam w przejściu.

Po targach zgodziliśmy się zasadniczo na warunki, które oferowali syndykowie: jedna marka dziennie dla człowieka, sześć pensów za dniówkę mamuta i w całości nie więcej niż ćwierć miliona marek. Upierali się, by określić minimalną zapłatę na sto tysięcy marek, na co się zgodziłem.

Przed zaatakowaniem Paaluńczyków należało jednak dołożyć wszelkich starań, by uzyskać od Iriańczyków potwierdzenie obietnicy na piśmie. Rozwiązanie tego problemu, ze względu na oblężenie Ir, miało czekać na stosowny moment. Wreszcie Theorik powiedział:

- Hvaednirze, któregoś dnia zastąpisz mnie, nadszedł więc czas, byś się uczył sztuki samodzielnego dowodzenia. Dlatego ty poprowadzisz tę wyprawę. Dam ci znającą się na rzeczy radę wojenną, złożoną z doświadczonych dowódców, i radzę ci zważać na ich słowa.

- Dziękuję ci, wuju - odpowiedział książę Hvaednir.

X - Generał Ulola

Pomaszerowaliśmy więc do Ucha Igielnego. Nasi zwiadowcy złapali jednego z ludzi plemienia Zaperazi, powiedzieli mu, że chcemy rozmawiać z szamanem Yurogiem i puścili wolno. Po pewnym czasie Yurog wyszedł spoza skał. Z łatwością przekonaliśmy go, by się do nas dołączył, oferując mu jako zapłatę dziesięć wołów; pięć teraz, a pięć po powrocie z kampanii. Gdy podążaliśmy w dół po południowym stoku przejścia, starzec, kołysząc się na grzbiecie mamuta, wyznał:

- Dobrze być szaman, ale ja chcę widzieć cywilizacja, spotkać wielkich czarownik, uczyć wysoka magia. Po wielu latach skaliste góry i tępi jaskiniowcy to wielka nuda.

Na granicy z Solymbrią pojawił się problem, jak mamy traktować Solymbriańczyków. Powiedziałem Shnorriemu:

- Uważam, że nie są oni w stanie zatrzymać waszej armii w marszu do Ir, gdyż kraj jest kompletnie zdeorganizowany przez rządy półgłupka. Lecz wkrótce odbędą się u nich kolejne wybory i tym razem los może wskazać kogoś bardziej kompetentnego. Jeśli Hvaednir pozwoli

ludziom, by rabowali, gwałcili i mordowali, to wracając z kampanii możecie być zmuszeni do wywalczenia sobie przejścia przez Solymbrię.

W czasie posiedzenia najbliższej rady wojennej Shnorri podniósł tę sprawę. (W spotkaniach rady uczestniczyłem jako przedstawiciel Ir.) Jeden z wodzów powiedział:

- Któż jest tym o zajęczym sercu? Kto chce, byśmy łagodnie i kłiwie traktowali nędznych posiadaczy? Precz z nim! Jeśli nasi dzielni chłopcy przelecą parę solymbriańskich dziewczuch, to Solymbriańczycy mogą uważać to tylko za zaszczyt, że nasza bohaterska krew trafi w ich zdegenerowane żyły.

- Nawet szczur potrafi ugryźć, jeśli się go zapędzi do rogu - zauważył inny z rady. - Dlatego zgadzam się z księciem Shnorrim. Jeśli przydusimy te solymbriańskie szczury za bardzo, to z pewnością będą chcieli się odgryźć. Zabicie dziesięciu za jednego naszego nic nam nie da. Ten jeden zabity będzie dla nas więcej wart na stepie, gdy wybuchnie wojna z Gendingami.

- E tam, pieprzyć Solymbriańczyków! - rzucił pierwszy. - Przejdziemy przez nich jak gorący nóż przez masło. Czyście już zapomnieli, jak za rządów chana Yngnala złupiliśmy miasto Boaktis, a posiadacze zmykali przed nami jak króliki?

Shnorri zauważył:

- Pamiętam również, że gdy nasza armia wracała przez góry Ellornas, połączone siły Boaktian, Tarxian i Solymbriańczyków zasadziły się na nas i odzyskały większość łupu.

I tak to trwało, a książe Hvaednir przysłuchiwał się z boku. Ten młody człowiek nie poraził mnie swą inteligencją, gdyż poznałem już shvenski na tyle, by móc rozmawiać. Jak dotąd jednak książe słuchał uważnie rad wodzów i przyjmował je, gdy były mniej więcej zgodne. Wreszcie odezwał się:

- Zrobię tak, jak mi radzi kuzyn Shnorri. Rozkażcie wojownikom nie oddalać się od dróg, wałęsanie się będzie surowo karane. Mają również płacić za wszystko, co wezmą od Solymbriańczyków, którzy będą też sami ustanawiać ceny. Złodziejstwo i napady będą karane utratą ręki, gwałt kastracją, a morderstwo głową.

Wywołało to sporo utyskiwań, a niektórzy wojownicy nie potraktowali rozkazu serio. Dopiero gdy jeden z nich stracił głowę za zabicie człowieka, reszta uspokoiła się i zaczęła respektować zarządzenie.

Początkowo Solymbriańczycy uciekali z przerażeniem przed armią Hruntingów. Jednak większość z nich, zobaczywszy, że nomadowie zachowują się przyzwoicie, powróciła do swych domostw. Pojawiły się chmary markietanek, kuglarzy i prostytutek gotowych zaspokajać zachcianki wojowników.



Od niektórych z nich dowiedziałem się, że Ir jeszcze się broni. Informacje nie były najświeższe, gdyż ziemie wokół Ir były na wiele lig wyludnione. Część mieszkańców wyłapała kawaleria paaluńska na kangurach i zabrała w celach zaopatrzeniowych. Inni, słysząc o losie współobywateli, postarali się, by odległość między nimi a Ir była jak największa.

W marszu ominęliśmy miasto Solymbrię - które na wszelki wypadek zamknęło bramy, i przeszliśmy obok obozu uciekinierów z Ir. Zatrzymaliśmy się na noc, mając ich w zasięgu wzroku, a delegacja Iriańczyków oczekiwała już na naszych wodzów.

- Chcielibyśmy się przyłączyć do waszej armii, by ratować nasze miasto - oznajmili. Shnorri kolejny raz służył jako tłumacz.

Widząc, że Hvaednir nie wie, jak odpowiedzieć na tę propozycję, Shnorri zasugerował zwołanie rady wojennej. Tak też się też stało. Jeden z wodzów zapytał:

- Ilu macie ludzi?

- Około pięciuset, panie.

- Jak jesteście uzbrojeni? - chciał wiedzieć inny.

- Och, panie, nie mamy żadnej broni. Uciekliśmy w zbyt wielkim popłochu. Ale sądzymy, że tak dobrze zaopatrzona armia zapewni nam uzbrojenie.

- Jak wielu macie wojowników z doświadczeniem bojowym? - spytał trzeci.

Rzecznika Iriańczyków ogarnęło przygnębienie.

- Ani jednego, panie. Jesteśmy narodem nastawionym pokojowo, chcemy, by nam pozwolono uprawiać ziemię i zajmować się własnymi sprawami. - Hrunting zrobił w tym momencie szyderczą uwagę w swym języku, lecz Iriańczyk ciągnął dalej: - Poza tym płonie w nas patriotyczny zapał, który może zrównoważyć brak doświadczenia.

Wódz odpowiedział:

- Obawiam się, że z takim stadkiem niezguł być może udałoby się przeprowadzić jeden niezły atak, lecz nie całą kampanię. Ile macie koni?

- Wcale, panie. To znaczy, prawdę mówiąc, kilku z nas ma konie, lecz są to zwierzęta pociągowe i kucyki, nieodpowiednie do prowadzenia wojny. Chcemy służyć w piechocie.

Hvaednir stwierdził:

- Jesteśmy armią, która porusza się na koniach. Każdy człowiek, jeśli nie uwzględnić jeźdźców na mamutach, ma co najmniej dwa konie. Jaki pożytek możemy mieć z oddziału niewyszkolonych piechurów? Nawet nie moglibyście dotrzymać nam kroku w drodze.

Paru wodzów zaczęło szemrać:

- Na cholerę nam oni! Nie potrzebujemy zgrai tchórzliwych posiadaczy.

- Nie, oni by nam tylko zawadzali!

- Honor wymaga, byśmy chwałę całej kampanii zatrzymali dla siebie.
- Książę, odeślij te baranki.

Iriańczycy nie mogli zrozumieć słów, lecz odbierali ich nastrój, co sprawiło, że wyglądali jeszcze smutniej. Gdy zaczęli się zbierać do odejścia, odezwałem się nie pytany:

- Panowie, nie wiecie, co zastaniecie w Ir. Paaluńczycy mogli wznieść wokół swych pozycji umocnienia. Jeśli będzie trzeba je zdobywać, zwierzęta nie przydadzą się do niczego. Natomiast wy będziecie musieli zabrać się do oblężenia, co jest pracochłonnym i czasochłonnym zajęciem. Tak przynajmniej wynika z waszej historii.

W czasie gdy będziecie się przygotowywać do oblężenia, iriańscy uciekinierzy mogą was dogonić. Jeśli oddelegujecie do nich oficera, który zna novariański, to mógłby ich wyszkolić po drodze. A gdy nadejdzie moment zdobywania ufortyfikowanego obozu, przekonacie się, że piechur jest równie dobrym żołnierzem.

Nastąpiło kolejne zamieszanie wśród wodzów. Większość nadal sprzeciwiała się uzbrojeniu Iriańczyków, lecz Shnorri z dwoma innymi stanął po mojej stronie. Wreszcie Hvaeðnir orzekł:

- Cóż, obie strony mają rację, więc nich bogowie zdecydują.

Wyciągnął z sakiewki monetę, podrzucił i złapał, po czym położył na rękę.

- Reszka - stwierdził. - Należy uzbroić i wyszkolić Iriańczyków, jak proponuje demon.

Rzekłem.

\*\*\*

Pogoda stawała się coraz bardziej upalna, gdy maszerując przez wyludniony kraj zbliżyliśmy się do Ir. Ciężkie ubiory Hruntingów nie nadawały się do noszenia w tak parnym klimacie. Mężczyźni jechali z odkrytymi głowami, obnażywszy również torsy, po czym narzekali na poparzenia słoneczne. (Większość Shvenitów goli głowy, zostawiając tylko z tyłu warkocz. Hvaeðnir, ze względu na złociste włosy, miał fryzurę nietkniętą.) Otyły Shnorri cierpiał wyjątkowo, pot wręcz spływał po jego zaokrąglonym ciele. Powszechne stały się choroby.

Muszę przyznać, że Hruntingowie byli bardzo sprawni w czynnościach związanych z przemieszczaniem się armii, wysyłaniem patroli czy przy wybieraniu miejsca na obóz i jego zakładaniu. Wodzowie mieli wybujałe pojęcie honoru, męstwa i wyższości, lecz w praktycznych działaniach byli bardzo efektywni. Fakt, że książę Hvaeðnir był raczej głupim młodzieńcem, nie sprawiał większych problemów. Dopóki postępował zgodnie z radami wodzów, nie mógł zrobić niczego wyjątkowo źle.

Gdy zbliżyliśmy się do Kyamos, nasi zwiadowcy donieśli, że Paaluńczycy ciągle jeszcze oblegają Ir. Kyamos była niewidoczna z Ir ze względu na pasmo niskich gór między nią a małym

Vomantikon. Zdecydowano więc podejść do niej ukradkiem w nocy i rozłożyć się obozem. Zakładaliśmy, że Paaluńczycy nie odkryją naszej obecności, dopóki nie będziemy gotowi do walki. Ludożercy nie wysyłali już swoich zwiadowców na skoczkach. Sądzę, że uznali, iż nie ma już niczego, a raczej nikogo, co by się nadawało do zjedzenia. Nie przyszło im do głowy, że powinni się obawiać armii idącej z odsieczą.

W ciągu wieczora armia Hruntingów weszła po cichu do doliny Kyamos, przeszła po zwodzonym moście i stanęła obozem. Ludzie zjedli zimną kolację i wszystko by się udało, gdyby nie któryś z mamutów. Wydał on mianowicie przeraźliwy, podobny do odgłosu trąbki ryk. Inne zwierzęta dołączyły się do niego i już po paru minutach nasi zwiadowcy donieśli, że oddział Paaluńczyków z pochodniami opuścił obóz na skoczkach. Nasze dowództwo posłało więc większy oddział jazdy, by ich zlikwidować. Hruntingowie rozproszyli Paaluńczyków i wybili niemal wszystkich, jednak niektórym udało się uciec do obozu.

Ludożercy dowiedzieli się więc, że obok nich znalazły się wrogie siły, lecz nie wiedzieli, kim jesteście. Wodzowie dołożyli wszelkich starań, by utrzymać rzecz w tajemnicy. Rozstawili posterunki wzdłuż grzbietu oddzielającego Kyamos od Ir i przez okrągły dzień wysyłali patrole konne na najwyższe wzgórza w okolicy. Jeśli nawet jacyś paaluńscy zwiadowcy dostrzegli nasz obóz, to z takiej odległości, że nic im to nie mogło dać.

Następnego dnia zebrała się rada wojenna. Wódz zameldował:

- Nasi wywiadowcy donoszą mi, że paaluńscy żołnierze są zajęci w obozie przez cały dzień. Pracują ostro łopatami i kilofami, powiększając umocnienia. Niektórzy kopią wilcze doły i wbijają na ich dnie pale, inni robią barykady z zaostzonych gałęzi, pogłębiają fosy i podwyższają nasypy. Powinniśmy zaatakować natychmiast, bo ci barbarzyńcy staną się dla nas niedostępni.

- Nie! - rzucił któryś z wodzów. - Jesteśmy najlepszą kawalerią na świecie, lecz jeśli uderzymy pieszo, zostaniemy wyrznięci do nogi. Lepiej odciąć im zaopatrzenie i wziąć ich głodem.

- To zamorzymy głodem i Iriańczyków, jeśli już o tym mówimy - dodał inny.

- No to co? Gdy wszyscy tchórzliwi posiadacze będą martwi, podzielimy się ich bogactwami.

- To jest niegodna rada!

- Towarzysze! - odezwał się ktoś. - Zajmijmy się lepiej naszym obecnym problemem. Piechota iriańska jest zaledwie o dzień marszu od nas. Jeśli zaczekamy na ich przybycie, będziemy lepiej przygotowani do zaatakowania, obozu ludożerców. Iriańczycy pójną oczywiście w pierwszej linii. Pomijając wszystkie inne powody, to jest to przecież ich miasto, więc nie powinni protestować, że będą za nie umierać.

I tak się toczyła dyskusja. Wreszcie księżę Hvaednir zauważył:

- Towarzysze, zanim wyruszyliśmy, mój wuj chan upominał mnie, byśmy nie zaczęli walki, dopóki nie zawrzemy konkretnej umowy z syndykami.

- Lecz jak mamy to zrobić - spytał któryś z wodzów - jeśli między nami a nimi znajduje się krąg Paaluańczyków?

- Możemy przejść górą, dołem lub po nich - na pół serio odpowiedział wódz. - Sądząc po skałach, które tu widzę, zrobienie tunelu jest mało prawdopodobne.

- Co do przejścia górą - dorzucił inny - to nie mamy żadnego maga, który mógłby polecieć do miasta jako nasz posłaniec i przynieść odpowiedź. Choć słyszałem, że istnieją czarodziejskie dywany i miotły, na których można latać.

Tu zabrał głos Shnorri:

- Gdy byłem studentem w Othomae, jeden z wykładowców powiedział mi, że używa się takich zaklęć. Rzucić je mogą jedynie najpotężniejsi czarownicy, a i to tylko po wyczerpujących przygotowaniach, długiej pracy i wielkim kosztem siły i mocy. Lecz możemy zapytać własnego maga, Yuroga, z plemienia Zaperazich.

Znaleziono Yuroga. Gdy wytłumaczono mu, czego się od niego oczekuje, jedynie westchnął.

- Ja za mały mag na to. Ja tylko mały plemienia szaman. Ja mam nadzieję uczyć wielką magię w cywilizowane kraje, ale jeszcze nie.

Shnorri zaś zauważył:

- Rozumiem, że mój przyjaciel Zdim uciekł z Ir przez linie Paaluańczyków dzięki sprytowi i korzystając ze swej umiejętności zmieniania koloru. Jeśli udało mu się wtedy, dlaczego by nie spróbować jeszcze raz?

Odpowiedziałem:

- Panowie, chciałbym z całego serca sprawić wam satysfakcję. Muszę jednak zauważyć, że teraz wykonanie zadania byłoby bardziej trudne i ryzykowne niż za pierwszym razem. Jak mówimy na Dwunastym Planie, póty dzban wodę nosi, póki się ucho się urwie. Paaluańczycy wzmacniają umocnienia...

Wodzowie jednak zakrzyczeli mnie.

- Niech żyje Zdim!

- Zdim będzie naszym zaufanym posłańcem!

- Z tymi pazurami przejdzie przez wały jak wiewiórka.

- Szlachetny Zdimie, jesteś zbyt skromny, nie zapieraj się!

Rada była jednomyślna. Spojrzałem na księcia Hvaednira, łudząc się, że może on będzie innego zdania. Ostatnio wykazywał trochę więcej niezależności. Lecz ten powiedział:

- Towarzysze, macie rację. Zdim powinien zanieść umowę do miasta, uzyskać podpisy Syndyków i przynieść ją do nas. Dopóki tego nie zrobi, zostaniemy tutaj i nie będziemy niepokoić kanibali. Rzekłem.

Nie widziałem innego sposobu przysłużenia się Ir, co było zresztą moim obowiązkiem, więc zaakceptowałem misję, choć pełen oporu. Przyniesiono przybory do pisania. Biegły w piśmie Shnorri wypisał w obu językach (shvenskim i novariańskim) i w dwóch egzemplarzach umowę między armią Hruntingów a Syndykami z Ir. Warunki sformułowano tak, jak to uzgodniliśmy w obozie w Shvenie: marka dla człowieka dziennie i tak dalej. Umowę podpisał Shnorri, a po nim ja. Hvaednir nakreślił swój znak, który ze Shnorrim potwierdziliśmy.

\*\*\*

Gdy podniósł się księżyc, zbliżyłem się do obozu Paaluańczyków. Umocnienia ziemne, nad którymi oblegający rozpoczęli pracę, nie stanowiły jeszcze wielkiej przeszkody, gdyż zaledwie drobna ich część została ukończona. Na czworakach przemknąłem się przez wał świeżej ziemi do głównej fosy i na nasyp.

Znalazłem się więc ponownie w obozie mającym kształt kręgu. Przybrałem kolor nocnej czerni i pilnie rozglądałem się wokół, nadsluchując i węsząc, by nie przegapić strażników i ich jaszczurów. Jeśli wolno mi tak o sobie powiedzieć, poruszałem się cicho jak cień.

Byłem w połowie drogi między zewnętrznym a wewnętrznym wałem, okrążając jakąś stertę pali, gdy wyczułem zbliżającego się strażnika. Przywarłem do pniaków. Wartownik przeszedł za rogiem, nie dostrzegając mnie. Jednak u jego boku szedł na smyczy jaszczur.

Ten zwęszył moją obecność. Gad stanął i wyrzucił język przed siebie. Paaluańczyk poczuł pewnie, że smycz się naprężyła, gdyż zatrzymał się i odwrócił w moim kierunku. Gdy zrobił krok, jego ręka dotknęła moich łusek.

Mężczyzna szarpnął nią, wbił oczy w ciemność i odskoczył ode mnie z dzikim wrzaskiem. Odpowiedziały mu inne okrzyki, więc zerwałem się do biegu, klucząc wśród przeszkód w kierunku wału wewnętrznego. Jednak na kolejnym zakręcie pobiegłem zbyt blisko namiotów. Potknąłem się o jakąś linię i znalazłem się na ziemi, wywracając również namiot.

Natychmiast poderwałem się na nogi, lecz w tym samym momencie pojawił się jakiś człowiek z pochodnią. Gdy rzuciłem się do biegu, coś zaszumiało w powietrzu i owinęło się wokół moich nóg, ponownie wywracając mnie. To było jedno z tych urządzeń z kamiennymi kulami przymocowanymi do końców sznura.

Zanim zdążyłem się wyplątać, chyba połowa armii paaluańskiej zwała się na mnie. Z dwoma lub trzema poradziłbym sobie spokojnie, lecz ci tłoczyli się wokół mnie, czepiając się moich

kończyn jak chmara owadów z Pierwszego Planu zwanych mrówkami. Ugryzłem jednego z nich w nogę, lecz nie powstrzymało to innych od spętania mych ramion i nóg tyłu sznurami, że starczyłoby i na mamuta.

Skrepowali nawet moje szczęki, tak że nie byłem w stanie ich rozewrzeć. Następnie zawlekli mnie do jakiejś zagrody i porzucili w niej. Wokół mnie stanęło kilku kanibali z dzidami, na wypadek gdyby w jakiś sposób udało mi się wydostać z więzów.

Tak spędziłem kilka godzin w bólu i nudzie. O świcie podniesiono mnie znowu, zaniesiono do największego namiotu i rzucono przed naczelnym dowództwem.

\*\*\*

Miałem więc pierwszą okazję przyjrzenia się Paaluńczykom z bliska i przy dobrym świetle. Byli to wysocy ludzie, na ogół chudzi, choć dostrzegłem wśród nich paru otyłych. Mieli czarną, a co najmniej ciemnobrązową skórę. Ich głowy były okryte kręconymi włosami w czarnym lub kasztanowym kolorze, nosili również brody.

Odmienne niż u Novarian czy Shvenitów nagość nie była dla nich społecznym tabu. Z wyjątkiem kilku, którzy mieli na sobie skórzane zbroje, i oficerów w kapeluszach z piór, pozostali byli całkowicie nago. Ich ciemna skóra była pomalowana w różnokolorowe, jaskrawe wzory. Czerwień i biel były najbardziej ulubione. Dalecy od ukrywania narządów płciowych, jak czyni większość Pierwszoplanowców, malowali je mocno kontrastującymi kolorami by wyglądały bardziej okazale.

Mieli tak niskie czoła i wypukłe, wyraźne łuki brwiowe, że ich ciemne oczy zdawały się spoglądać z głębi małych pieczar. Nosy były wyjątkowo szerokie i płaskie. Usta ukryte pod olbrzymim zarostem kręcących się włosów były również szczególnie szerokie.

Na bębnie umieszczonym w środku namiotu, otoczony przez niższych oficerów i strażników, zasiadał główny bohater tego żywego obrazu. Miał bujną, spływającą w lokach brodę, która zaczynała siwieć. Na jego szyi wisiał złoty łańcuch, do którego był przymocowany wielki złoty medalion czy jakaś płytką, być może oznaka władzy.

Wśród orszaku był ktoś, kto wyglądał jak Novarianin. Nosił novariański strój, lecz na nim skórzaną zbroję paaluńską.

Mężczyźni prowadzili rozmowę w nie znanym mi języku. Rozmawiając przyglądali mi się. Wreszcie Novarianin odezwał się:

- Kim jesteś, zwierzaku? Potrafisz mówić ludzkim językiem?

Szczęki moje wciąż jeszcze były przewiązane liną, więc mogłem jedynie mrużyć. Mężczyźni zorientowali się w czym rzecz i jeden z nich, śmiejąc się, przeciął linę.

- Dziękuję ci, panie - powiedziałem.

- O? - zdziwił się Novarianin. - Ty mówisz po novariańsku?

- Tak jest, panie. Z kim mam zaszczyt rozmawiać?

- Charondas z Xylaru, naczelny oficer wojsk inżynieryjnych Jego Ekscelencji generała Uloli, dowódcy tej wyprawy.

- Panie, czy nie jest trochę niezwykle dla Novarianina zajmować taką pozycję w obecnej armii?

- Bardzo - odpowiedział Charondas. - Jednak obecnie mam status honorowego Paaluańczyka, uznawszy ich władzę. Trzeba zamieszkać wśród Paaluańczyków, by móc docenić ich zalety, to prawdziwi dżentelmeni.

- A dżentelmen na bębnie to, domyślam się, generał Ulola?

- Tak.

- Przekaż mu, proszę, wyrazy mego szacunku, gdyż nie znam jego języka.

Charondas przetłumaczył moje słowa i Paaluańczycy wybuchnęli śmiechem. Renegat wyjaśnił:

- Są zachwyceni tym, że więzień, do tego istota nie będąca człowiekiem, leżąc na ziemi związany dziesięcioma kilogramami sznura, potrafi okazywać tak dworskie maniery.

- Manier tych nauczono mnie na mym planie - odpowiedziałem. - A teraz, czy byłbyś tak uprzejmy powiedzieć mi...

- Słuchaj, bydlaku - przerwał mi Charondas - od zadawania pytań jesteśmy my, nie ty. Po pierwsze, kim jesteś i czego tutaj szukasz?

Wyjaśniłem. Generał mówił, a Charondas pytał:

- On chce wiedzieć, czy to ty przeszedłeś przez obóz w drugą stronę jakieś półtora miesiąca temu?

- Myślę, że chodzi o mnie. Nie słyszałem o innym mieszkańcu Dwunastego Planu, który by przebywał w pobliżu.

- To sprawi ulgę generałowi. Obawiał się, że strażnik opowiadający tę historię cierpiał na halucynacje. A teraz powiedz, dlaczego przekradłeś się z powrotem do oblężonego Ir?

- Proszę mi wybaczyć, panie, ale nie sądzę, że mogę ci odpowiedzieć na to pytanie.

- Mamy swoje sposoby, by zmusić więźnia do mówienia - zimno stwierdził Charondas.

W tym momencie wszedł oficer i wręczył generałowi oba niesione przeze mnie egzemplarze propozycji umowy między Iriańczykami i Hruntingami. Po dłuższej rozmowie Ulola przekazał dokumenty Charondasowi. Renegat rozwinął je i zaczął czytać na głos, tłumacząc na paaluański.

Gdy skończył, rozmowę wznowiono. Wreszcie Charondas odezwał się do mnie:

- Dzięki tym dokumentom poznaliśmy cel twojej misji. Nie widzimy więc potrzeby zadawania dalszych pytań. Musimy jednak zdecydować, co z tobą zrobimy.

Wymienił parę zdań z generałem i ponownie zwrócił się do mnie:

- Postanowiono skazać cię na śmierć. Postępujemy w ten sposób ze wszystkimi Novariańczykami, których schwytamy. Jednak generał orzekł, że nie zjemy ciebie, gdyż twoje mięso mogłoby nam zaszkodzić. Dlatego posłużysz za karmę dla smoków.

- Cóż, panie - odpowiedziałem - jestem w takiej sytuacji, że możecie zrobić ze mną, co chcecie. Lecz jeśli wolno mi się wypowiedzieć, to uważam, że taki akt jest nazbyt drastyczny, bo ja starałem się jedynie uzyskać zadowolenie moich panów, będąc posłusznym ich rozkazom.

Charondas przetłumaczył mój komentarz i odpowiedź generała. Ta pośrednia dyskusja między nami miała następujący przebieg:

- Demonie, nie mamy nic przeciwko twojemu rodzajowi, lecz pracując dla Novarian, przejąłeś na siebie ich winę. Dopuściłeś się obrazy moralności, co zasługuje na natychmiastową śmierć.

- W jaki sposób, generale?

- Novarianie, jak inne narody zamieszkujące ten kontynent, są niegodziwi i nie da się tego zmienić w żaden sposób. Dlatego należy ich zlikwidować.

- Na czym polega ich niegodziwość, panie?

- Wywołują między sobą wojny. Zajęliśmy się tą sprawą bardzo wnikliwie i wiemy, że wszyscy oddają się tej ohydnej praktyce.

- Ależ generale, w tej właśnie chwili prowadzisz z nimi wojnę, czyż nie mam racji? Skąd więc bierzesz prawo do osądzania ich?

- My nie prowadzimy wojny! To jest ekspedycja aprowizacyjna. Zbieramy jedynie plon, plon z ludzi, i czynimy tak z bardzo prostego i naturalnego powodu, musimy nakarmić współobywateli. Wszystkie istoty muszą jeść, jest to naturalne, a stąd i moralne. Lecz zabijanie ludzi bez żadnego sensownego powodu jest niegodziwe i niemoralne. Ci, którzy to praktykują, nie zasługują na żadną litość.

- Generale, mówiono mi, że ludy tego kontynentu, gdy prowadzą wojnę, mają do niej równie słuszne powody.

- Jakie powody? Że jakiś polityczny awanturnik chce objąć swym panowaniem więcej istot ludzkich, zagrabic ich bogactwa czy zmusić do wyznawania swoich przesądów? Albo wymordować innych ludzi, by jego naród mógł zająć ich ziemię?



- Co w takim razie z tymi, którzy się bronią przed takim atakiem? My, demony, nie prowadzimy wojen, lecz uznajemy prawo do samoobrony.

- To zwykła wymówka. Oba narody rozpoczynają wojnę, oskarżając się wzajemnie, że właśnie druga strona zaatakowała. Jest to oczywisty absurd, choć najdokładniejsze nawet śledztwo nie ujawniłoby pewnie prawdy. No a jeśli nawet któryś z tych bladolicych narodów teraz się broni, można być pewnym, że w przeszłości sam napadał na sąsiadów.

Zamilkł na chwilę.

- Nie, jedynym uzasadnionym powodem zabicia innej istoty ludzkiej jest chęć zjedzenia jej. Jedyną sensowną rzeczą, którą można w tym celu zrobić, jest spędzenie do kupy całej tej krnąbrnej bandy, zasolenie jej, a wreszcie zjedzenie. My, Paaluanie, nie wywołujemy wojen, z czego wynika, że jesteśmy bardziej moralni niż bladolicy. Jest więc słuszne i właściwe, że wykorzystujemy ich w ten sposób.

Tu uznał chyba, że starczy wyjaśnień, gdyż zmienił temat.

- Lecz dość już, demonie. Skazaliśmy cię na śmierć, którą normalnie wykonuje się przez dekapitację. Charondas powiedział mi jednak, że demony mają bardzo twardą skórę, więc zwykły miecz czy topór najprawdopodobniej jedynie by cię zranił. Czy możesz nam coś zaproponować?

- Tak jest, generale. Zamieńcie wyrok na banicję na mój plan.

- Cha, cha, bardzo zabawne. - Ulola zamienił parę słów z Charondasem, który odpowiedział coś po paaluańsku, a następnie zwrócił się do mnie:

- Generał rozkazał mi zbudować maszynę do obcinania głowy. Ona się z tobą załatwi, demonie. Parę godzin powinno mi wystarczyć. A więc do rychłego zobaczenia.

Kilku żołnierzy zaniosło mnie z powrotem do zagrody; zostałem wrzucony do środka, a oni ponownie stanęli na warcie. Był to jeden z najbardziej nieprzyjemnych dla mnie dni na Pierwszym Planie. Łączył obawę z nudą. Nikt nie podał mi wody ani nie zrobił nic, by ulżyć mi w niedoli. Nie miałem też żadnej nadziei na ratunek ze strony Hruntingów, gdyż Hvaednir zdecydował się czekać, dopóki nie dostarczę podpisanej umowy z Ir.

W tych warunkach nie miałem nic lepszego do roboty, jak zapaść w drzemkę. Zaczynałem mieć dość tego zamykania mnie i traktowania w sposób okrutny.

Wczesnie rano następnego dnia jeszcze raz zaniesiono mnie przed namiot generała. Banda Paaluańczyków zajmowała się ostatnimi poprawkami w maszynie Charondasa. W jej skład wchodził, przede wszystkim, typowy pień katowski do ścinania głowy, z wycięciem na szyję i podbródek ofiary. W odległości pięciu metrów stała masywna drewniana rama, w której z jednej strony był osadzony inny pniak. Jego dolny koniec zaopatrzono w krótką oś mogącą się obracać między parą mocnych, pionowych słupków. W górnym końcu osadzono potężne ostrze

wyglądające jak topór, lecz kilka razy większe. Kowale paaluańscy musieli pracować całą noc, by skończyć ten element na czas.

Ustawiona za pieńkiem i jego podstawą wysoka drewniana konstrukcja o trzech nogach zapewniała podparcie krążkowi, przez który przechodziła lina utrzymująca pieńek w niemal pionowej pozycji. Zwolnienie liny sprawiłoby, że pieńek upadłby do przodu, uderzając ostrzem w pieńek z głową ofiary - prawdopodobnie dostatecznie silnie, by go rozłupać na pół. Ta maszyna mogłaby pozbawić głowy mamuta.

Gdy Paaluańczycy przywlekli mnie do pieńka i ułożyli na nim, zawołałem do generała Uloli, stojącego wraz z oficerami w pobliżu:

- Panie, pozwól mi powiedzieć, że naprawdę uważam całą procedurę za wielce niesprawiedliwą i nieroztropną. Wczoraj nie miałem czasu, by przedstawić swoje argumenty w logicznym porządku, lecz jeśli pozwolisz mi wyjaśnić wszystko, jestem pewny, że przekonam cię...

Generał Ulola powiedział coś do Charondasa, który zaśmiał się i zwrócił się do mnie:

- Zdimie, generała zdumiewa istota, która na chwilę przed utratą głowy ciągle jeszcze potrafi używać logicznych wybiegów.

Charondas rzucił jakiś rozkaz innemu Paaluańczykowi, a ten podszedł do wysokiego trójnogu z toporem. Zrozumiałem, że ma przeciąć linę, która powstrzymywała pniak przed spadnięciem. Ulola podniósł rękę, by dać mu znak.

Nim jednak generał zdążył opuścić rękę, zagrzmiął ryk mamuta. Po nim nastąpiło więcej ryków, rozległy się gwizdy, łomot w bębny i ogólny rwetes. Paaluańczycy, krzycząc, biegali we wszystkie strony. Niektórzy przechodzili obok, wciągając na siebie zbroje. Również generał pobiegł. Smokojaszczury, kołysząc się, mijały mnie z uzbrojonymi ludźmi na grzbietach.

Byłem związany, nie mogłem więc obserwować, co się tak naprawdę dzieje. Zrozumiałem jednak, że Hvaeदनir musiał zmienić zdanie i zaatakował obóz.

Hałas narastał. Mogłem rozróżnić uderzenia oręża i krzyki ranionych ludzi. Po jakimś czasie gwar zaczął ustępować, jakby bitwa oddalała się od obozu. Czy Hvaeदनir został odparty?

Lecz harmider znowu się nasilił, tym razem z innego kierunku. Blisko mnie przebiegło kilku Paaluańczyków. Za nimi pokazali się ludzie w strojach novariańskich żeglarzy. Przemknęli obok i zniknęli.

Paru jednak zwolniło. Jeden z nich, w mundurze oficera, zawołał:

- A cóż to takiego, do dziewięciu piekieł?

- Panie, pozwól, że ci wytłumaczę. Nazywam się Zdim, jestem demonem na służbie syndyków miasta Ir. Z kim mam zaszczyt rozmawiać?

- Dobra, co ty tu robisz? O, już widzę; ludożercy chcieli cię skrócić o głowę. Hej, Zorko! Nie dotykaj tej liny! Chodź tutaj i przetnij więzy temu czemuś. Jeśli był wrogiem kanibali, to musi być naszym przyjacielem.

Żeglarz przeciął linę, która mnie krepowała. Rozcierając kończyny, by odzyskać krążenie, ponownie zapytałem o imię wybawcy.

- Jestem Diodis, naczelny admirał Zolonu - odparł oficer. Wiedziałem, że naczelny admirał był głównodowodzącym na tej wyspie. - Wyjaśnienia trwałyby za długo, muszę iść do przodu z moimi ludźmi.

- Panie - powiedziałem - byłbym szczęśliwy, jeśli łaskawie pożyczyłbyś mi jakąś broń. Mógłbym wtedy odegrać pewną rolę w całej tej sprawie. Paaluńczycy nie dali mi żadnego powodu do miłości.

- Lepiej, żebyś się nie zapuszczał do pierwszej linii, gdyż któryś z naszych mógłby cię zabić ze zwykłej niewiedzy. Już wiem! Zostaniesz ze mną jako moja straż przyboczna, co? Idziemy! - rzucił i pobiegł do głównej bramy.

Podążyłem za nim. Jego szorstki i pełen autorytetu sposób wypowiedzania się uniemożliwiał sprzeciw. Wspięliśmy się na wieżę obserwacyjną, która stała przy głównej bramie. Uzyskaliśmy stamtąd wspaniały wgląd w sytuację na polu bitwy. Gońcy zaś ciągle wchodzili do naszego orlego gniazda i zbiegali w pośpiechu po drabinie.

Przed nami rozciągał się wyjątkowy widok. By uniknąć nieścisłości, pozwólcie, proszę, że opowiem o bitwie korzystając z tego, o czym się dowiedziałem już po jej zakończeniu.

Zlikwidowawszy piratów Algarthu, flota zolońska pożeglowała najpierw do Chemnis, by otrzymać zapłatę od Syndyków i wrócić do Zolonu. Kiedy tam przyплыnęli, zobaczyli, że port jest wypełniony dziwnie wyglądającymi statkami. Niewielka załoga złożona z nagich czarnych ludzi ostrzelała ich z luków, gdy tylko się zbliżyli. Admirał zolońskiej floty rozkazał przypuścić atak i wkrótce zajęto wszystkie obce okręty.

Domyślił się również, że główne siły Paaluńczyków pomaszerowały w górę Kyamos, by zdobyć Ir. Uformował więc flotyllę z płaskodennych statków, zarówno zolońskich, jak i paaluńskich, na które załadował uzbrojonych ludzi i popłynął w górę Kyamos. U ujścia Vomantikon, która nie nadawała się do nawigacji, zakotwiczyli i pomaszerowali wzdłuż rzeki.

Zwiadowcy Hruntingów wypatrzyli ich i wodzowie zażądali wyjaśnienia, jaki jest cel przybycia nowych sił. Gdy koczownicy zorientowali się, że Zolonowie mają zamiar przełamać oblężenie Ir, zdecydowali, że jeśli chcą uzyskać jakąkolwiek zapłatę za swój długi marsz, muszą zaatakować Paaluńczyków, zanim Zolonowie będą w stanie to uczynić. Choć siły Zolonów były niewielkie w porównaniu z naszymi, ich nieoczekiwany atak mogłyby rozgromić kanibali. A wtedy

Iriańczycy mieliby prawo odmówić Hruntingom nawet jednego pensa zapłaty, uważając, że ci nie zrobili niczego, by na nią zasłużyć.

Wodzowie Hruntingów nie byli jednak w gorącej wodzie kąpani. Pięciuset Iriańczyków, przybyłych do obozu, wysłano najpierw na przynętę. Towarzyszyło im kilka setek jeźdźców hruntingskich, których zadaniem była ochrona piechurów przed okrażeniem. Iriańczycy zaatakowali paaluański obóz i pozwolili, by ich odepchnięto. Porwana zapalem armia paaluańska - na smokach, skoczkach i pieszo - wyszła z obozu.

Gdy tylko znaleźli się poza wałami, Yurog rzucił zakłęcie chłodu. Z góry powiał lodowaty wiatr. Nie tylko popsuł szyki nagim ludożercom, lecz także sprawił, że smoki zaczęły się coraz wolniej poruszać, aż wreszcie zatrzymały się jak mechaniczne zabawki, w których sprężyny rozkręciły się do końca. Wyglądały jak szare, kamienne posągi rozrzucone po całej równinie, niektóre zamarły w połowie kroku, z jedną nogą uniesioną w powietrzu.

Wtedy przez wzniesienia rozdzielające oba obozy przeszła reszta armii Hruntingów, z wielkim oddziałem mamutów w środku. Zimno nie było żadną przeszkodą dla Shvenitów w futrach i kozuchach z owczych skór, a tym bardziej dla mamutów pokrytych długim włosiem.

W tym czasie Zolonowie weszli do niemal całkiem pustego obozu Paaluańczyków, wymiatając paru kanibali, którzy się w nim jeszcze znajdowali. Następnie żeglarze przeszli przez główną bramę, by uderzyć na wroga od tyłu.

Lecz ludożercy, mimo dziwnych zwyczajów, byli wyjątkowymi wojownikami. Ich smoki mogły zostać unieruchomione, kawaleria na skoczkach mogła ulec rozproszeniu jak plewy, ciała mogły pokrywać całą równinę, a tych, co jeszcze żyli, mogły otaczać przeważające siły wroga. Mimo to ci, którzy przeżyli, sformowali rozległy kwadrat z pustą przestrzenią w środku, najeżony pikami ze wszystkich stron, i bronili się zajadle.

Z wnętrza kwadratu łucznicy wypuszczali jedną po drugiej strzały, a oszczepnicy rzucali dziirtami. Odpierali atak po ataku, nieważne - piechurów, konnicy czy mamutów. Po każdym ataku przed nieruchomymi rzędami pikinierów pozostawały coraz większe sterty ciał. Wokół kwadratu uwijali się na koniach łucznicy z armii Hruntingów, szyjąc strzałami w gęste szeregi, lecz gdy któryś z Paaluańczyków upadł, jego towarzysze z tyłu natychmiast wypełniali lukę.

Zdziwiłem się, że pierwsza szarża mamutów nie przeszła przez kanibali i nie rozproszyła ich, lecz później dowiedziałem się, jak sobie z nią poradzili. Gdy włochate potwory powłócząc nogami szły przed siebie, niosąc na barkach skórzane osłony mające je zabezpieczyć przed cięciami mieczy, paaluańscy czarownicy wysłali przeciwko nim uludy latających potworów. Prerażone mamuty zawróciły, piszcząc i trzęsąc się ze strachu.

Stojący na wieży obok mnie admirał Diodis cały czas na przemian to przeklinał, to się modlił. Gońcy wpadali i wypadali. Rozkazy admirała brzmiały bardzo chaotycznie.

- Każ kapitanowi Furio, by przerzucił ludzi z lewego skrzydła na prawe!
- Zevatasie, królu bogów, pomóż swym wdzięcznym wyznawcom...
- Na mosiężny zadek Vaisusa, bliżej! Na nich, nie będą mogli użyć pik!
- O Frando, matko bogów!
- Powiedz kapitanowi Omphes, żeby się zwawiej ruszał, jeśli nie chce później dyndać...

\*\*\*

W pewnym momencie nadciągnęła jeszcze jedna armia. Tworzyli ją wychudzeni, bladzi ludzie z Ir. Przebiegli truchtem przez paaluańskie obozowisko, minęli naszą wieżę i wybiegli na pole bitwy. Ich trąbki ostrzegły Zolonów, by zrobili przejście. Gdy ci rozstąpili się, Iriańczycy wpadli w lukę nie przerywając biegu.

Iriańczycy uderzyli na kwadrat z taką furją, że nic nie mogło ich powstrzymać. Ludzie wspinali się po ciałach swych towarzyszy, byle tylko dorwać wroga. Gdy połamali dzidy, walczyli mieczami, gdy stracili miecze, złapali za sztylety, gdy i tych zabrakło, drapali paznokciami i gryźli. W mgnieniu oka przerwali kwadrat i włali się do środka, zabijając Paaluańczyków od tyłu.

W tym samym czasie wreszcie powiodła się druga szarża mamutów. Czarownicy w środku kwadratu byli nazbyt zajęci mającą tam miejsce rzezią, by móc rzucić jeszcze jedno zaklęcie. Zwierzęta wbiły się w cizbę nieprzyjaciół, poruszając głowami na boki. Przy każdym ruchu potężne kły trafiały na jednego czy dwóch ludożerców i wyrzucały ich w powietrze.

Podniósł się tak gęsty kurz, że nie można było nic dostrzec. Jednak powoli, jeden po drugim, zaczęli się z niego wynurzać paaluańscy uciekinierzy. Biegli przez równinę, porzucając broń i zbroje. Za nimi pojawili się jeźdźcy Hvaednira, strzelając z luków i rzucając dzidami.

Z siedmiu tysięcy Paaluańczyków, którzy pomaszerowali wzdłuż Kyamos, niewiele ponad sześć tysięcy zaczęło bitwę. Reszta zginęła podczas oblężenia bądź zmarła wskutek chorób. Większość z tych sześciu tysięcy padła na polu bitwy, gdyż nie brano żadnych jeńców. Kilku uciekło, lecz w żaden sposób nie mogli przekroczyć Oceanu Zachodniego; zostali wyłapani i zabici w ciągu paru miesięcy.

Największe straty ponieśli Paaluańczycy, gdy Iriańczycy przerwali kwadrat i cała formacja zaczęła pękać. Natomiast z armii niemal dziesięć tysięcy ludzi, którzy walczyli z kanibalami tego dnia, zaledwie kilkuset zostało zabitych bądź zmarło na skutek odniesionych ran. Była to duża liczba, lecz jednak niewielka procentowo w stosunku do strat poniesionych przez nieprzyjaciela. Takie różnice w liczbie ofiar, jak mi powiedziano, nie są niczym niezwykłym podczas bitew na

Pierwszym Planie, gdyż tłum uciekających ludzi może być łatwo i bezpiecznie wyróżniony przez goniących.

Aby być dokładnym, dodam, że wzięto jednego jeńca: na polu bitwy znaleziono rannego generała Ulolę. Bystry oficer iriański powstrzymał żołnierzy przed zabiciem go, co było regułą w stosunku do innych ludożerców. Zamiast uśmiercić go od razu, Iriańczycy poświęcili resztę dnia na proces i wydanie oficjalnego wyroku.

Generał Segovian był naczelnym sędzią. Renegat Charondas rozważnie gdzieś zniknął, więc nie było tłumacza, który mógłby pośredniczyć między nami a generałem. Próbował nam jednak coś powiedzieć w gwałtownej lecz niezrozumiałej przemowie. Moje witki mówiły mi o kipiącym w nim słusznym oburzeniu, że miał zostać ukarany za czyny, które uważał za prawe i właściwe.

Został uznany za winnego i, mimo oporu i głośnych protestów, umieszczono go na pieńku przygotowanym dla mnie. Jakiś Iriańczyk przeciął linę, pieńek z ostrzem spadł, ciach, i generał Ulała został pozbawiony głowy.

Było mi trochę przykro. Gdyby został oszczędzony, mógłbym się nauczyć jego języka. W czasie naszej rozmowy podniósł pewne interesujące problemy filozoficzne na temat moralności ludożerstwa. Chętnie przedyskutowałbym to dokładniej. Przecież mnie też zdarzało się jeść Pierwszoplanowców, nawet jeśli nie polowałem na nich z myślą o spożyciu. Ale cóż, istoty ludzkie nie doceniają problemów teoretycznych.

Bitwa miała jeszcze jeden dziwaczny skutek. Smoki zostały zamrożone zaklęciem Yuroga, ale nie trwało ono wiecznie. Nasi zwycięscy wojownicy zapomnieli z kretelem o zamienionych w posagi gadach. Te zaś zaczęły po pewnym czasie tajać i poruszać się. Dowódcy rozkazali swym ludziom natychmiast pozabijać potwory. Udało się to z większością, lecz część, pozbawiona opieki paaluńskich panów, uciekła z pola bitwy. Niektóre zostały później upolowane. Słyszałem jednak plotki, że smokojaszczury zamieszkały w wielkich bagnach Moru na południu Xylaru, gdzie klimat jest dostatecznie łagodny, by mogły przeżyć.

## XI - Książę Hvaednir

Przeczytałem wiele z wymyślanych przez Pierwszoplanowców opowieści. Powstają one dla rozrywki innych ludzi, a określane są słowem “beletrystyka”. Nic podobnego nie istnieje na naszym Dwunastym Planie, gdyż jesteśmy zbyt logicznym i traktującym wszystko w sposób dosłowny gatunkiem, by czerpać z nich przyjemności. Muszę jednak wyznać, że upodobałem je sobie, choć inne demony patrzą na mnie krzywo, jakbym się uzależnił od jakiegoś niebezpiecznego narkotyku.

W tych wymyślonych opowieściach, zwanych “historiami”, ludzie-autorzy zakładają, że punkt kulminacyjny opowiadania musi rozwiązać wszystkie postawione problemy i doprowadzić do przyjemnego i miłego zakończenia. W mojej historii takim momentem byłaby bitwa pod Ir. Nasz bohater powinien wtedy poślubić swą ukochaną, łajdacy winni ponieść zasłużoną karę, a główne postacie, tak się zakłada, będą wieść od tej chwili szczęśliwe życie do końca swoich dni.

Jednak w prawdziwym świecie jest trochę inaczej. Po bitwie ci, co nie zginęli, wiedli życie jak uprzednio, ze zwykłymi wzlotami i upadkami. Czasem czerpali korzyść ze swych zalet, czasem cierpieli wskutek błędów. Nieprzewidywalne koleje losu wynosiły ich wysoko bądź strącały na sam dół, niezależnie od zasług.

Książę Hvaednir doglądał, by ranni w bitwie uzyskali właściwą opiekę lub by podcięto im miłosiernie gardło, jeśli nie było nadziei, że przeżyją. Do księcia podszedł generał Segovian i coś powiedział, lecz nie mogli się zrozumieć. Hvaednir rozejrzał się za Shnorrim. Nie mogąc go znaleźć, spojrzał na mnie, który stałem u boku admirała Diodisa. Admirał zajmował się podobnymi sprawami. Hvaednir zawołał:

- Hej, Zdimie! Chodź tu i przetłumacz!

- Proszę o wybaczenie, panie admirale - zwróciłem się do swego towarzysza - lecz książę Hvaednir potrzebuje mnie.

- Czy to jest dowódca Hruntingów? - zaciekał się admirał. - Chciałbym z nim zamienić parę słów.

Dokonałem oficjalnej prezentacji między trzema wodzami, służąc równocześnie za tłumacza. Gdy wymieniono grzeczności, Hvaednir spytał:

- Czy mogę coś zrobić dla pana, generale?

- Żywność - odpowiedział Segovian. - Iriańczycy głodują.

- Musicie więc ją dostać. Admirale, co możemy zrobić w tej sprawie?

- Mamy zapasy żywności na pokładzie okrętów. A wy?

- Dorównujemy wam pewnie zapasami, które mamy w obozie. Lecz po dzisiejszym dniu nie wiem...

- Za pozwoleniem, książę - odezwał się admirał. - Macie w armii wielu wspaniałych jeźdźców. Dlaczego nie rozesłać ich we wszystkie strony z wiadomością o zwycięstwie? Razem z nią mogą informować farmerów czy handlarzy żywnością, że jeśli chcą szybko zarobić, powinni ładować na wozy wszystko, co mają do jedzenia i pośpieszyć do Ir.

Hvaednir skrzywił się.

- Odwoływanie się do prymitywnej żądzy zysku nie jest sposobem rozwiązywania problemów używanym przez nas, lecz myślę, że lepiej znacie swoich Novarian.

Admirał prychnął.

- Prymitywna żądza zysku, zaiste! Możecie mnie wysłać na dno, jeśli nie przynosi ona świetnych wyników.

I rzeczywiście. Na drugi dzień po bitwie objuczone osły i trzeszczące wozy zaczęły przybywać z Solymbrii, Metouro i Xylaru. Jak udało im się pokonać tę odległość w tak krótkim czasie, nie mam pojęcia. Niektórzy musieli pędzić zwierzęta przez całą noc.

Hvaednir i admirał zgodzili się rozdzielić żywność ze swych zapasów, by każdemu Iriańczykowi zapewnić przynajmniej jeden dobry posiłek. Generał Segovian powiedział:

- Książę, dlaczego nie wjedziesz do miasta jeszcze dziś wieczorem, by wdzięczni ludzie mogli ci wyrazić swe uznanie?

Hvaednir spojrzał na zbroję pokrytą kurzem i krwią.

- Co, w tym stanie? To znaczy, mój drogi panie, chodzi mi o to, że jestem zbyt zmęczony. Jutro zrobię to z przyjemnością. Jednak żywność musi być dostarczona natychmiast.

Pożegnałem się z admirałem i wróciłem z księciem Hvaedniem do obozu. Shnorri, który został lekko ranny w ramię, znalazł się tam przed nami. Hvaednir klepnął kuzyna po ramieniu, na co ten jęknął.

- Do cholery! - warknął Shnorri. - Teraz zacznie znowu krwawić.

- Przepraszam. Nie sądziłem... - Hvaednir spieszył się na moment. - Ale bitwa była w porządku, no nie?

- Gdybyśmy nie musieli walczyć z Gendingami za rok... Jakie straty?

- Och, ty zawsze się martwisz. Wina! Gdzie do diabła jest ta leniwa służba? No, wreszcie! Wina, a żywo!

Gdy przyniesiono mu puchar i butelkę, wychylił wino do dna.

- Wiesz, kuzynie, podoba mi się ten południowy kraj. Pomyśl, że przez okrągły rok można tu pić prawdziwe wino, a nie to nasze, gorzkie, stepowe piwo!



- Novaria latem jest dla mnie nazbyt gorąca - odpowiedział Shnorri zalewając się potem.

Hvaednir kazał przynieść posiłek dla nas trzech do namiotu, lecz pił dalej w tempie, które zwiastowało kłopoty. I rzeczywiście, nie minęła godzina od zachodu słońca, gdy złotowłosego księcia zaczął wygłaszać myśli, które istota roztropna zatrzymałaby dla siebie.

- Dlaczego, do dziewięciu piekieł - narzekał - mam wiecznie czekać na śmierć tego starucha, gdy sam mogę stworzyć własne państwo? Na początek wystarczyłoby parę setek krzepkich wojów, by zabrać Ir tym tchórzliwym ciułaczom pieniędzy...

- Nie zauważyłem podczas dzisiejszej bitwy, by ludzie Segoviana byli tchórzami - wtrącił się Shnorri.

- Och, daj spokój! Śmiem twierdzić, że mógłbym ich wdrożyć do właściwej nomadom dyscypliny. Może nawet zrobiłbym z nich wojowników. A dlaczego nie? Czyż nie jestem zwycięzcą w największej bitwie naszych czasów? Bardowie będą o niej śpiewać. Na brodę Greipneka, po tak dobrym początku mogę zostać większym zdobywcą niż Heilsung Niezwyciężony...

Shnorri zwrócił się do mnie:

- Zdimie, lepiej idź do swego namiotu. Zobaczymy się o świcie.

Wyraźnie nie chciał, bym słuchał wynurzeń kuzyna. Powiedziałem więc "dobranoc" i wróciłem do swej siedziby, gdzie zatopiłem się w myślach. Uznałem, że powinienem wyslizgnąć się z obozu pod osłoną ciemności, pójść do Ir i ostrzec syndyków przed zaborczymi ambicjami Hvaednira.

Gdy doszedłem do tego wniosku, odkryłem, że przed moim namiotem stanął strażnik. Nie zdeprymowało mnie to jednak, gdyż uznałem, że w ogólnym rozprężeniu po bitwie dyscyplina nie będzie zbyt surowa. Normalną koleją rzeczy wartownik powinien się upić, pójść sobie albo zasnąć. Musiałem tylko odczekać godzinkę lub dwie...

\*\*\*

Gdy się obudziłem, słońce wpadało do wnętrza przez wejście namiotu, a Shnorri potrząsał mną.

- Wstawaj, leniu! - wydierał się na mnie. - Zaraz zacznie się wielka parada do Ir, lud chce nam wyrazić swą wdzięczność. Pójdiesz jako tłumacz przy Hvaednirze, ja będę miał dostatecznie dużo obowiązków.

Otrząsnąłem się wreszcie ze snu. Przespałem dokładnie ten czas, w którym miałem dotrzeć do Ir, by ostrzec mieszkańców. Chociaż było to z mej strony wielkie niedopatrzenie, niech

wytłumaczeniem będzie fakt, że nie miałem okazji do snu przez dwa dni i dwie noce. Zapytałem Shnorriego, który wciąż trzymał rękę na temblaku:

- Książę, a co z planami podbicia Ir i ustanowienia go bazą do zbudowania przyszłego cesarstwa, które dzisiejszej nocy snuł Hvaednir?

- Eee! Przemawiało przez niego słodkie novariańskie wino. Wyperswadowałem mu tę głupotę. Obiecał mi, że jeśli Ir dotrzyma umowy, to i on jej nie złamie.

- Zachowywał się jak młodziak. Co w niego wstąpiło?

- Myślę, że wczorajsze zwycięstwo uderzyło mu do głowy, przecież po raz pierwszy samodzielnie dowodził armią. Na stepie chan trzyma go krótko. Jestem, pewny, że wszystko będzie w porządku.

- Szkoda, że to nie ty jesteś sukcesorem. Przecież jesteś od niego znacznie mądrzejszy.

- Cicho, demonie! Takie myśli zasługują na karę, choć dziękuję ci za komplement. Hvaednir nie jest głupi, raczej rozpuszczony. Ma przeciętny rozum, ale jest znacznie bardziej przystojny niż ja. A to się liczy wśród Shvenitów. Poza tym jest znacznie bardziej sprawny niż ja; jestem zbyt gruby, by poprowadzić szarżę jazdy. Lecz dość tego gładzenia. Ogarnij się i dołącz do nas.

\*\*\*

Przemaszerowaliśmy przez pole bitwy i obóz Paaluńczyków, który był już niemal całkowicie rozebrany, i weszliśmy do Wieży Ardymana. Wspięliśmy się po szerokiej krętej rampie i weszliśmy przez główną bramę, po raz pierwszy od dwóch miesięcy szeroko otwartą. Podwórzec w środku rozbrzmiewał hałasem wywoływanym przez robotników naprawiających wielkie zwierciadło, które było uszkodzone, lecz nigdy nie zostało całkowicie zniszczone pociskami miotanymi z katapult przez oblegających.

Syndykowie wyszli nam na spotkanie w komplecie, od dziś z Jej Ekscelencją Roską sar-Blixens. Główny Syndyk Jimmon - trochę chudszy, lecz ciągle jeszcze zaokrąglony - wystąpił z przemową. Odczytał ją z arkusza pergaminu i wręczył Hvaednirowi symboliczne klucze do miasta. Gdy formalności dobiegły końca, Jimmon odezwał się do mnie:

- Witaj, drogi Zdimie! Masz z pewnością fascynującą opowieść, z którą nas zapoznasz po całej tej ceremonii, co? A teraz, książę, zaplanowaliśmy godną ciebie trasę parady. Przejdziemy wzdłuż alei Ardymana, następnie skęcimy w prawo...

Weszliśmy do podziemnego miasta, gdzie jedyne oświetlenie zapewniały promienie słoneczne odbijane przez kolejne zwierciadła. Na przodzie, w rytm bębnow, maszerowała kompania uzbrojonych po zęby Hruntingów, następnie Shnorri z dwoma wodzami i kilkoma

syndykami, potem znowu wojownicy. Za nimi postępowali Hvaednir, Jimmon i reszta wodzów, dalej admirał Diodis z grupą marynarzy i tak dalej. Jimmon szedł po jednej stronie Hvaednira, ja po drugiej. Hvaednir wystroił się w najbardziej okropny strój, jaki można było znaleźć w garderobie Hruntingów. Miał na sobie złoty hełm ze skrzydłami, białą, przetykaną złotą nicią płócienną tunikę oblamowaną futrem i wysadzany klejnotami miecz. Wyglądał niczym jakiś bóg Pierwszego Planu.

Zadowoleni z pierwszego dobrego posiłku od początku oblężenia, pełni entuzjazmu Iriańczycy pozdrawiali nas gorąco. Odbijające się w zamkniętym pomieszczeniu dźwięki wywoływały niemal wrażenie bólu w uszach. Cały czas wypatrywałem okazji do wymknięcia się i ostrzeżenia syndyków przed Hvaednirem, lecz bezskutecznie.

Parada zakończyła się przed Salą Gildii, którą wypełniali urzędnicy gildii i większość kupców. Przez trzy godziny wysłuchiwałem przemówień i tłumaczyłem z novariańskiego na shvenski, i w drugą stronę. Jimmon przemawiał najdłużej, Hvaednir najkrócej. Wszystkie mowy były stekiem wytartych frazesów: “Śmiertelne niebezpieczeństwo... wspaniali sojusznicy... krwiożerczy barbarzyńcy...nieśmiertelna ojczyzna... dzielni wojownicy... godzina potrzeby... szlachetni przodkowie... nieustraszeni bohaterowie... okrutni wrogowie... wieczna przyjaźń... nieśmiertelna wdzięczność...” i tak dalej w tym stylu.

Gdy wreszcie cała ta gadanina skończyła się, publiczność powstała wiwatując. Następnie syndykowie, admirał Diodis, generał Segovian, Hvaednir, Shnorri i ja weszliśmy do jednej z mniejszych sal na kolację. Tak wiele wygłaszano podczas niej komplementów na temat Hvaednira, że zamiast jeść musiałem niemal cały czas tłumaczyć.

Hvaednir jadł i pił bez umiaru, głównie jednak pił. Na początku zachowywał się przy stole zgodnie z prymitywnymi obyczajami stepu, lecz Shnorri tak długo szturchał go w bok, aż wreszcie księżę zaczął naśladować maniery Novarian.

\*\*\*

Gdy uczta dobiegła kresu, Hvaednir odchrząknął, podniósł się i przemówił:

- Wasze Ekscelencje! W imieniu mego kuzyna, księcia Shnorriego, i mym własnym chęć, ehm... z serca podziękować za wspaniałe przyjęcie i za wszystkie zaszczyty, którymi nas obdarzono dziś rano.

Teraz musimy jednak wrócić do problemów życia codziennego. Wasz posłaniec, czcigodny Zdim, pokonał śmiertelne niebezpieczeństwa, by dotrzeć do głównego obozu Hruntingów i przekonać nas, byśmy wysłali armię na tę wyprawę. Zdim zaczął podróż z pisemną ofertą rekompensaty, lecz dokumenty zabrali mu jaskiniowcy z Ellornas. Jednak zapamiętał warunki i po zwyczajowych targach osiągnęliśmy ustne porozumienie.

Gdy dotarliśmy do Kyamos, wysłaliśmy Zdima, by przekradł się do miasta, uzyskał potwierdzenie umowy na papierze i wrócił z waszymi podpisami. Brak szczęścia sprawił, że ponownie stracił dokumenty i mało brakowało, by stracił również głowę.

Jednak nie wszystko przepadło. - Hvaednir wyciągnął z wyszywanej tuniki obydwu, choć trochę podniszczone egzemplarze umowy, którą spisaliśmy w obozie w nocy przed bitwą. - Znaleźliśmy je w obozie ludożerców. Jestem pewny, że uznając zasługi dzielnych wojowników Hruntingów dla uratowania waszego miasta, nie będziecie się sprzeciwiali podpisaniu umowy teraz, by zgodnie z nią zapłacić nam naszą należność.

Uśmiech, który na ogół gościł na krągłej twarzy Jimmona, nagle się rozplynął.

- Hm. Oczywiście, szlachetny panie, nikt nawet nie śmiałyby pomyśleć o powstrzymaniu się od sprawiedliwego wynagrodzenia naszych bohaterskich zbawców. Lecz czy mógłbym zobaczyć, jakie były warunki umowy?

Hvaednir wręczył jeden egzemplarz Jimmonowi. Drugi dał Shnorriemu, mówiąc:

- Przeczytaj to na głos, kuzynie, gdyż lepiej mówisz tym językiem i czytasz z większą biegłością niż ja.

Gdy Shnorri skończył, Jimmon wstał, kręcąc młynka powiększającym szkłem używanym do czytania. Rozpoczął od kolejnego panegiryku na cześć Hruntingów.

- Lecz - ciągnął - musimy również uwzględnić pewne fakty. Miasto straszliwie ucierpiało podczas okrutnego oblężenia i nasze fundusze zostaną bardzo nadwężone naprawami. Jest również faktem, niezależnie od dzielności i męstwa okazanego przez Hruntingów, że nie tylko oni brali udział w walce. Również wspaniali marynarze admirała Diodisa mieli duży udział w bitwie, że nie wspomnę o samych Iriańczykach.

Dalej, szlachetny księżu, jest również prawdą, że nie ciąży na nas żadne zgodne z prawem zobowiązania, gdyż rozpatrywana rękojmia nie została podpisana przed bitwą. Oczywiście, jestem przekonany, że wspaniałomyślność i dobra wola stron zapewnią nam możliwość polubownego załatwienia całej sprawy i dojdziemy do porozumienia...

Na bogów Ning, pomyślałem, czy ten głupiec ma zamiar wykręcić się od zapłaty koczownikom, gdy ci mają go całkowicie w rękach?

- ...i dlatego, drodzy przyjaciele i nasi szlachetni towarzysze, jestem przekonany, że zgodzicie się ze mną co do konieczności... hm... dopasowania tych żądań do rzeczywistości.

- Co proponujesz? - spytał Hvaednir zduszonym głosem.

- Cóż, jakieś dwa pensy dziennie dla człowieka i nic ekstra za mamuty. Zwierzęta, poza wszystkim innym, wyżarły ze smakiem nasze wspaniałe iriańskie siano...

Twarz księcia Hvaednira stała się purpurowa.

- Ty końskie łajno! Ostatniej nocy obiecałem, że jeśli Ir zachowa się w stosunku do mnie uczciwie, ja postąpię podobnie; lecz jeśli nie, załatwię sprawę po swojemu. Żaden dzielny wojownik ze stepu nie pozwoli, by jakieś papierowe prawo powstrzymało go przed postąpieniem słusznie. Wydaliście sami na siebie wyrok i za to, co nastąpi, sami odpowiadacie!

Dmuchał potężnie w srebrny gwizdek. Dwudziestu Hruntingów wpadło do sali z obnażonymi mieczami w dłoniach; stanęli za biesiadnikami. Roska krzyknęła.

- Jeden fałszywy ruch, a wasze głowy pospadają! - powiedział Hvaednir. - Ogłaszam się królem Ir i innych ziem, które w przyszłości znajdą się pod moim panowaniem. Wodzu Fikken!

- Tak, mój panie?

- Przekaż pozostałym wodzom, by zaczęli realizować plan, który im przedstawiłem ostatniej nocy. Po pierwsze, chcę, by zebrano całe złoto, srebro i biżuterię w Ir, gdziekolwiek by były w tej chwili, i zniesiono je do Sali Gildii. Ogłaszam, że stają się częścią mego królewskiego skarbcza. Zaczniemy od przeszukania tu obecnych, ale... gdzie jest admirał?

Wszyscy kręcili głowami, rozglądając się za nim, dopóki syndyk nie powiedział:

- Prosił o wybaczenie, lecz musiał pójść do wychodka.

- Znaleźć go! - rozkazał Hvaednir.

Paru Hruntingów wypadło na zewnątrz, lecz bez powodzenia. Admirał, czując pismo nosem, wymknął się już z Ir.

Syndykowie, kipiąc z oburzenia, lecz nie śmiać się sprzeciwić, pozwolili, by ich sakiewki zostały opróżnione na stół. Hvaednir zwrócił każdemu miedziaki, a złoto i srebro zgarnął na kupkę.

- Ja... ja proszę o wybaczenie... - odezwała się Roska - lecz zostawiłam portmonetkę w domu.

- Zajmiemy się tym później - powiedział pogodnie Hvaednir. - To dopiero początek, moi drodzy poddani.

Shnorri, ociekając potem, trzymał usta zaciśnięte. Hvaednir rozkazał wszystkim podnieść się i przejść do głównej sali, w której tego ranka wysłuchaliśmy tyłu przemówień. Z zewnątrz dochodziły odgłosy bieganiny i krzyki Iriańczyków, gdy nachodzono i przeszukiwano ich jaskinie-domy. W Sali Gildii zaczęli się wkrótce pojawiać wojownicy uginający się pod ciężarem worków wypchanych monetami i kosztownymi przedmiotami. Opróżniali je wprost na podłogę, a Hvaednir kazał urzędnikom syndyków posortować łup i podliczyć jego wartość.

Tu i ówdzie wybuchały zamieszki, gdyż niektórzy Iriańczycy sprzeciwiali się grabieży. Słyszał było krzyki i szczęk oręża. Przyniesiono paru zranionych Hruntingów, a inni zameldowali, że rebeliantów zabito od ręki.

Syndykowie siedzieli w ponurym szeregu, pilnowani przez Hruntingów. Wymieniali między sobą ciche westchnienia:

- Wiedziałem, że plan Jimmona przyniesie nieszczęście...

- Bzdury! Też za nim głosowałeś ostatniej nocy...

Shnorri skończył rozmawiać z jednym z wodzów, zbliżył się do Hvaednira i zapytał:

- Kuzynie, co chcesz zrobić z naszą armią? Nie możesz tu zatrzymać wojowników, nawet jeśli tego pragnęli, a większość chce natychmiast wracać do Shvenu. Mija lato i śniegi zamkną Ucho Igienne do miesiąca niedźwiedzia.

- Wezwę ochotników, by zostali - odpowiedział Hvaednir. - Reszta może iść do domu, kiedy tylko będą chcieli. Shnorri, ty ich poprowadzisz. Życzę ci, byś zajął moje miejsce jako następcą po Theoriku. Będę miał tutaj ręce pełne roboty.

Shnorri westchnął.

- Rozumiem, że nie mam wyboru. Żałuję teraz, że nie zgodziłem się zostać na Akademii Othomae, gdy mi zaproponowano posadę.

\*\*\*

Hvaednir spędził parę godzin na organizowaniu rządów i wyznaczaniu przyjacielom stanowisk. Gdy skończył, ziewnął od ucha do ucha.

- Madame Rosko - odezwał się - zostawiła pani sakiewkę w domu, jak mi się wydaje. Czy mogę liczyć na pani gościnność?

- Oczywiście, Wasza Królewska Mość.

- To prowadź nas do siebie. Zdimie, ty też z nami pójdziesz, gdyż bez ciebie nie mogłbym porozmawiać z tą piękną damą.

Poszliśmy do domu Roski. Przed nami i za nami szli strażnicy. Niemal przed frontowymi drzwiami do budynku jakiś jęk zwrócił naszą uwagę. Ranny Hrunting leżał w cieniu przy ścianie.

Hvaednir rozkazał strażnikom, by przenieśli rannego do domu Roski. Położono go na sofie, lecz zanim Hvaednir skończył badanie, człowiek zmarł.

- Musiał go zakłuć jakiś Iriańczyk, który nie chciał oddać złota - stwierdził Hvaednir. - Nie możemy puścić tego płazem, lecz nie bardzo wiem, jak znaleźć winowajcę.

Przez chwilę się zastanawiał i wreszcie rozkazał strażnikowi:

- Idź, sprowadź mego kuzyna, księcia Shnorri. Muszę się z nim naradzić.

Poleciał też wystawić wartę przed domem. Przez popękane drzwi bojaźliwie zaglądali do środka służący Roski. Hvaednir zasiadł w fotelu, zdjął złoty hełm i wysadzany klejnotami pendent, po czym podrapał się po czole.

- Na nos Greipneka, ale jestem zmęczony! - sapnął. - Myślę, że przeniosę stolicę królestwa do bardziej normalnego miasta. Przebywanie w tej zachwalanej jaskini przyprawia mnie o dreszcze.

- Jeśli chodzi o moją sakiewkę... - zaczęła Roska, lecz Hvaednir podniósł rękę.

- Nie śmiałybym nawet pomyśleć o ograbieniu tak wspaniałej damy. Możesz zatrzymać drogocенności. Lecz czy mogę prosić o kielich wina?

- Awad! - krzyknęła w odpowiedzi.

Smagły Fediruni wślizgnął się nieśmiało do pokoju. Gdy mnie ujrzał, pod jego czarnym zarostem pojawił się grymas uśmiechu. Roska posłała go po wino, które Hvaednir błyskawicznie wypił wielkimi haustami.

- Potrzebuję przyjaciela wśród Iriańczyków - odezwał się szorstkim głosem. - Wiem, jak wielu obraziło się po dzisiejszych wydarzeniach, choć sami je wywołali. Jednak z upływem czasu mam nadzieję udowodnić, że król z plemienia szlachetnych Hruntingów może rządzić bardziej sprawiedliwie niż ci kochający pieniądze syndykowie.

Wychylił jeszcze jeden puchar i niepewnie się podniósł.

- Rosko, kochanie, czy mogłabyś mnie oprowadzić po swoim domu?

- Oczywiście, Wasza Królewska Mość.

- Chodź więc. Zdimie, możesz zostać. Muszę wypróbować kilka nowych zwrotów novariańskich na naszej uroczej gospodyni. Jeśli mam rządzić Novarianami, wypada mi uczyć się ich języka.

Roska obeszła z Hvaednirem pokój, pokazując mu obrazy, wazy i inne ozdoby. Następnie poszli schodami do góry.

Do pokoju wślizgnął się Awad i uściskał mi dłoń.

- Pan Zdim! Jak to miło zobaczyć pana znowu! Panienska śledziła pańskie przygody w kamieniu i opowiadała nam o niektórych, lecz wolelibyśmy usłyszeć o wszystkim z pańskich ust. Mam nadzieję, że wróci pan tu na służbę?

- Jeszcze nie wiem - odpowiedziałem. - Chciałbym spróbować tego wina. Pochodzi z Vindium, jeśli się nie mylę?

- Tak jest. Ale wróćmy do historii. Opuścił nas pan pierwszego dnia miesiąca orła...

Krzyk z góry przerwał mu. Pierwszą moją powinnością ciągle jeszcze była służba pani Rosce, więc poderwałem się z krzesła i pogałem po schodach, Awad zaś następował mi na pięty.

Po kolejnym krzyku nastąpiło wezwanie Roski:

- Zdim! Ratuj mnie!

Głos dochodził z sypialni. Popędziłem więc w tym kierunku. W komnacie byli Roska i Hvaednir. Roska, w resztkach zdartej z ciała sukni, leżała na wznak na łóżku. Nad nią pochylał się Hvaednir z jednym kolaniem opartym o materac. Książę przytrzymał Roskę jedną ręką, gdy drugą starał się rozpiąć spodnie.

Czytałem o praktyce wśród Pierwszoplanowców zwanej "gwałtem", podczas której osobnik męski spółkuje z kobietą wbrew jej woli. Nie znamy niczego takiego na Dwunastym Planie i zastanawiałem się, jak są rozwiązywane pewne techniczne problemy przeprowadzenia tej operacji, którą większość ludzkich społeczności uważa za przestępstwo.

Otrzymałszy od Roski rozkaz ratowania jej, nie mogłem jednak zaspokoić swej ciekawości, stojąc z boku i obserwując całe zdarzenie z filozoficznym obiektywizmem. Rzuciłem się do wykonania zadania nie zastanawiając się nad wszystkimi jego logicznymi konsekwencjami. Skoczyłem na Hvaednira z tyłu, wbiłem szpony w jego tułów i ściągnąłem z łóżka.

Mężczyzna wyrwał się jednak z mego uchwytu, choć przez to jego tunika i skóra pod nią zostały okrutnie poszarpane, i zdzielił mnie takim ciosem w szczękę, że zachwiałem się na nogach. Jestem pewny, że normalny Pierwszoplanowiec poleciałby przez cały pokój. Zwarlił się ponownie. Próbowałem przegryźć mu gardło, lecz on wsunął mi łokieć pod szczękę i trzymał w ten sposób na dystans.

Zadziwiła mnie siła tego człowieka. Wdawałem się już wcześniej w walkę wręcz z Pierwszoplanowcami i stwierdziłem, że są na ogół słabeuszami. Jednak Hvaednir był prawdziwym gigantem wśród Novarian - wyższy i dużo cięższy ode mnie, miał też wyjątkowo silne mięśnie. Jego siła fizyczna niemal dorównywała mojej, a może nawet była jej równa.

Kręciliśmy się w kółko, ciężko stąpając, szarpiąc się i kopiąc. Żaden z nas nie mógł osiągnąć wyraźnej przewagi. Wtedy wyczułem rękojeść noża wciskaną mi w dłoń. Wbiłem jego ostrze w bok Hvaednira, raz, drugi, trzeci.

Olbrzymi Hrunting zaryczał i szarpnął się w mój uścisk, lecz siły zaczęły go powoli opuszczać. Gdy zwolniłem chwyt, zwałił się na podłogę. Stojący za nim mały Awad wskazał na długi, zakrzywiony sztylet w mej dłoni.

- Mój - wyjaśnił.

- Dziękuję ci - odpowiedziałem, pochylając się nad leżącym przeciwnikiem.

Szybko stwierdziłem, że Hvaednir, niedoszły król Ir, jest martwy. Pani Roska usiadła na łóżku, przykrywając swą nagość prześcieradłem i spytała:

- Na bogów, Zdimie! Dlaczego go zabiłeś?

- Co? Ależ, pani, usłyszałem krzyki o pomoc i dołożyłem wszelkich starań, by wypełnić twój rozkaz. Czyż nie życzyłaś sobie tego?



- Ależ skąd! Nie mogłam jedynie pozwolić, by dostał to, co chciał bez żadnego oporu, lecz coś takiego! To może kosztować życie nas wszystkich.

- Bardzo przepraszam, pani, lecz nikt mnie nie zapoznał z wszystkimi damskimi sztuczkami. Będę się jeszcze lepiej starał.

- Mam nadzieję, mój biedny, drogi Zdimie. Moja tak zwana cnota nie ma znaczenia w tak wielkiej chwili. Jestem przecież wdową i mam tyle lat, że mogłabym być matką tego barbarzyńcy. Może nawet sprawiłby mi trochę przyjemności, gdyby mu się udało doprowadzić sprawę do końca. A później, jako jego kochanka, mogłabym nim manipulować dla dobra Ir.

- Niemniej jednak to wszystko już jest za nami - zauważyła. - Teraz mamy podstawowe pytanie: co dalej?

Usłyszałem wołanie Shnorriego:

- Kuzynie Hvaednirze! Królewska Mość! Gdzie jesteś?

- Shnorri jest naszą jedyną nadzieją - powiedziałem szybko. - Pozwólcie, że go tu ściągnę, proszę. - Nie czekając na odpowiedź wystawiłem głowę przez drzwi i zawołałem - Książę Shnorri! Tu, na górze! Przyjdź sam!

- Czy coś się stało? - spytał, gdy wchodząc po schodach dojrzał mnie.

- To pan oceni, książę. Źle czy dobrze, ale jest to decydująca chwila.

Gdy zobaczył ciało Hvaednira, podbiegł do niego i upewnił się, że mężczyzna jest martwy.

- Kto to zrobił? Jak to się stało?

- Wyjaśnię - zacząłem stając w drzwiach na wypadek, gdyby Shnorri chciał wybiec i wezwać żołnierzy. W razie konieczności mogłem go zabić, powiedzieć strażnikom, że ich dowódcy zasnęli, i uciec z miasta. Gdy skończyłem, Shnorri stwierdził:

- Mogłem przewidzieć, że ten pijany głupiec wpakuje się w coś takiego. Gdyby miał równie szlachetny umysł, jak wspaniałe ciało... Lecz co teraz? Wojownicy będą cię przypiekać na wolnym ogniu, jeśli się dowiedzą prawdy. Rozumiem cię, lecz tylko dlatego, że mieszkałem wśród Novarian, i dlatego jestem jedynie w połowie prawdziwym koczownikiem.

- Panie - zapytałem - czy zauważyłeś to ciało na dole?

- Tak, i chcę, żebyś mi to wyjaśnił.

Przedstawiłem mu historię zabitego wojownika.

- A teraz - zaproponowałem - zrobmy tak: powiemy żołnierzom, że pani Roska udała się do swego pokoju na spoczynek. Ten martwy człowiek, który był jedynie ogłuszony, a nie ciężko ranny, odzyskał przytomność, wślizgnął się po schodach do góry i próbował zgwałcić panią Roskę. Hvaednir, słysząc jej krzyki, pośpieszył na pomoc. W trakcie bijatyki obaj zadali sobie śmiertelne rany. W ten sposób nie będzie nikogo, kogo można by oskarżyć.

Nastąpiła wymiana zdań na temat całego planu, lecz nikt nie mógł wymyśleć niczego lepszego. Roska przeszła do sąsiedniego pokoju, by się trochę ogarnąć, a ja zwróciłem się do Shnorriego:

- Jeżeli już nomadowie mają rządzić Ir, to ty byłbyś lepszym władcą niż twój zmarły kuzyn.

- Tylko nie ja! - odrzekł. - Będę szczęśliwy, gdy wydostanę się z tego zabójczego żaru i zabiorę ze sobą wojowników, zanim osłabią ich novariańskie luksusy. Plan Hvaednira był bardzo ryzykowny. Mądry człowiek mógłby go zrealizować, lecz to by osłabiło nasze plemię na stepie. A będziemy potrzebować każdego człowieka do walki z Gendingami. Pomóż mi przenieść ciało wojownika do pokoju na górze, by nasza historia miała choć pozory prawdopodobieństwa.

## XII - Admirał Diodis

Powiedziałem:

- Książę Shnorri, przyszło mi na myśl, że powinniśmy z panią Roska opuścić Ir, zanim ogłosisz wiadomość o śmierci kuzyna. Jeśli któryś z twoich ludzi uzna, że cała historia wyglądała inaczej, nie chciałbym się znaleźć w ich rękach.

Po krótkiej debacie Shnorri zgodził się z naszymi argumentami. Zeszliśmy na dół i Shnorri wezwał dowódcę.

- Wyprowadź tych dwoje na zewnątrz Wieży Ardymana - polecił - i wydaj im konie z zapasowego stada generała.

Piętnaście minut później byliśmy w drodze.

- Dokąd teraz, Zdimie? - spytała Roska.

- Sądzę, że admirał Diodis da nam najbardziej bezpieczne schronienie, dopóki cała sprawa nie ucichnie. Gdyby go zaatakowano, może popłynąć w dół Kyamos i na ocean.

Miałem rację. Krzepki, szpakowaty admirał przywitał nas serdecznie na pokładzie swego flagowca. Ściągnął już ludzi na okręty i płaskodenna flota stała zakotwiczona w przyzwoitej odległości od brzegu, gdzie zaskoczenie było mało prawdopodobne.

Usiedliśmy na pokładzie; podano nam do picia gorący płyn o brązowym kolorze. Admirał wyjaśnił:

- W kraju, z którego ten napój pochodzi, to znaczy w Kuromon na Dalekim Wschodzie, nazywa się go "herbatą". Przywozi się go do Sulimoru w postaci liści, stamtąd idzie do Janareth na Morzu Wewnętrznym, dalej łądem przez Lograms do Fedirunu i jeszcze raz przez morze do Ir. Miejmy nadzieję, że któregoś dnia będzie do kupienia również w Novarii. Potrzebny jest nam dobry napój, który by nie upijał ludzi.

- A teraz, Zdimie, chętnie posłuchamy historii twych przygód.

Zacząłem więc opowieść. Po kilku minutach zauważyłem jednak, że admirał Diodis i pani Roska nie zwracają na nią zbytnio uwagi. W istocie przyglądali się sobie, od czasu do czasu wymieniając półgłosem jakieś błahe komentarze. Często się uśmiechali czy wręcz wybuchali śmiechem.

W pewnym momencie uznałem więc, że przerwę opowiadanie i będę się cieszył smakiem herbaty. Oni nawet tego nie zauważyli.

Następnego dnia książę Shnorri i kilku jego wodzów podjechali na koniach do rzeki i zaczęli machać rękoma. Podpłynęliśmy do nich z admirałem długą łodzią na odległość głosu.

- Wróćcie do Ir i życcie nam dobrej drogi! - powiedział Shnorri.

- Czy już się spakowaliście? - spytał admirał.

- Oczywiście. Nie obawiajcie się, historia o śmierci mego kuzyna nie wywołała żadnych kłopotów. Ja zaś jestem nastawiony do was bardzo przyjaźnie.

Mówił po novariańsku, więc jego wodzowie nie mogli go rozumieć.

- Doceniamy to - odparł Diodis - lecz równie dobrze możemy się pożegnać tutaj.

- Wiem, czego się obawiacie, ale to nie jest tak. W południe muszę podpalić stos pogrzebowy kuzyna i wydać rozkaz do wymarszu. Byłoby dobrze, gdybyś się tam znalazł również ty, admirał, gdyż uważam, że Ir jest winne i tobie jakieś pieniądze. Mógłbyś przedstawić swoją wycenę.

- Przecież ogołociliście całe miasto.

- Nie, wziąłem jedynie tyle, ile nam się należało zgodnie z umową Zdimia. Reszta powinna pokryć żądania Zolonów. Jeśli nam nie wierzysz, weź ze sobą marynarzy dla ochrony. Albo zostań na okręcie, jeśli wolisz, i spróbuj odzyskać swoją należność od syndyków później, gdy ich wdzięczność osłabia kazuistyka i własny interes.

- Przyjedziemy - odpowiedział krótko admirał.

\*\*\*

Książę Shnorri rzucił pochodnię na stos, na którym spoczywało ciało Hvaednira. Gdy huczące płomienie skryły zwłoki w ogniu i dymie, stojący w szeregach Hruntingowie wybuchnęli płaczem. Nie było twarzy, po której nie spływałyby potokiem łzy. Shnorri odezwał się do mnie na boku:

- Wróć tu, Zdimie, za tysiąc lat, a zobaczysz, że Hvaednir stanie się bohaterem legend jako najczystszy, szlachetny i piękny ideał Hruntingów. Jego wady zostaną zapomniane, a zalety ulegną powiększeniu nie do poznania.

Rozmawialiśmy o różnych sprawach i w którymś momencie powiedziałem:

- Książę, czy możesz mi coś wytłumaczyć, proszę. Znasz przecież Pierwszoplanowców lepiej ode mnie. Czy widzisz tych dwoje, admirała Diodisa i madame Roskę?

- Tak.

- Od chwili gdy weszliśmy wczoraj na pokład okrętu flagowego, oboje zachowują się niezgodnie ze swym charakterem, jeśli potrafię to właściwie ocenić, do tego stopnia, że czuję się zbity z tropu. Dotychczas uważałem, że poznałem już całkiem dobrze różne osobliwości natury Pierwszego Planu.

- Nad czym łamiesz sobie głowę?

- Roska sar-Blixens jest normalnie poważną, zachowującą się z rezerwą damą. Ma wspaniałą prezencję i jest pełna godności, choć ciągle zmienia zdanie. Admirał Diodis zaś jest trochę gburowaty, stanowczy i gwałtowny. Można też powiedzieć, że oboje są rozumni, bardziej niż można by oczekiwać od istot ludzkich. A tymczasem, gdy są razem, wyglądają jak dzieci skore do beztroskiego śmiechu i niemądrych uwag. Są tak zainteresowani sobą, że nie dostrzegają innych.

- Ależ to proste - odpowiedział Shnorri. - Są zakochani.

Ooo! Czytałem o tym stanie emocjonalnym podczas studiów, lecz nigdy nie byłem świadkiem samego zjawiska. Dlatego nie poznałem go. Czy połączą się ze sobą?

Wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia! Nie wiem, czy Diodis nie ma już żony, a jeśli ma, to czy prawo Zolonu pozwala mu wziąć drugą. Śmiem jednak twierdzić, że stary wilk morski i twoja łaskawa pani znajdą sposób, by grzać się w tym samym łóżku.

A teraz, Zdimie, musimy się rozstać. Jeśli kiedykolwiek trafisz do Othomae, to powiedz doktorowi Kylusowi, że żałuję, iż nie zaakceptowałem jego propozycji i nie zostałem docentem w akademii. Wiem, że jestem zbyt gruby, leniwy i dobroduszny, by być wodzem koczowników, lecz wygląda na to, że bogowie postanowili mnie nim uczynić.

- Zniósłbyś żar novariańskiego lata? Wydaje mi się, że jest ono dla ciebie zabójcze?

- Owszem, w letnim obozie w Lograms.

- To co ci nie pozwala pojechać do Othomae, by podjąć karierę akademicką?

- Zobowiązania wobec plemienia i lojalność, żeby je szlag trafił! Żegnaj!

Przy pomocy dwóch wojowników wgramolił się na siodło. Następnie skinął ręką w stronę tłumu i pokłusował. Szwadrony hruntingskich jeźdźców wyciągnęły się za nim w linię, następnie pojawiły się mamuty i straż tylna. Shnorri był na pewno miłym towarzyszem, lecz wszyscy odetchnęli z ulgą, spoglądając na plecy ostatniego z groźnych gości.

Kurz po ich odejściu nie zdążył jeszcze dobrze opaść, gdy admirał przedstawił swój rachunek za wyprawę do Algarthu i pomoc w walce z Paaluńczykami. Jimmon i pozostali syndykowie osłupieli, lecz ciężko przestraszeni nie śmieli podjąć ryzyka jeszcze jednego starcia. Zapłacili. Gdy liczyli pieniądze w Sali Gildii, pod baczynym okiem Diodisa, Roska odezwała się:

- Spłaciliśmy dług każdemu, kto uczestniczył w ratowaniu nas, z wyjątkiem jednego człowieka, to znaczy istoty, której zawdzięczamy najwięcej. Mam na myśli mego służącego, Zdimę.

- Na rogi Thio! - wrzasnął Jimmon. - Staliśmy się już nędzarami, Rosko! Jeśli chcesz wynagrodzić demona, nikt ci nie broni.

Na jej twarzy pojawiła się mina, która wśród istot ludzkich oznacza upór.

- Miałbyś rację, gdyby nie fakt, że jeśli wszyscy osiągnęli pewne korzyści, to i wszyscy powinni uczestniczyć w rekompensacie. Czyż nie mam racji, Diodis?

- Niech mnie utopia! - odpowiedział admirał. - Nie jest to moja sprawa, lecz jeśli nalegasz, droga Rosko, to muszę przyznać, że jak zawsze masz rację. Być może jednak nie byłoby źle zapytać pana Zdimę, czego on by chciał. Nie zakładajcie z góry, że pożąda złota i srebra, jak większość ludzi.

- A więc, Zdimie? - zapytał Jimmon.

- Panowie - odparłem - usiłowałem wypełniać swe zobowiązania. Lecz ponieważ zadaliście mi pytanie, czego bym chciał najbardziej, to odpowiadam. Chciałbym, by mnie zwolniono z kontraktu, jak również, żeby wyzwolono innych niewolników i przymusowych służących w Ir. Następnie chciałbym zostać odesłany z powrotem na mój plan, by móc się cieszyć żoną i naszymi jajami. Aha, byłbym również wdzięczny, gdyby wraz ze mną wysłano kilka sztab żelaza.

Ulga, która pojawiła się na twarzy syndyków, wywołała u mnie napad śmiechu, gdybym był zdolny do wydania z siebie tego tak ludzkiego dźwięku i gdybym miał pewną ludzką cechę, zwaną poczuciem humoru.

\*\*\*

Magiczna operacja została przeprowadzona w pracowni doktora Maldiviusa pod zrujnowaną świątynią Psaan obok Chemnis. Maldivius dzięki magicznej sztuczce uniknął kawalerii ludożerców, gdy ta przeszukiwała krainę w poszukiwaniu ludzkiego mięsa, i powrócił do swej starej siedziby. Gdy przybyłem do niego, zaskoczył mnie widok jeszcze jednej zgarbionej i siwej postaci.

- Yurog! - krzyknąłem. - Co ty tu robisz? Myślałem, że wróciłeś z Hruntingami do Ellornas.

- Ja uczeń doktor Maldivius. Ja uczę na wielki czarownik.

Zwróciłem się do Maldiviusa:

- Czyż nie jest to trochę niezwykle dla maga w tak zaawansowanym wieku brać na ucznia kogoś równie starego?

- To mój problem, demonie - odpalił Maldivius. - Yurog dokładnie wykonuje moje polecenia. Nie mogę tego powiedzieć o głupkowatych, młodych lalusiach, z którymi próbowałem. Ehm. Siadaj na tych sztabach w pentagramie.

Madame Roska zatrzymała się, przed linią, trzymając za rękę admirała, i ucałowała mnie w pysk.

- Żegnaj, kochany Zdimie! - powiedziała. - Zwróciłam Maldiviusowi Szafir Sybilliński w ramach nagrody za jego pomoc. Przekaż moje najlepsze życzenia żonie i jajom.

- Dziękuję ci, pani. Zawsze starałem się jak najusilniej sprawić ci zadowolenie.

Diodis dodał:

- Czy wy, demony, nie potrzebujecie admirała, który by wam zorganizował flotę? Pomyślałem sobie, że któregoś dnia powinienem wziąć rok urlopu i obejrzeć jakiś inny świat.

- Nie prowadzimy wojen, nie mamy więc i floty wojennej - odrzekłem. - Lecz uprawiamy żeglarstwo. Jeśli nadarzy się sposobność, opowiem o tobie demonom, które mogłyby być zainteresowane.

Zasiadłem na dwóch stukilogramowych sztabach żelaza. Maldivius i Yurog rozpoczęli zaklęcia. Zanim rozmył się obraz przede mną, pomachałem ręką do tych kilku Pierwszoplanowców, którzy przyszli, by mnie pożegnać. Byłem szczęśliwy, że mogę przebywać z tymi ludzkimi istotami do ostatnich chwil pobytu na ich planie. Wielu innych, z którymi miałem kontakt, jak Bagardo Wielki, Aithor z Puszczy czy Gavindos - archont-zapaśnik, zniknęło z mej pamięci; nie wiem, co się z nimi stało.

Byłem już szczęśliwy, gdy dowiedziałem się, że człowiek-małpa, Ungah, przeżył wojnę z kanibalami. Strażnik paaluański spostrzegł go w obozie i ranił w nogę oszczepem. Zostałby zabity, gdyby nie zamieszanie spowodowane odkryciem mnie po drugiej stronie obozu. Odwróciło ono uwagę wartownika i Ungah uciekł. Dotarł aż do granicy z Metouro, lecz stan jego nogi był już tak poważny, że nie mógł dalej wędrować. Zmarłby, gdyby nie miejscowa czarownica, która wzięła go pod opiekę i wykurowała. Kiedy wyzdrowiał i mógł dalej maszerować, wojna właśnie się skończyła. Został więc wraz ze swą zbawczynią. Powiedziano mi, że była wyjątkowo szpetną kobietą, lecz dla Ungaha wyglądała niewątpliwie jak samica jego plemienia, wywołała więc gorączkę w jego sercu.

\*\*\*

Prowost Hwor spojrział na dwie sztaby i ostro zapytał:

- Demonie, dlaczego nie wzięłeś ze sobą więcej? Byłem nastawiony na pochwały, więc rozgniewałem się.

- Bo tylko tyle może przenieść twoje zaklęcie przez barierę wymiarów! - krzyknąłem. - Jeśli ich nie chcesz, odeślij z powrotem!

- Spokojnie, spokojnie, drogi Zdimie. Nie chciałem cię urazić. Yeth będzie szczęśliwa, gdy zobaczy, że wróciłeś o pół roku wcześniej.

- Co z naszymi jajami?

- Słyszałem, że z większości z nich małe ładnie się wykluły.

No to lecę do domu!

I byłby to KONIEC gdyby nie...

Zdim syn Akhy

z żoną Yeth, córką Ptyga

Do Prowosta Ning

Petycja

Panie!

Znane są ci okoliczności mego pobytu na Pierwszym Planie przed kilku laty. Wróciwszy bezpiecznie na nasz plan, myślałem, że nigdy już nie będę chciał oglądać Pierwszego, gdyż był on tak mało racjonalny, logiczny i przewidywalny w porównaniu z naszym.

Teraz jednak, gdy nasze potomstwo jest w wieku szkolnym i od nas niezależne, chcielibyśmy wraz z żoną dowiedzieć się, czy można nas przesłać na Plan Pierwszy w celu dłuższego pobytu. Jeśli przepisy wymagają, by taka sama liczba Pierwszoplanowców przeniosła się na nasz plan celem zachowania energii, znam co najmniej dwójkę Pierwszoplanowców, którzy twierdzili, że chcieliby się przenieść na Dwunasty Plan. Podejmę kroki w celu odnalezienia ich i zorganizowania przeniesienia.

Jeśli chodzi o zdobywanie środków do życia, to mam szereg pomysłów. Znam na przykład nazwisko profesora w jednej z instytucji zajmujących się nauczaniem, który może mnie zatrudnić. Jestem przecież, poza wszystkim innym, profesjonalnym filozofem. Z tego co widziałem, wiem, że na Pierwszym Planie wiedzę filozoficzną mają w kompletnym nieładzie. Jeśli ten pomysł by mnie zawiodł, mam inne znajomości i stosunki. Proszę się nie obawiać, że nie będę w stanie zarobić pieniędzy niezbędnych na nasze utrzymanie.

Jeśli zastanawia się pan, dlaczego występuję z tą prośbą, to chcę wyjaśnić, że pomimo ryzyka i trudności życia tam, jak również wyjątkowej irracjonalności tych ludzi, w ich świecie jest wiele fascynujących rzeczy. Nie można się tam nudzić, jak to - obawiam się - często przydarza się na naszym wspaniale zorganizowanym planie. Tam natomiast zawsze dzieje się coś interesującego.

Pozostaję z poważaniem,



pański Zdim